

Sigurd Hoel

DROGA NA KRANIEC  
ŚWIATA

Przełożyła z norweskiego  
BEATA HŁASKO

Tytuł oryginału  
Veien til verdens ende



# Rajski ogród

Sam

NAJDAWNIEJSZE jego wspomnienie:

Leżał w łóżku. Spał długo, od niepamiętnych czasów. Teraz obudził się. Wstał ze snu, podniósł się na łóżku, wysunął głowę nad poręczą i rozejrzał się dokoła.

Był sam.

Przez okno wpadało światło. Duża plama jaśniała na podłodze. W izbie nie było ciemno. Wszystko jednak wydawało się obce i straszne, samotność też była przerażająca. Nie miał odwagi pozostać sam w łóżku, wy dostał się zatem na wielką przestrzeń podłogi. Tam jednak ogarnęło go lodowate zimno i poczuł się jeszcze bardziej samotny. Czworonożne istoty, obce i ponure, stały pod ścianami na krótkich łapach, patrzyły na niego i ści gały go długimi cieniami. Z płaczem wzywał matkę. Szedł przez zimną izbę, wzywając ją. Dotarł do świetlistej plamy na podłodze i ujrzał księżyc – przerażający widok: oślepiająco blady człowiek w płomiennym ubraniu sięgał po niego długimi, białymi rękami o długich, cienkich i białych palcach, które przenikały przez szybę, aby go schwytać. Stał jak wryty. Za oknem czyhała blada postać, w cieniu zaś czały się ponure stworzenia. Stał cichutko, nie śmiał się poruszyć. Był sam.

## Niedzielny poranek

SKĄD mógł wiedzieć, że to jest niedziela?

A jednak wiedział. Niedziela była w blasku słońca, w obłokach, w kropłach rosy, w pajęczynach lśniących pośród traw, w powiewie wiatru pachnącego kwiatami – wszystko promieniowało niedzielą.

Dzwony kościelne biły. Trzymał Andreeę za rękę i szli przez łąki. Znalazł się daleko od domu, dalej niż kiedykolwiek. Kwitnące wrzosy lśniły w słońcu czerwienią. Obłoki sunęły z wolna. Od czasu do czasu cień padał na cały świat, a potem znowu słońce powracało.

Szli w dół zieloną ścieżką, porośniętą murawą. Często stawał przy płocie i patrzył na tę drogę, która szła tak daleko, aż ginęła między górskimi grzbietami i pośród olszyny, a była niebezpieczna, ponieważ biegła bardzo daleko i znikiała. Dzisiaj natomiast szedł między wzgórzami, pośród olch i nie czuł strachu, bo trzymał Andreeę za rękę.

– Zejdziemy w dolinę i zajrzemy do Töstena Teppena – powiedziała Andrea. – Karczkuje ziemię pod nowe kartoflisko.

Nowe kartoflisko to coś, co warte było karczowania ziemi w niedzielę.

Po obu stronach drogi rosły wybujale wrzosy. Pachniało wrzosami. A między nimi widać było żdźbła traw ze złotymi czubkami. Trzmielce brzęczały. Rosa i pajęczyny lśniły. Ptaki śpiewały.

Szli między wyniosłymi drzewami. Brodzili w trawie mokrej od rosy. Wysokie jej żdźbła muskały go po twarzy. Doszli do karczowiska i przystanęli.

Chudy, wysoki Tösten Teppen uderzył w ziemię dużą motyką. Ściął już drzewa oraz krzaki i ułożył je w okazały stos, wykopane korzenie zgromadził w najeżony kopiec, a kamienie zebrał w dużą przyzmę. Teraz oto chwycił korzeń i ciągnął, potem ujął potężną siekierę i rąbał, i znowu ciągnął korzeń, aż go wyrwał, otrząsnął z ziemi i poszedł złożyć go z innymi. Następnie obrócił się ku nim, wysoki i chudy.

– No proszę, i kto to tutaj przyszedł? – powiedział, po czym schylił się, ujął Andersa pod pachy i unióś do góry. Wysoko ponad wrzosy, ponad trawy, ponad korony drzew, powyżej wszystkiego! Anders frunął w powietrze jak ptak i zobaczył cały świat, jezioro, kościół i niebo i cały świat, aż w głowie mu się kręciło ze szczęścia. Potem Tösten postawił go na ziemi, i znowu wszystko zawirowało, przekreśliło się na odwrót – teraz znowu patrzył na świat z dołu.

Dopiero co skopana ziemia pachniała ostro i świeżo. W słońcu połyskiwała czerwono jak wrzosa, ale w cieniu była granatowa.

Tösten ponownie chwycił motykę. Stał w blasku słońca, roześmiany. Oczy jego błyszczały, a zęby lśniły. Srebrzyła się wysoko podniesiona motyka. Stał w słońcu ogromny, zakrywał połowę nieba, wywijał dużą motyką i przygotowywał nowe pole.

Później Anders usiadł na karczowisku i uprawiał ziemię. Grubym patykiem rozbijał duże bryły, póki ich nie rozkruszył na wiele małych. Drobne kamyki zbierał w ogromną przymę. Ziemia pachniała mocno i przyjemnie; wziął garstkę do ust, żeby zjeść, ale była niesmaczna, więc ją wypluł, a musiał pluć długo, zanim się jej pozbył. Małutkie stworzonka biegały tam i z powrotem między grudkami ziemi, były czarne, zielone, brunatne, na plecach nosiły lśniące pancerze, w których migotało słońce. Kiedy rozbijał bryłę na kawałki, ziemia przysypywała żyjątką, znikają. Po chwili jednak wygrzebywały się spod ziemi i biegły dalej.

Po błękitie nieba sunęły z wolna białe obłoki. Od czasu do czasu chmura napływała nad pole i wtedy wszystko trochę przycichało. Potem koniec chmury przemykał nad ziemią i znowu błyskało słońce. Anders nie widział ani Töstena, ani Andrei, ale nie był sam, bo nieustannie słyszał ich głosy.

Małe, lśniące stworzonka biegały tam i z powrotem między grudkami ziemi. Ptaki śpiewały. Głos Töstena brzmiał cicho. Ziemia pachniała. Miała odcień czerwieni. Obłoki goniły się nad karczowiskiem. W końcu usnął.

Później znowu szli drogą między wrzosami, jodłami i olchami. Cienie i blaski igrały na ziemi. Rozmyślając o tym wszystkim, Anders zapytał:

– Czy świat jest jeszcze większy?

Andrea spojrzała na niego:

– Tak. Jeszcze dużo, dużo większy.

**Świat**

WIATR wzdycha i dmie. Przybywa z krańca świata. Kłania się każdym źdźbłem trawy, powiewa gałęziami brzozy i ulatuje dalej na szeroko rozpiętych skrzydłach. Niekiedy można

zauważyć, że leci tuż obok. Pędzi na kraniec świata. A potem, po długim czasie, Anders budzi się w nocy i słyszy, jak wiatr powraca z krańca świata, szumi i dmie, i przebiega w pobliżu.

Świat jest bardzo wielki.

A w samym środku świata znajduje się Anders. On przebywa w ośrodku wszystkiego.

Dokoła niego skupiają się wszyscy. Matka i ojciec, Gorina i Embret, Andrea, Tora i Kari, i Aasa, kot, łożko, poduszka, kołdra, nocnik, ściany, piec i stół z podnoszonymi klapami, i duży zegar, co stoi w kuchni pod ścianą i przez cały dzień mówi: An-ders, An-ders!

Rzeczy najbliższe są największe. Jeśli odchodzą, robią się coraz mniejsze i znikają, z wyjątkiem matki. Jeżeli matka się oddala, Anders płacze, bo nie chce, żeby odeszła. Wtedy zjawia się Gorina, zabawia go, a tymczasem matka robi się coraz mniejsza i znika.

W środku świata mieści się dom. Anders zna niektóre izby i te należą do niego. Kuchnia i pokój, gdzie ma własne miejsce na samym środku, i sień za progiem, i próg kuchenny. Inne pomieszczenia są odległe, nieznanne i niezycliwe; nie lubi w nich przebywać, szczególnie sam. Na piętrze jest jedna izba, w której nigdy nie był sam, oraz drzwi do drugiej, w której w ogóle nigdy nie był. W niej mieszka skrzat i Rolf Sinobrody, i olbrzymie czarne psy. Andersowi nie wolno tam wchodzić, bo mógłby przepaść. Na widok tych drzwi bierze go chęćka wejść, boi się jednak, więc krzyczy.

Reszta świata leży poza domem. Należy do niej podwórze, ogród, zabudowania gospodarcze, izba czeladna, droga, pastwisko, las, jezioro i cały świat.

Świat jest wielki i niebezpieczny. Tuż obok domu nie bardzo, ale dalej – ogromnie. Za stodołą jest trochę niebezpiecznie, bo nie widać domu. W dole na pastwisku bardzo niebezpiecznie, gdyż tam chodzi młody byczek.

Wszystko, czego Anders nie zna, jest bardzo dalekie, niebezpieczne, groźne. Natomiast wszystko, co zna jest bliskie i pomocne.

Rzeczy niebezpieczne, których nigdy nie widział – są groźne. Ale te, które widział, są znacznie groźniejsze. Najniebezpieczniejsi są kominiarz i Kall Nordavind<sup>1</sup>.

Kominiarz jest czarny, ma śnieżnobiałe zęby oraz oczy i może zabrać Andersa, gdyby był niegrzeczny. Natomiast kiedy się umyje, nazywa się pan Kerstaffer i jest mniej niebezpieczny.

Kall Nordavind od czasu do czasu wchodzi kuchennymi drzwiami i wnosi lodowaty

---

<sup>1</sup> Zachodzi tutaj gra słów, wynikająca ze skojarzenia określenia: Kall Nordavind co znaczy: „zimny wiatr północny” z imieniem i nazwiskiem: Kai Norderud.

powiew. Ma przerzedzone, szpakowate włosy i brodę, zakatarzony nos, głos ochryply, gdy mówi sapie i dyszy, w gardle mu się gotuje, a z oczu i z nosa kapie. Przychodzi na sianokosy i wtedy nazywa się Kai Norderud, powozi końmi, zasiada przy kuchennym stole, kaszle, bulgocze i je. Poza tym jednak nazywa się Kall Nordavind, biega po świecie, wyje dokoła domu i porywa wszystkich niegrzecznych chłopców. Anders poznaje go po głosie, kiedy kaszle i mówi: Uhu-u-u!

Istnieje wiele innych groźnych istot. Groźny jest Bóg oraz diabeł czyhający w ciemnościach, skrzat ze spichrza i morderca, którego sprawiedliwość dosięgła za stodołą, a teraz powraca wśród nocy, i czarny pies z Hoff, a także rozjuszony byk z Berg, duży indyk we dworze pastora, ogromna ropucha spod kuchennego progu, bo wyskakuje, zaledwie obrócić się do niej plecami. Słowem wszystko, co znajduje się bardzo daleko i niezbyt daleko, a jest nieznanne.

Niemal wszystko jest niebezpieczne. Tylko że często zapomina się o tym.

Kuchnia stanowi centrum świata. W kuchni jest matka, Gorina, stół z bocznymi klapami, ciepła ściana, piec, Kitui i zegar pod ścianą. W kuchni dorośli zasiadają do wszystkich posiłków.

Podłoga dudni, kiedy dorośli wchodzą. A kiedy siadają, to się ugina. Tupią i szurają butami, krzyczą grubymi głosami, szczerzą zęby, śmieją się i jedzą. Na podłodze kładą się długie ich cienie. Palą fajki, dym o ostrym zapachu snuje się błękitnymi smugami. Siedzą, gadają, przechwalają się, przekomarzają się z Goriną, uderzają się po kolanach i ryczą ze śmiechu. Potem wstają i wychodzą, aż podłoga się trzęsie. Odchodzą do czeladnej, palą i rozmawiają o silnych mężczyznach, o szparkich koniach i złośliwych staruchach. Kuchnia znowu jest cicha, jak zwykle. Stół, zastawiony filiżankami i miskami, rzuca szeroki czarny cień, zegar stoi pod ścianą, rzuca długi czarny cień i sam jeden w całej kuchni gada, powtarzając: An-ders, An-ders, An-ders...

Wtedy kot wysuwa się spod pieca.

Błat kuchennego stołu dzieli świat na dwoje. Anders, Aasa i Kituś przebywają w dolnej części, między blatem a podłogą. Wszyscy pozostali w drugiej, górnej.

Zdarza się, że ktoś z dorosłych ujmuje Andersa pod pachy i unosi strasznie wysoko, prawie pod sufit, do części gdzie są starsi. Przedziwnie jest tam u nich: okropnie wysoko i bardzo daleko od wszystkiego.

Przestrzeń pod stołem należy do niego, jest jego własnością. Tak samo jak stołeczek

pod ścianą, najniższy stopień schodów oraz wszelkie przedmioty umieszczone niezbyt wysoko, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz domu. Ruchliwa pliszka, wróble siedzące na końskim łąnie i malutkie prosiątka, które przynosi się w szafliku do kuchni, żeby ich maciora nie zjadła, i jagnięta, które przywożą na taczkach, bo jeszcze nie umieją chodzić – to wszystko znajduje się w jego części i należy do niego.

Anders doskonale rozumie mowę zwierząt. Rozumie, co mówi pliszka i kot, i prosięta, i jagnięta. A także trawa w ogrodzie, gdy siedzi na niej, a wiatr lekko powiewa. Jednakże dorosłym nie można tego wyjaśnić, bo oni niczego nie pojmują.

Pod płotem w ogrodzie znajduje się omszały pień drzewa. Anders rozumie jego mowę i czasem, jeśli nikt nie widzi, gawędzi z nim. Ale nie opowiada o tym nikomu.

Po drugiej stronie podwórza idzie droga. Idzie daleko w świat. Właściwie dwie drogi wędrują w świat, jedna w górę, druga w dół. Pierwsza biegnie w górę, niemal na szczyt zbocza, i znika. Druga schodzi w dół, do samego zakrętu, i ginie.

Do drogi można dotrzeć, jeśli matka nie jest bardzo zagniewana. Ale przez drogę samemu nigdy nie wolno przechodzić, bo wtedy ktoś nadjedzie i przejedzie Andersa. Już raz ktoś jechał i przejechał kociaka, który sam przechodził przez drogę, chociaż nie wolno. Leżał potem rozplaszczony na ziemi i krwawił z obu końców.

Za zakrętem drogi już nie widać. Ale ona tam jest. Anders wie, bo był i widział ją. Biegnie w dół, przechodzi przez most i dalej wędruje po zboczach. Widział ją na stoku prowadzącym do mostu tylko raz, ale ona jest tam zawsze. Nawet nocą, chociaż ciemno i straszno, ona idzie tamtędy zupełnie sama.

Świat składa się z dni i nocy.

Noc różni się od dnia. Najczęściej Anders śpi i nic o tym nie wie. Czasem jednak budzi się, wszystko tonie w mroku, jest groźne i odmienne, a ponieważ Anders niczego nie widzi, więc chowa głowę pod kołdrę, żeby nie zobaczyć.

Niekiedy jednak księżyc świeci, wtedy Anders leży i patrzy. W izbie wszystko stoi nieruchome, pogrążone we śnie, ojciec i matka leżą i śpią. Na dworze widać brzozę, gałęzie jej zwisają bez ruchu, wszystkie liście błyszczą, ona zaś chyli głowę i śpi. Jeżeli spojrzeć na niebo, wydaje się niezmiernie głębokie. Chmury płyną tak cicho. Anders leży i patrzy, chciałby to wszystko zapamiętać i opowiedzieć. Lecz kiedy dzień nadchodzi – zapomina, a nadto trudno opowiadać o rzeczach tak zupełnie odmiennych.

Najczęściej Anders śpi. We śnie odbywa długie podróże, widzi cudowne rzeczy – ale przypomina sobie o tym dopiero rano, kiedy już wszystko poszło w niepamięć.

Anders siedzi u matki na kolanach. Matka opowiada o Raju:

– Pan Bóg założył ogród w miejscu położonym daleko na Wschodzie. Posadził tam dużo drzew, ogrodził je płotem. W samym środku ogrodu zasadził duże, piękne drzewo, które nazywało się Drzewem Życia. A nieco dalej drugie, które nazywało się Drzewem Wiadomości...

Matka opowiada Andersowi o Adamie i Ewie, o brzydkim wężu, co pełzał w pyle drogi, i o tym, jak Bóg ukazał się między drzewami i wypędził Adama i Ewę z Raju, ponieważ zjedli jabłko z Drzewa Wiadomości. „Nie, Raj nie był położony w naszym ogrodzie. Leżał daleko stąd, anioł z obnażonym mieczem czuwał przy bramie...”

Siedzą oboje w izbie sypialnej. Okno wychodzi na wschód. Za oknem rośnie brzoza. Dalej w dole ciągną się łąki, schodzące aż do jeziora. Wieczór zapada. Cień spowinał brzozę i pastwiska, lecz na wschód od jeziora widać odbłask słońca, domy są teraz czerwone i białe, a pola i łąki zielone. Rajski Ogród znajduje się tam, na wschód od jeziora.

Biały obłok płynie po niebie. Żeglujecie bardzo wysoko. Na pewno wprost nad Rajskim Ogrodem.

Istnieje na świecie coś, co nazywa się „Czas”.

Czas to jest coś, co odchodzi i wraca. A więc ranek, południe, wieczór i noc; ranek, południe, wieczór i noc.

Czas to wysoka, chuda kobieta, która stoi nieruchomo pod ścianą i powtarza jego imię: An-ders, An-ders. W ciągu dnia zmienia oblicze. Czas to ona.

Czas znaczy, że Anders kiedyś urośnie, że będzie miał długi nos jak Embret, rudą brodę jak ojciec i będzie chodził z wysoką laską jak wójt.

Mimo wszystko Anders w to nie wierzy. Zawsze będzie taki jak teraz. To tylko dawniej był inny, bo był mniejszy, nawet chodzić nie umiał. Ale to było bardzo dawno temu.

Świat pełen jest zagadek.

Czemu w nocy nie bywa widno, a w dzień ciemno? Dlaczego mówią, że niezdrowo jeść dużo cukru, a zdrowo jeść dużo płatków owsianych? Dlaczego nie wolno dłużyć w nosie?

Dlaczego przy ubraniu jest tyle dokuczliwych guzików?

Świat pełen jest guzików i zagadek, z którymi tylko dorośli umieją sobie radzić.



Wiatr szumi i dmie. Wiatr to coś dużego, co przebywa na dworze i pędzi. Nie można go zobaczyć. A może można? Anders stale ma wątpliwości. Przecież wiatr słychać. A jeśli w biały dzień stanąć na progu domu, to można zobaczyć i usłyszeć wiele innych rzeczy. Wiatr jest wesoły i lekki jak te wszystkie inne rzeczy i jak sam Anders.

Czasem Anders budzi się w nocy i słyszy wiatr. Leży rozbudzony i słucha. Przypomina mu się Kall Nordavind – nie, to nie on. Rozmyśla o wietrze, który fruwa wysoko, wstrząsa brzoza, targa jej włosy, a potem ucieka, bo ma bardzo mało czasu. Ale to jest inny wiatr.

W dzień jest dużo różnych rzeczy. Nocą natomiast jest tylko ciemność, wiatr i on. Anders leży w mrocznej izbie, wiatr hula na dworze – też w ciemnościach. Słychać jak przybywa z bardzo daleka i grozi, bywa też cichy, nieśmiały, szepcze i płacze. Anders częściowo rozumie jego mowę. Leży w izbie w ciemnościach, a na zewnątrz wiatr szeleści pod oknem i pode drzwiami, chce wejść do Andersa, ale nie może, więc wzdycha i skarży się pośród ciemnej nocy. Cały świat tonie w ciemnościach. A wiatr przybywa z całego świata. Co dzieje się na tym wielkim świecie, o którym wiatr chce opowiedzieć Andersowi? Co wiatr widział?

Anders leży cicho w łóżku i słucha wiatru, który nadciąga z całego świata, który wzdycha i puka do okna, szepcze, skarży się i płacze, a potem szlochając i żaląc się odchodzi daleko, daleko, aż na kraniec świata.

## Raj

ANDERS leży w łóżku i nie chce wstać. Dzień już w pełni, na dworze piękne słońce i lato; Anders leży zupełnie rozbudzony w swoim dziecięcym łóżku, mruga olśniony blaskiem, ale nie wstaje. Jak dobrze w łóżku! A zresztą leży, bo nad czymś rozmyśla.

Gorina kręci się po izbie i sprząta. Na twarzy ma pełno zmarszczek, a z boku na nosie brodawkę z trzema długimi siwymi włosami. Embret mówi, że takie brodawki wyrastają wszystkim kobietom, kiedy się starzeją i porastają mchem. Gdzie ten mech rośnie na Gorinie? Zapytał ją o to, ale się rozłościła, więc nie śmiał pytać powtórnie. Na pewno na plecach.

Gorina sapie i zrzędzi, jak każdego ranka. Teraz zrzędzi, że Anders jeszcze leży w łóżku; ale on jej nie słucha.

Leży i rozmyśla o Bogu.

Bóg jest najwyższą istotą na świecie.

W rzeczywistości jest chyba więcej najwyższych.

Przede wszystkim matka. Ona bowiem zawsze bywa blisko i niemal zawsze rządzi. Najczęściej jest w kuchni albo w izbie i tam dzierży władzę. Ma za dużo trosk i utyskuje na nadmiar kłopotów. Czasami jednak, gdy rozpuści długie włosy i cała się nimi okryje, a potem spina je w duży węzeł na karku i w sobotni wieczór zasiada do opowiadania historii o Raju, o drzewach, wężu i Bogu – wtedy bywa najmiłsza ze wszystkich ludzi.

Może ojciec był najpotężniejszą osobą? Przecież miał rudą brodę i rządził wszystkimi. Niekiedy przeżywał ciężkie okresy, nie jadał w kuchni, a jeśli się gniewał, to rzucał gromy i błyskawice. Wiele rzeczy przed nim najtrudniej ukryć. Lecz jeśli miewał czas, stawał się łagodny i głaskał Andersa po głowie, a wówczas nikt nie był równie miły jak on.

Ojciec jednak często bywa nieobecny. Wtedy najwyższą władzę sprawował chyba Embret, w każdym razie poza domem. Embret miał długi nos i nosił siekierę pod pachą. W drwalni rąbał drzewo, w spichrzu młócił zboże lub chodził po polu i pilnował, żeby wszystko było w porządku.

Chociaż właściwie w spichrzu rządził skrzat. Anders nigdy go nie widział. Ale raz, kiedy sam jeden poszedł do spichrza, słyszał, jak coś szura pośród słomy w sąsięku; tak, tam skrzat był najwyższą istotą na świecie.

Jednakże Bóg jest nad wszystkimi.

Bóg zasiada na tronie wysoko na chmurze i patrzy na cały świat. A świat jest wielki. Obejmuje miejsca znane i nieznanne Andersowi. Obejmuje izbę sypialną, kuchnię, izbę mieszkalną, kantorek i schody, a także wszystkie pomieszczenia na piętrze, i sięga dużo dalej. Świat obejmuje ogród, dalej zagarnia drogę schodzącą do drwalni i wracającą z powrotem, sięga od drwalni aż po wzgórza i pastwiska, i jeszcze dalej. Obejmuje łąki, żywopłoty i pola dworu w Berg, wszystkie dalekie wzgórza po skraj lasu, i sięga jeszcze dalej; obejmuje jezioro, wszystkie pola za jeziorem i po drugiej jego stronie, i sięga jeszcze dalej.

Bóg wie o wszystkim, co dzieje się na całym świecie. Bóg wie wszystko!

Anders także wie dużo i codziennie dowiaduje się więcej. Gorina wie niemało, matka więcej, a ojciec dużo, dużo więcej, tylko że jemu trudno zadawać pytania. Ale najwięcej to chyba wiedział Embret, ponieważ był starszy od Goriny i miał siwą brodę, kapkę pod nosem i wiedział niemal wszystko. Ale nie tyle ile Bóg. Tak twierdziła matka.

Anders, kiedy dorośnie, będzie wiedział wszystko, podobnie jak Bóg.

Gorina niecierpliwiła się coraz bardziej. Nie umiała jednak radzić sobie z Andersem, o czym on wiedział; wiedział także, że Gorina zdaje sobie z tego sprawę.

Gniewnie nim potrząsnęła. Taki duży chłopak nie wstydzi się wylegiwać! Jeżeli nie zechce wstawać wcześniej, przestanie rosnąć, nigdy nie będzie duży!

To samo jednak powtarzała wieczorem, jeśli Anders nie chciał pójść spać. Dlatego też teraz tylko kilka razy fiknął nogami i leżał dalej.

Gorina stała chwilę bezradna. Lecz znalazła sposób:

– Jak ty myślisz, co Pan Bóg powie, jak zobaczy, że się wylegujesz? A ojciec?

Gorina zawsze uważała, że skuteczniejsze jest grożenie dwoma rzeczami naraz.

Ojca nie ma w domu! – pomyślał Anders i chciał położyć się z powrotem. Przypomniał sobie jednak, że wymieniła również Boga. Przyszło mu do głowy, że Bóg wie o wszystkim, co dzieje się, o wszystkim, co ludzie robią; wie nawet o jednej jedynej malutkiej kostce cukru w kredensie. Tak mówiła matka. A może chciała go tylko nastraszyć.

Przezornie spytał:

– Czy Pan Bóg widzi mnie cały dzień?

Gorina potaknęła z zadowoleniem:

– Pan Bóg widzi ciebie w dzień i w nocy!

Anders zastanowił się. Wiedział dobrze, że Bóg może go widzieć i w nocy, stwierdził to od dawna. W nocy jest ciemno, toteż Pan Bóg i aniołowie muszą strzec dzieci. Ale za dnia? Zupełnie co innego, nie trzeba ich pilnować, bo jest widno.

Spojrzał na Gorinę – czy ona w to wierzy? Tak, ma taką minę, jakby wierzyła. A więc tak być musi.

Jednakże niezupełnie to pojmował.

– Czy Bóg nigdy nie kładzie się do łóżka i nie śpi? – spytał dociekliwie.

Gorina sapnęła pogardliwie, aż włosy na brodawce się z jeżyły. Bóg nigdy nie sypia – tego była pewna. W tej chwili bez wątpienia patrzy na Andersa. On zawsze przygląda się wszystkim, niegrzecznym chłopcom, którzy rano wylegują się w łóżku, aby ich zapisać w dużym rejestrze, a potem dać im w skórę, jak przyjdą do nieba.

Anders zerknął ku oknu, ale nic nie zobaczył. Przypomniał sobie wtedy, że Bóg jest niewidzialny, tak samo jak wiatr. Jeszcze bardziej niewidzialny; bo wiatr można przynajmniej usłyszeć i od czasu do czasu dostrzec między drzewami, natomiast Bóg przychodzi i odchodzi zupełnie po cichu, trudno więc znaleźć absolutnie bezpieczne miejsce.

Raz jeszcze spróbował się upewnić:

– Czy Pan Bóg może mnie zobaczyć, jeżeli wejść pod łóżko?

Gorina była nieubłagana.

Naturalnie. Bóg może go zobaczyć nawet pod łóżkiem. Anders musiał stwierdzić, że w istocie to było prawdopodobne; wystarczyło stanąć na czworakach i zajrzeć pod nie. Pod łóżkiem nie jest ciemno, a Bóg widzi nawet w ciemnościach. Kot też widzi po ciemku. Anders nieraz się zastanawiał, czy oczy Pana Boga świecą się w nocy tak samo jak oczy Kitusia? Kilkakrotnie siadał na łóżku i rozglądał się, ale nic nie zobaczył. Oczy Boga były równie niewidzialne, jak i cała postać.

Rozejrzał się dokoła – nie, nie ma lepszej kryjówki, najlepsza pod łóżkiem.

W takim razie może lepiej wstać?

Nie mógł; jednak przerwać rozmyślań. Toteż po chwili, kiedy usiadł, na nocniku, a Gorina słała łóżko, ponownie zaczął zadawać pytania:

– Czy Pan Bóg jest bardzo stary, Gorino?

– Ohooo – powiedziała przeciągle Gorina – Jest strasznie stary. Starszy od wszystkich.

– Czy jest starszy od dużego dzwonu kościelnego?

– Co za pytanie! – Gorina mówiła teraz z wyższością. – Musisz zrozumieć, że Bóg jest starszy od stu dzwonów kościelnych!

Anders niezupełnie to pojmował; przecież Embret powiedział, że duży dzwon kościelny jest najstarszy ze wszystkiego, co znajduje się w całej gminie. Troll z Vardaasen zrobił go dla świętego Olafa, i to przed wielu, wielu laty. A odlał go z zaczarowanego srebra i dlatego jego dźwięk różnił się od dźwięku innych dzwonów kościelnych. Później jednak święty Olaf zamienił trolla w kamień, do tej pory wielki paluch olbrzyma sterczy po stronie północnej kościoła, a jest duży jak dorosły chłop.

Anders musi spytać Embreta, czy historia o Bogu i dzwonie kościelnym jest prawdziwa, bo Gorina nie zawsze mówi prawdę i wielu rzeczy nie wie; a to dlatego, że jest kobietą. Na to zaś – jak twierdzi Embret – nic już poradzić nie mogła.

Anders chwilę siedział, zajęty wyłącznie własnymi sprawami, podczas gdy Gorina potrząsała poduszką.

Wtem nowe pytanie przyszło mu do głowy:

– Do kogo Bóg jest podobny? Wygląda jak Embret?

Gorina zniechęcona wzruszyła ramionami:

– Ojoj, nie, Bóg nie jest podobny do Embreta! Coś podobnego...

– No to do kogo jest podobny?

– Jak możesz tak pytać!

Gorina mocno trzepnęła poduszkę.

Teraz Gorina zupełnie wyraźnie jest zła – stwierdził Anders. Ale nie można dopuścić, żeby się wykręciła:

– Gorino, czy Bóg ma brodę?

Nie odpowiedziała:

– Gorino, czy Bóg ma brodę?

– Tak. Ma brodę.

Anders uznał odpowiedź za słuszną. Embret miał brodę, ojciec miał brodę, pastor miał brodę, na samym końcu spiczasto przyciętą, i Kai Norderud, ten co przychodził na wszystkie sianokosy, też miał rzadką, siwą, zawsze oślinioną brodę. A więc rzecz jasna: Bóg też musiał mieć brodę.

– Zrobiłeś już? – spytała Gorina.

– Nie. Gorino, czy Bóg je?

Brak odpowiedzi.

– Gorino! Czy Bóg je?

– Nnie...

– Dlaczego Bóg nie je?

– Bo nie potrzebuje.

Anders zastanowił się.

– Czy Embret pójdzie do nieba?

– Tak, na pewno pójdzie.

– A czy będzie tam rąbał drzewo?

– Nie. W niebie nikt nie rąbie drzewa. Tam aniołki wszystko robią – wyjaśniła Gorina.

Anders miał nowy temat do rozważania.

– A inni jedzą w niebie?

Gorina strzepnęła prześcieradło.

– Gorino, czy inni jedzą w niebie?

– Jedzą, naturalnie.

– Dostają w niedzielę ciasto ze śliwkami?

– Dostają, ci co je lubią.

Anders spojrział na Gorinę; ona jednak dużo wiedziała.

– Czy Pan Bóg czasem siedzi na nocniku?

– O Jezu, pytasz jak niechrześcijańskie dziecko! – zawołała gniewnie Gorina.

– Ale bo...

– Załatwiał się prędej! – Gorina była rzeczywiście zła.

Anders stwierdził, że dzisiaj już niczego nie dowie się od niej.

Posiedział chwilę, po czym oświadczył:

– Już zrobiłem.

Tego samego dnia po południu Anders wyszedł na podwórze. Było mokro, woda spływała na drogę drobnymi strużkami. Właśnie przeszła burza i ulewa. Burza znaczyła, że Pan Bóg się gniewa; natomiast ulewa była wtedy, kiedy Bóg spuszcza na świat wodę z dużego jeziora. Czasami robi to, żeby podlać pola, innymi razy dlatego, że gniewa się na ludzi. Dzisiaj lał wodę głównie dlatego, że pola jej potrzebowały.

Anders dowiedział się o tym w drwalni od Embreta. Embret mówił również, że burzliwa pogoda jest najniebezpieczniejsza. Najbardziej niebezpieczna dla kotów, bo ściągają na siebie pioruny; choć dla ludzi też groźna. Dzisiejsza co prawda nie była bardzo straszna. W czasach gdy Embret służył w Rud zdarzyła się taka burza, że z podwórka widać było pożary aż w siedmiu dworach!

Kiedy Embret służył w Rud wszystko miało znacznie większe rozmiary niż obecnie. A jednak dzisiejszej burzy nie można było uważać za zupełnie małą: dopóki trwała, Embret też jej za taką nie uważał. Bez słowa wrócił z drwalni do kuchni, choć jeszcze nie nadeszła pora przerwania pracy, a Gorina położyła się na łóżku i schowała głowę pod poduszkę. Potem kolejno wszyscy zjawiali się w izbie i nic nie mówili. Raz po raz błyskało się i grzmiało, robiło się coraz ciemniej i ciemniej. Bóg nadchodził bliżej, coraz bliżej. Dopóki znajdował się daleko, było to zabawne. Nad wzgórzami toczyła się granatowa chmura, mruczała i rzucała jasne błyskawice. Z tej granatowej chmury zwisała ciemna firanka; za tą zasłoną siedział Bóg. Wszystko razem było granatowe i ładne. Kiedy jednak Bóg podszedł bliźniutko, to już nie było zabawne, to już była poważna sprawa!

Anders siedział na niskim stołeczku pod ścianą. Wiedział, że Bóg jest tuż obok i czuł ucisk w żołądku. Nigdy więcej nie pójdzie do spiżarni, nigdy nie pociągnie kota za ogon i nigdy nie będzie się wylegiwał w łóżku. Zrobiło się ciemno niczym w nocy. Błyskało się – zupełnie jakby ktoś stał za oknem i oświetlał wszystkie twarze. Wszyscy siedzieli całkiem bladzi i milczący i chociaż nic nie mówili, poruszali ustami. Anders wiedział, co robili: modlili się. Sam też zaczął omawiać modlitwę:

Ojcze na wysokościach, Boże,

Kiedy do snu się ułożę...

I wtedy uderzył piorun; dom zadrżał i szyby zadzwoniły, Anders podskoczył na stołeczku i urwał. Znowu błysnęło się, zaczął modlitwę od początku; zaledwie powiedział „Ojciec na wysokościach...” huknęło tak mocno i gwałtownie, jakby Bóg ciskał czymś w górze i Anders dostrzegł białka Bożych oczu. Wszyscy podskoczyli, szeptem powtarzając: Uderzyło gdzieś blisko! A w komorze na łóżku Gorina jęczała: uuuu...

Skończyło się. Pojaśniało, ucichło, wszyscy się wyprostowali, zaczęli rozmawiać, śmiali się, Gorina wróciła do kuchni, miała dużo zmarszczek na twarzy; Embret poszedł znów do drwali.

Burza już prawie zupełnie odeszła. Bóg wracał do domu, tylko od czasu do czasu grzmiał z dala. Z daleka, z bardzo daleka.

Teraz, kiedy Bóg poszedł do domu, zrobiło się dokoła dziwnie cicho i spokojnie.

Na progu leżał Kitus. Leżał całkiem spokojnie i patrzył prosto przed siebie.

– Kitus! – zawołał Anders.

Kot leżał, jakby nic nie słyszał. Leżał nieporuszony, wpatrzony przed siebie żółtymi szparkami oczu; a naprzeciw niego chodziła pliszka. Kręciła ogonkiem, kręciła główką, szybkim ruchem to dziobnęła ziemię, to znów podnosiła łebek i rozglądała się dokoła. Spoglądała na Kitusia, ale kot leżał bez ruchu. Pliszka zbliżała się w podskokach.

Anders pomyślał, że należałoby przyjść pliszce z pomocą. Ale jeśli to zrobi, nie zobaczy, co będzie, jeżeli jej nie pomoże, a miał ochotę przekonać się o tym.

Stał niezdecydowany. Pliszka podeszła bardzo blisko, kot, skulił się, po czym dał susa.

Anders też się skulił, ale niebezpieczeństwo już minęło: pliszka frunęła pod oborę, a Kitus stał i rozglądał się za nią. Miał głupio zawiedzioną minę.

Anders chwycił kota za skórę na grzbiecie. W dali grzmiało, Anders dobrze wiedział, co to znaczy. Bóg mówił, że należy pouczyć Kitusia.

Trzymał go mocno za kark i mówił:

– Co zrobić z kotem, który goni ptaszki? Wiesz dobrze, że masz łapać tylko myszy i szczury. Czy nie wiesz, co się stało z kotem, który złowił ptaka? Wszystkie inne ptaki przyleciały do niego nocą i ciągnęły go za uszy, o tak, skubały go za wąsy, o tak, szczypały w ogon, o tak, i targały pod włos, o tak!

Kitus miauczał, Anders zajrzał mu w oczy, żeby się przekonać, czy kot żałuje; oczy kota były żółte i zwężone, tylko w samym środku zielone. Ale wcale nie miał skruszonej miny.

Anders obejrzał się za grzmiącą chmurą. Odeszła, nic nie było słychać. Bóg poszedł do domu. Gdyby nie mieszkał aż tak daleko, pewno by rzucił piorun na Kitusia za to, że nie

żałował. Ale teraz chyba już nic mu nie groziło.

Anders wziął kota na rękę i delikatnie pogłaskał z włosem. Kituś zaczął mruzczyć.

Anders wrócił z nim do kuchni. Nie było tu nikogo; na stole stała miseczka ze śmietaną.

Na wszelki wypadek Anders wyjrzał oknem i raz jeszcze zerknął, dokąd poszła chmura z piorunami. Nie widać jej. Anders spojrzął na kota, na miskę ze śmietaną i stwierdził, że jest bardzo zadowolony z tego, iż Pan Bóg wrócił do domu.

Nadszedł wieczór. Panowała zupełna cisza. Kury poszły spać, krowy również poszły spać. Anders też niedługo pójdzie do łóżka. Usiadł na progu przed domem. Słońce zeszło nisko. Noc zbliżała się, płynąc wysoko na chmurze. Drzewa zaczynały drzeć i szeleścić liśćmi, szeptały coś, czego dobrze nie rozumiał. Drzewa nabrały powagi, a gdzieś w ciemnościach Bóg siedział i czekał. Wszystko wstrzymało oddech i stało w oczekiwaniu. Kwiaty stały w milczeniu i czekały, wrona siedziała na brzozie i czekała w milczeniu, druga wrona załopotowała skrzydłami, przysiadła obok pierwszej i też czekała, cisza dokoła, noc się zbliża, wszystkie ciemne odległe drzewa podeszły bliżej i Bóg wraz z mrokiem wkraczał do ogrodu.

Matka wyszła na próg i wzięła Andersa na rękę. Już prawie usypiał. Zabrała go do domu i ułożyła do snu. Pomogła mu się rozebrać i zmówić pacierz wieczorny. Potem odeszła. Leżał sam i patrzył w okno. Już mało co widać, tylko w sadzie rozlega się przeciągły szelest i głębokie westchnienia, kilku głębokich westchnień i znowu przeciągły szelest. To Bóg przyszedł do ogrodu i przechadza się między drzewami. One zaś wdychają i rozmawiają z Bogiem, który też wdycha i odpowiada im. Szepczą, rozmawiają i wdychają. Anders usnął.

## Ze skargą do Boga

PEWNEGO razu wszyscy byli dla niego bardzo niedobrzy...

Siedział schowany między świerczkami dzielącymi ogród od drogi. Wszyscy byli dla niego źli, nikt go nie kochał. Aasa go szturchnęła, Tora pociągnęła za włosy, Kari go wyśmiała, a Gorina wpadła w złość. Tora naskarzyła, Gorina go zbiła, a kiedy wybiegł na



podwórze i nie mógł nic powiedzieć, bo płakał, potracił ceber z jedzeniem dla świń, który Gorina wystawiła tylko po to, żeby w niego wpadł; przewrócił go, uderzył się w nogę, nabił ogromnego guza na czole, ale nikt nie przyszedł mu z pomocą, bo ani ojca ani matki nie było w domu, więc nikt się o niego nie zatroszczył, tylko Gorina wyszła na próg i zawołała: – Jeszcze tu jesteś, wstrętny smarkaczu! Ja cię nauczę! – Tora i Kari wołały: – Ksy ksy ksy smarkacz! Ksy ksy ksy smarkacz! – Wtedy ratował się ucieczką między świerki.

Słyszał głosy Tory, Kari i Aasy przed domem. Tora wylała wodę z bucików. Gorina mówiła:

– No, już suche. Wstrętny chłopak. Idźcie teraz dziewczęta i bądźcie grzeczne!

Uradowane poszły w kierunku łąki pełnej siana. Pójdą teraz do miejsca, gdzie rosną poziomki i wyjedzą wszystkie. A przecież to Anders je odkrył, ale go ze sobą nie zabrają.

Ojciec i matka pojechali daleko.

Kituś przechodzi wzdłuż drogi.

Anders wabi kota: kici, kici!

Kot przeszedł obok, nie chciał mieć z nim nic wspólnego!

Anders znowu się rozplakał, bo nikt nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Ponieważ jednak tutaj nikt go nie słyszał, więc poczuł się bardzo samotny, a co za tym idzie, ogarnął go lęk i zamilkł; szlochał cichuteńko, łzy płynęły mu po twarzy.

Spojrzał w górę na dach spichrza, nad którym słońce wyglądało spod dużej chmury. Od razu zrozumiał, co należy zrobić – trzeba pójść do Boga na skargę.

Bóg był bardzo daleko. Mieszkał tam, gdzie słońce zachodzi, tak mówiła matka. A zachodzi niezwykle daleko, po drugiej stronie spichlerza; Anders bywał tam bardzo rzadko, nigdy sam. Blżej jednak nie było komu się poskarżyć.

Wstał bez namysłu i ruszył w drogę.

Szedł, szedł ścieżką ku stodołę i zachodowi słońca i jeszcze dalej, aż do Boga.

Szlochał i płakał. Ale nie głośno, bo Gorina mogłaby usłyszeć i nadejść. A Pan Bóg i tak słyszy.

Szedł, szedł. Wreszcie znalazł się w kręgu rozległego cienia, zrozumiał, że idzie w złym kierunku, bo to dach spichlerza rzucał ten cień. Pojął, że obrał niewłaściwą drogę do Boga; trzeba zawrócić, obejść dokoła chlewu i karmnika dla świń, zrobić duże okrażenie.

Zawrócił więc i poszedł naokoło chlewu, naokoło karmnika dla świń. Po drodze napotkał duży, piękny kaczeniec, miał ochotę go zerwać i dotknąć nim czyjejs brody, przekonałby się wtedy, czy ten ktoś je dużo masła. Minał go jednak, nie miał czasu zatrzymać się ponieważ musiał iść do Boga na skargę. A poza tym nie miał nikogo, komu

mógłby potrzymać go pod brodą, bo wszyscy byli na niego źli. Kiedy o tym pomyślał, znowu zaczął szlochać i płakać.

– Chruń, chruń – mówi olbrzymia maciora cofając się o przegrodę w chlewie. – Chruń, chruń!

Początkowo nie słyszał, co mówiła, bo myślał o czym innym. Dopiero po chwili zrozumiał. Prosiła, czy by nie zechciał podrapać jej za uchem. Chętnie by to zrobił, była przecież bardzo sympatyczna, kiedy zadowolona chrząkała po cichu: chruń, chruń, chruń! Nie miał jednak czasu, musiał iść uzalić się Panu Bogu, więc nie mógł ani pozwolić się zatrzymać, ani zapomnieć, że trzeba szlochać i płakać.

Dokoła chlewu rosły kępy czerwonego szczawiku. Największy przysmak ze wszystkich, jakie znał, bo kiedy go żuł, ślina napływała do ust, kwaśny smak łaskotał podniebienie i wtedy nie mógł pohamować śmiechu. Teraz jednak zerknął tylko na szczawik i poszedł dalej, bo nie miał czasu, szedł do Boga na skargę.

Potem obcy kot wyszedł mu naprzeciw, był szary, pręgowany jak tygrys w książce. Trącał mordką żdźbła trawy i prosił, żeby go podrapać po łebku. Anders stanął i wytłumaczył mu, że zrobiłby to chętnie, bo lubi słuchać mruczenia kota, ale nie ma czasu, nie może się zatrzymać – idzie do Boga na skargę.

Już niemal okrążył chlew i zagrodę dla świń, za chwilę obejdzie dokoła spichlerz i skieruje się prosto ku zachodowi słońca do Boga.

Najwyższy czas zastanowić się, co należy powiedzieć Bogu.

Trzeba powiedzieć:

„Jestem małym chłopcem, dla którego wszyscy są źli. Aasa mnie szturchnęła, Tora szarpała za włosy, Kari kpiła ze mnie, a Gorina się złościła. Tora na mnie naskarżyła, Gorina mnie zbiła, bo Gorina jest stara wiedźma i trzyma stronę dziewczyn przeciwko mnie, a kiedy w domu nie ma ani ojca, ani matki, ciągle mnie bije...”

Przypomniał sobie, że Bogu zawsze należy mówić prawdę. A tak naprawdę dotychczas Gorina uderzyła go tylko jeden raz. Zaczął od początku:

„...a kiedy w domu nie ma ani ojca, ani matki, często mnie bije i mówi, że jestem wstrętny”.

Tu zastanowił się chwilę.

Może Pan Bóg zapyta: „Czemu nalałeś wody do trzewików Tory?”

Wtedy odpowie:

„Zrobiłem to, bo Tora była nieznośna. Nie chciała mnie zabrać na poziomki, powiedziała, że byłem niegrzeczny dla Aasy. Dlatego wziąłem odrobinę wody i nalałem do

jej buczików, żeby ją troszeczkę podrażnić. Nie myślałem, że się w nie ubierze, myślałem tylko, że je weźmie i znajdzie w nich wodę, a ja będę podpatrywał, jak to będzie, Kiedy zobaczy w nich wodę...”

Poczuł się pewniejszy, Pan Bóg na pewno weźmie jego stronę. Ruszył zatem dalej.

Na pastwisku rosła bujna koniczyna. Pełno wonnej koniczyny i pełno trzmieli, które fruwały i buczały, każdy na inną nutę. Przyszło mu na myśl, że znał ich pieśń, tylko jej nie pamiętał. Zatrzymał się zatem, aby ją sobie przypomnieć. Całe roje trzmieli buczały na wyścigi, a każdy z nich zdawał się nucić własną pieśń. Anders nie mógł ich rozróżnić. I wtedy przypomniał sobie, że musi iść dalej do Boga na skargę, a więc nie należy się zatrzymywać. Panu Bogu powie:

„Jestem małym chłopcem i nikt mnie nie kocha, wszyscy gniewają się na mnie. Aasa mnie poszturchuje, Tora szarpie za włosy, Kari drwi ze mnie, a Gorina się złości. Tora poskarżyła się na mnie i Gorina mnie zbiła, wszyscy zmówili się przeciwko mnie i zjedzą moje poziomki. Kituś nie chce mnie znać, a ojciec i matka pojechali daleko...”

Szedł i szedł bez końca. Od dawna minął chlew i zagrodę dla świń, teraz okrąży spichlerz i ujrzy zachód słońca oraz Boga.

Silny blask bije od Pana Boga.

Od Boga bije okropnie silny blask, chyba zatem daleko jeszcze do zachodu słońca, i chyba także nie warto się spieszyć. Światłość bijąca od Boga jest aż za duża, więc lepiej przedtem trochę rozejrzeć się dokoła.

Przed nim ciągnęła się otwarta przestrzeń, same pola i łąki. Wszędzie pełno trzmieli, jeden bzyknął mu tuż przed nosem i uciekł; szkoda – już zaczynał rozumieć jego pieśń.

Doszedł do rowu, trzeba się dostać na drugą stronę, tam gdzie rośnie dużo pięknych kwiatów. Pan Bóg też mieszka po tamtej stronie.

Rozejrzył się, nie widać nikogo, kto by mu przyszedł z pomocą. Zrozumiał więc, że o to właśnie chodzi – o to, żeby sam sobie poradził. Wszedł do rowu.

Dno było wilgotne, gliniaste, zarośnięte trawą usianą kwiatami. Stary żuk siedział i patrzył na niego. Był taki stary, aż pozieleniał na grzbiecie. Może to troll albo zaczarowany książę? A może po prostu zwyczajny, stary żuk? Zapytał go o to, lecz żuk milczał, siedział cichutko, właściwie nie wiadomo czy przygląda się Andersowi, czy też nie.

Anders przypomniał sobie, co Embret opowiadał o żukach. Mówił, że to najsilniejsze ze wszystkich stworzeń. Jednym z najsilniejszych jest pchła, bo skacze tak wysoko, że gdyby człowiek potrafił jej dorównać, to skoczyłby wyżej niż kościelna wieża. Żuk natomiast potrafi udźwignąć na grzbiecie kawał ołowiu większy od siebie. Embret czytał o tym kiedyś w

gazecie.

Anders rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co by pozwoliło wypróbować żuka i zobaczył dużą dżdżownicę mieszkającą pod grudą ziemi. Była długa, bladoróżowa, jednakowa na obu końcach – jak każda prawdziwa dżdżownica – i jak przystoi, miała niezliczoną ilość jasnoróżowych pierścieni na całym ciele. Prężyła się i skręcała, jakby chciała coś obejrzeć, ale to nieprawda, dżdżownice są ślepe.

Tuż obok rosło kilka okazałych, świeżych liści babki, prawie tak dużych i okrągłych jak spodek. Można położyć dżdżownicę na liściu babki, a liść babki na grzbiecie żuka i wtedy okaże się, czy żuk udźwignie dżdżownicę. Kawałek ołowiu większy od żuka na pewno więcej waży, ale i ten ciężar wystarczy – też jest większy od żuka. Zresztą Anders nie miał ołowiu.

Chwycił dżdżownicę, ułożył ją na liściu, mówiąc jednocześnie:

– Bądź rozsądnym robakiem i nie bój się, ja nie zrobię ci nic złego, nie nadzieję cię na haczyk, nie będę tobą łowił ryb, położę cię tylko na plecach tego żuka, a potem zobaczymy, czy jest silny.

Dżdżownica zdawała się rozumieć, choć musiała być bardzo głupia, bo nie miała głowy, zwinęła się jednak w kłębek na środku liścia babki; będzie z niej doskonałe obciążenie dla żuka. Właśnie Anders zamierzał umieścić ją na grzbiecie żuka, gdy ten nagle rozchylił pancerz, wysunął parę przezroczystych skrzydeł, pomachał nimi, zabrzczał i pofrunął.

Anders był zdumiony. Nigdy nie słyszał, by żuk umiał fruwać. W takim razie może to nie jest prawdziwy żuk? Może to troll albo zaczarowany książę...

Położył z powrotem dżdżownicę tam, skąd ją wziął. Natychmiast ukryła jeden koniec pod bryłą gliny, jakby chciała uczepić się jej mocno i nigdy już nie siedzieć na liściu babki. Anders wetknął liść w ziemię, jeżeli to jest roślina, to może rosnąć znowu na dawnym miejscu. Następnie zaczął się rozglądać za innym zajęciem.

Nieco dalej w rowie zobaczył piękną kałużę. Mieniła się zielono i brązowo, lśniła niemal jak skrzydła ślicznego motyla. Podszedł do kałuży, ściągnął but i pończochę z jednej nogi, na sznurowadle drugiego buta zrobił się supel, więc nie mógł go zdjąć; nie ma rady, trzeba brodzić w jednym bucie.

Woda przyjemnie chlupała, pończocha nasiąkała zimną wodą. Cudne kręgi powstawały na wodzie, lśniąca zielona powierzchnia łamała się, połyskiwała szaro niby prawdziwe skrzydło motyla. Nagle zamigotała na dnie żółtą barwą, potem cała pożółkła i zmętniała. Anders przykucnął na skraju kałuży i mieszał w niej patykiem. Przypominała teraz duże żółte jezioro o zamulonych brzegach, wzdłuż których jak okiem sięgnąć, nie widać ani jednego domu. Może na dnie tego jeziora mieszka wielki potwór, może za chwilę ze

zmaconej toni wyłoni się troll ociekający wodą, spojrzy na Andersa dużymi, błyszczącymi i zielonymi oczami: – Hu hu hu! Czekaj zaraz cię porwę! – woła troll.

Zląkł się tak okropnie, aż wypuścił z ręki patyk i wybuchnął płaczem. W tej samej chwili w rowie zjawił się Kituś, a zatem troll nie przyjdzie, bo jezioro znikło, pozostała tylko kałuża, muł zaczął znowu osiadać na dnie, a niewielka zatoka błysnęła zielenią.

Zaledwie Kituś zobaczył Andersa, uznał go za starego znajomego, podszedł bliżej, zaczął się o niego ocierać łebkiem i mruzczyć. Anders podrapał go po obu policzkach. Kot mruzczał nadal, ale szybko odwrócił głowę, bo Anders miał mokre ręce, potem kolejno otrząsnął łapy zmoczone w wodzie. Następnie długo je wylizywał, dopóki nie zrobiły się zupełnie czyste. W końcu wdrapał się na skraj rowu, położył się na boku i leniwie sięgnął łapką po motyla.

Tymczasem Anders coś spostrzegł. Tuż obok kałuży leżała bryła gliny, kropla w kroplę podobna do Goriny. Właściwie była podobna tylko z brodawki pod nosem, reszta w niczym jej nie przypominała. Anders zabrał się do pracy – musi być cała podobna. Powoli, stopniowo osiągnął tø, co chciał.

Do Goriny żywił głęboką urazę, więc po skończeniu swego dzieła zamierzał utopić ją w stawie. Ale kiedy ulepił ją bardzo pięknie, spodobała mu się ogromnie i już nie miał ochoty jej topić. Może lepiej wziąć drugą bryłę gliny, zrobić Torę, która była dla niego taka niedobra i utopić ją zamiast Goriny. Znalazł wspaniałą bryłę i zaczął lepić Torę. Zadanie było znacznie trudniejsze, bo nie miała brodawki; a zatem od czego zacząć? Właściwie Tora nie miała nic, od czego można by zacząć. W końcu przyszło mu na myśl rozpocząć od ust szeroko otwartych, gdy woła: „Ksy ksy ksy, wstrętny smarkacz!” Od razu zrobiła się podobna. Potem ulepił Kari i Aasę, nabrał ogromnej wprawy, nie miał już najmniejszych trudności. Po prostu Kari była najmniejsza, a Aasa jeszcze mniejsza i obie wołały: „Ksy ksy ksy, wstrętny smarkacz!”

Ustawił je rzędem na brzegu kałuży.

Właściwie powinien wszystkie utopić w stawie. Ale szkoda, bo takie ładne, wołałby raczej zawołać je, niech by podziwiały, jak ślicznie je wykonał.

Tora nie chciała stać prosto, musiał zatem podeprzeć ją patykiem. Musiał ją całą naszpikować patykami, zanim zgodziła się stać prosto.

Wobec tego, że Torę przebił patykiem, to i Kari należało nadzieć na patyk.

A skoro je przebił, to obie umarły. Aasy jednak nie uśmiercił, była taka malutka. Goriny także nie, bo była bardzo ładna, miała brodawkę, a nadto obawiał się, żeby się nie rozleciała, gdy wbije w nią patyk.

Skończył swoje dzieło i spojrział w górę. Zobaczył, że Bóg ukrył się za dużą, siną chmurą. Może poszedł spać? Może się pogniewał na Andersa za to, że nie przyszedł do niego od razu?

Zląkł się trochę. Ale jednocześnie troszeczkę się ucieszył, bo właściwie nie wiadomo, co by Pan Bóg powiedział na tę wodę w bucikach Tory!

Może by również zapytał o ciastko Aasy? Chociaż ono na pewno było za duże dla bardzo, małej dziewczynki.

Dzisiaj już za późno iść do Pana Boga. Trzeba to odłożyć na inny dzień.

Od razu poczuł się dumny i zadowolony.

Był tak ogromnie zadowolony, że musiał pokrzyknąć. Wstał i zaczął wołać:

Tora gapcia!

Nałóż kaptura!

Przecież chciał, żeby to właśnie zrobiła!

Te słowa brzmiały niezwykle pięknie, toteż musiał wołać nadal:

Tora gapcia!

Nałóż kaptura!

Jeszcze raz:

Tora gapcia!

Nałóż kaptura!

Wołał raz po raz, aż echo odbijało jego głos od ścian spichrza. Czuł przy tym coraz większą dumę i zadowolenie. Nagle uprzytomnił sobie, że ułożył piosenkę, i to z rymem. Taką samą jak:

Noe staruch

Ugryzł się w paluch

Albo jak ta:

Mały Peter Lassen siedzi i płacze:  
Mej łodzi rybackiej nigdy nie zobaczę.

Wołał, najgłośniej jak tylko mógł:

Tora gapcia!  
Nałoż kapcia!

Dotychczas nigdy czegoś podobnego nie doznał. Miał wrażenie, że nagle urósł. Wszystko należało do niego: rów, w którym stał, pola ciągnące się dokoła, żywopłot, na którym siedzi pliszka, bułany koń i złociste źrebię na pastwisku, i wyniosłe ciemne wzgórza, i słońce daleko za ławicą chmur – to wszystko do niego należało, ponieważ zawierało się w jego piosence. Ilekroć ją powtarzał, słowa zdawały się nabierać nowego znaczenia, za każdym razem znaczyły co innego i wszystko to było jego własnością.

Z wielkiej radości zapragnął zobaczyć tutaj Torę, Kari i Aasę, żeby się z nimi tym wszystkim podzielić.

Bez przerwy wołał:

Tora gapcia!  
Nałoż kapcia!

Kitus wstał i ze zdumieniem przyglądał się Andersowi wąskimi szparkami żółtych oczu.

W końcu Anders zmęczył się, zabrakło mu słów, więc usiadł w rowie i niemal od razu zasnął.

Gorina stała nad nim, kiedy się obudził.

Była ogromnie zdenerwowana:

– Chwała Bogu, że cię znalazła. Bałam się o ciebie okropnie. Gdzie ja nie byłam, aż posłyszałam twoje wołanie i zrozumiałam, jak się boisz – moje biedne, małe złotko!

Przyjrzała mu się uważniej:

– Coś ty zrobił, fuj, cały ubabrany w błocie!

## Trolle w lesie Hedal

WSZYSTKO uległo przeobrażeniu.

Dni były inne niż dawniej. Często bywały srogie, ostre, wcześniej układały się do snu. Słońce znikало, deszcz padał, wiatr dął. Brzozy pod płótem trzęsły się i drżały, Kall Nordavind nadlatywał i obdzierał je z liści.

Wieczorami ciemno jak w kominie, smutny pies skomli za węglem domu.

Dorośli mówili, że to jesień. Kasłali, charczeli, wycierali nosy i smętnym wzrokiem wypatrywali słońca. – Jesień – mówili.

Mimo wszystko jesień przez pewien czas była dosyć przyjemna. A było to w porze, kiedy pracowali w polu. Zjawiało się więcej ludzi aniżeli zwykle, niektórzy byli nowi. Jeden z nich nazywał się Anton – bardzo dziwna sprawa, w czasie sianokosów też przychodził człowiek imieniem Anton, ten nowy był mniejszy, nie miał włosów kasztanowatych tylko rude i pełno piegów na twarzy. A obaj mieli na imię Anton.

Później zboże suszyło się na żerdziach. W dzień można było bawić się w chowanego między żerdziami. Lecz wieczorami, po zapadnięciu zmroku, na polach pojawiały się duże, ciemne, kosmate ropuchy, siedziały zupełnie spokojnie, patrzyły i nasłuchiwały. Natomiast jeśli mgła nadciągała, wszystkie ropuchy ożywały, sunęły naprzód coraz większe, w obszernych kosmatych futrach. Wtedy Anders zawracał ku domowi.

Pewnego dnia śnieżna chmura szybująca na południe ukazała się wysoko, wysoko.

– Dzikie kaczkę – orzekli dorośli i długo śledzili je wzrokiem, dopóki śnieżny obłok nie rozpułnął się w przestworzach, hen, w południowej stronie.

– Jesień – powtarzali raz po raz, potem długo stali w milczeniu, zanim znowu pochyłili się nad swoją pracą. Anders wiedział, że ogarnia ich smutek i sam głęboko się zasmucił.

Potem jednak nastало wiele miłych dni, do domu przyszło znowu wiele ludzi, kopali kartofle, cały dzień spędzali na polu. Zrobiło się zimno, mgła zawisła na koronach drzew, ale w polu było ciepło. A jeśli dłonie grabiały od zimnej i wilgotnej ziemi, szli do dymiącego ogniska, wyciągali nad nim ręce, gawędzili i śmiali się. Anders przyglądał się Antonowi. Powrócił ten od sianokosów, piegów miał bardzo mało, ale był najzabawniejszy wszystkich Antonów, bo włosy wyrastały mu z uszu. Po chwili Anders zostawał sam przy ognisku, dorośli wracali na pole i znowu kopali, Anders widział tylko ich nogi i szczyt pagórka. W powietrzu krążyły dwie wrony.



Pewnego dnia skończyło się kopanie ziemniaków, zboże zwieziono do spichrza. Pola opustoszały. Tylko Embret krążył nadal po polach, po kartoflisku: zbierał motyki, żerdzie i widły, a także puste skrzynie na ziemniaki. Deszcz na niego padał, przemókł do nitki. Wszędzie pusto – znacznie puściej niż przedtem.

Na dworze też było nieprzyjemnie. Wszystko, co dawniej bawiło Andersa, straciło urok. Niemilo zakradać się pod stodołę w poszukiwaniu jajek, bo ziemia wilgotna i zimna, a poza tym ciemno i jaj nie ma. Nie bawiło go zakazane wchodzenie do przydrożnego rowu – za chłodno żeby zamoczyć nogi. Nawet bieganie po podwórzu i ślizganie się na mokrych liściach przestało go bawić, bo od razu był cały mokry i zziębnięty.

Czuł się samotny. Z podwórza znikły ptaki, na które można popatrzeć, tylko od czasu do czasu przylatywała wrona, ale wrona jest szara, i czarna, i tak brzydko kracze, że trudno ją uznać za ptaka.

Anders dobrze pamiętał ostatnią jesień. Wówczas też było ciemno, wiatr dął i deszcz spływał po szybach. Lecz zeszłoroczny deszcz był mniej mokry, a liście na których się ślizgał mniej wilgotne niż w tym roku.

Tak, Anders stanowczo uważał, że w dawnych czasach jesień była miłsza.

Natomiast w kuchni czuł się dobrze. Piec i ściana były ciepłe. Pod piecem leżał kot o wąskich zielonych szparkach oczu. Najdziwniejsze zaś było to, że dopóki leżał pod piecem, miał oczy jasnozielone, jeżeli zaś Anders go stamtąd wyciągnął – zielone iskierki, którym chciał się przyjrzeć z bliska, zniknęły.

Czasem Anders i Aasa siadywali każde na własnym stołeczku. Gorina pięknie opowiadała przeróżne historie. Opowiadała o małych chłopcach, którzy spotkali trolle w hedalskim lesie.

– Dawno, dawno temu dwaj mali chłopcy mieszkali w małej chatce, o tam, na północy, a byli bardzo biedni, nie mieli nic do jedzenia, musieli więc chodzić z koszykiem i z sakwą, aby uzbierać trochę pożywienia. Pewnego razu jesienią poszli przez hedalski las aż do Hedal, i wtedy to zabłądzili w gęstym borze, noc zapadła, dął straszny wiatr. Uuuuu – wył. Ukryli się pod skalnym występem. Starszy miał małą siekierkę, toteż narąbał gałęzi i nazbierał mchu, żeby mieli na czym spać. A kiedy tak leżeli drżący i zziębnięci, czuli okrutny głód i zmęczenie, bo przez cały dzień nic nie jedli ani nie pili. Dokoła panowała taka ciemność, że nawet wyciągniętej ręki nie było widać, a wiatr dął i szumiał w lesie. Uuuuuu – wył.

– Aż tu nagle usłyszeli szuranie i stapanie pośród drzew, jakieś kroki tak ciężkie, aż ziemia dudniła i jęczała. Chłopcy domyślili się, że w lesie mieszkają trolle, które teraz wyszły

ze swoich kryjówek. Potem zaś usłyszeli zawodzenie i wycie: „Uuuuu! – nawoływały trolle. – Tu pachnie chrześcijańską krwią!”

W tym miejscu Gorina przerywała, bo wystraszona Aasa zaczynała krzyczeć i nie chciała słuchać dalszego ciągu. A to dlatego, że była bardzo mała, no, a poza tym – dziewczynka! Wobec tego szła spać.

Anders jako starszy i jako chłopiec nie bał się. Rozglądał się dokoła: w kuchni, szczególnie za stołem, w samym rogu było dość ciemno, za szafą jeszcze ciemniej, okna też wyglądały strasznie ciemne i brzydkie, ale nie bał się, bo chciał, żeby Gorina opowiadała dalej. Opowiadała więc Andersowi o trollach, które miały tylko po jednym oku, ale tak dużym jak szyba, a tak błyszczącym jak siedem księżyców. O chłopcu, który siekierą ciął w łydkę ostatniego w rzędzie trolla, wyjął mu oko i z pełnym koszem złota i srebra wrócił do domu, do matki. Tymczasem daleko, w hedalskim lesie, troll krąży i szuka swojego oka, a przy tym jęczy: „Gdzie moje oko! Gdzie moje oko! Uuuuu” – wyje.

Anders już zupełnie wyzbył się strachu. Skoro wszystko dobrze się skończyło, nie ma powodu do lęku. Zresztą ojciec mu obiecał, że dostanie siekierę, kiedy skończy pięć lat.

Po chwili jednak lęk budził się znowu. Blask padający od komina migotał i płonął na ścianie, cienie skakały i tańczyły dokoła, na dworze deszcz padał, wiatr wstrząsał domem. Uuuuu – wył. Drzwi do sionki otwierały się z trzaskiem; w sieni panowały ciemności, drzwi wyjściowe stały otworem, za nimi słał się jeszcze głębszy mrok, drzewa szumiały i wzdychały.

Andersa nawiedziło wspomnienie ogromnych drzew rosnących na zboczu wzdłuż drogi do sklepiku. Tam jest hedalski las.

Nie. Bór hedalski to raczej sosnowy las za piwnicą na ziemniaki, bo tam wieczorem jest strasznie ciemno.

A może las w Hedal to gęsty jodłowy zagajnik w dole za pastwiskiem, tuż przy żywopłocie?

Anders siedział wygodnie na stołeczku pod ścianą i nie bał się ani trochę, ale z kuchni wolałby już nigdy nie wychodzić.

Anders schował się pod kuchennym stołem. Bawili się z Aasą w chowanego. Nie sztuka ukryć się przed Aasą, jest tchórzliwa i boi się zaglądać w ciemne kąty. Mógł schować się w rogu za kuchenną szafą, gdzie też jest ciemno. Albo między kredensem a ścianą, tam jest dużo ciemniej. Najciemniej jednak było pod kuchennym stołem, kiedy obie klapy zostały opuszczone. To jest las, hedalski las!

Anders ani drgnął. Aasa kręciła się dokoła i udawała, że szuka. Na pewno wiedziała,

gdzie jest Anders, nie miała jednak odwagi zajrzeć do hedalskiego lasu.

Naprawdę bardzo tu ciemno.

Na dworze wiatr wyje: uuuuuuu!

Gdyby Anders nie był odważnym chłopcem, dużo starszym od Aasy, bałby się także.

Co chwila ktoś z dorosłych przechodził przez kuchnię, spod stołu widać było tylko nogi. Jak dobrze, że są tutaj! Ale pod ich stopami podłoga dudni i ugina się. Ziemia dudni i drży.

Na ścianie błyska płomień. Na podłodze migają na przemian światła i cienie, światła i cienie, cienie podskakują i tańczą. To blask księżyca migoce między drzewami hedalskiego lasu. Nie, to raczej oko trola błyska, a cień rzucają drzewa, wiatrem kołysane.

Uuuuu!

Anders siedzi cichutko. Cienie są za nim. Może jeden z tych cieni wyciągnie długie ramię i porwie go? Bał się ruszyć, a nuż wyskoczy i złapie go. Odwrócić się też nie miał odwagi, bo wtedy na pewno by go chwycił.

Zacisnął pięść, jakby w niej dzierżył mocno siekierkę. Za rok skończy pięć lat i wtedy będzie miał w garści prawdziwą siekierę, więc nigdy już nie zazna lęku.

– Już wychodź! – woła Aasa.

Przegrała. Nie znalazła go, będzie kryła ponownie.

Anders musiał znaleźć nową kryjówkę, nie miał ochoty po raz wtóry tego samego wieczora wchodzić pod stół. Powodem był nie strach, bo cóż może grozić pod zwykłym kuchennym stołem? A jednak lepiej znaleźć inne miejsce.

Gorina stojąc przy kuchni gotowała wieszak. Jeżeli Anders schowa się pod jej spódnicę, pozostanie w pobliżu ludzi. Aż dziwne, czemu wcześniej o tym nie pomyślał.

– Czy mogę się schować pod twoją spódnicę, Gorino? – zapytał szeptem.

Spojrzała na niego, roześmiała się, lecz skinęła potakująco. Anders wśliznął się pod spódnicę. Sięgała do samej ziemi. Aasa nie mogła go dostrzec.

– Aasa, możesz już szukać! – te słowa dobiegły go z dużej wysokości. Z bardzo daleka.

Żar z komina przenikał przez spódnicę i grzał Andersa. Ciemno. Ciemniej, niż pod stołem. Tylko coś czerwonego prześwituje przez materiał spódnicy; pewno drzewczki od paleniska. Było mu niewygodnie, ale nie mógł się ruszyć. Źle wybrał, pod stołem było jaśniej i przyjemniej. Zamierzał przykucnąć trochę wygodniej, gdy coś nadeszło – drgnął i siedział cicho jak mysz.

Co to? Rozległy się ciężkie kroki, podłoga dudniła i drżała. Coś na niego wionęło

zinnem, szumiało, buczało, stapało i tupało, mówiło grubym głosem, kasłało, charczało, ryczało i złościło się. Uhuuuu – wyło.

Wstrzymał oddech. Był w hedalskim lesie! A w lesie potwornie ciemno, własnej ręki nie widział! Las go więził. Tuż za plecami wyczuwał łydki trolla. Jego wstrętne jedyne oko rzucało czerwone błyski i patrzyło, patrzyło na Andersa. Troll zaraz go porwie!

Co tak tupało i dudniło w lesie?

Jego własne serce biło, mocno łomotało.

Uhuuuuuu! – rozlegało się za nim.

To nieprawda, że nie czuł lęku! Bał się strasznie i jeśli tym razem zdoła ująć cało, nigdy więcej nie będzie kłamał, nigdy nie będzie udawał odważniejszego, niż jest.

– Już wychodź – usłyszał z bardzo daleka.

– No Anders, możesz wyjść! – wołała Gorina z wysoka.

Wyśliznął się z ukrycia.

Wszyscy mężczyźni już zebrali się w kuchni i zasiedli do stołu. Przecież wiedział o tym cały czas. Dzisiaj dzień młocki.

Na widok Andersa wybuchnęli śmiechem. Ryczeli ze śmiechu.

– A gdzieś ty siedział? – zawołał Anton.

Znowu wybuchnęli śmiechem.

– To ty włazisz Gorinie pod spódnicę – dodał Anton.

Śmiali się bez przerwy. Anton zaś popisywał się nadal.

– Wcześniej zaczynasz!

Śmiali się. A najgłośniej Anton. Zanosił się od śmiechu, aż mu kępki włosów w uszach podrygiwały z radości.

Wszyscy się śmiali. Embret i Gorina, a także Aasa, ta małą tchórzliwa dziewczynka, też się śmiała.

Anders udawał obojętność. Nawet nie spojrzał na Antona. Ale w przyszłości, gdy Anton zaśnie, Anders wyrwie mu wszystkie włosy z uszu. Nawet nie spojrzał na Aasę. Jutro złapie ją i porządnie wytarza w mokrych liściach. A Gorinę... Zresztą mniejsza z tym gdy chodzi o Gorinę, bo Gorina była stara i obrośnięta mchem na plecach. Anders był zadowolony. Siedział bezpiecznie na stołeczku pod ścianą, nikt nie czaił się, żeby go porwać. W rzeczywistości wcale się nie bał, bo to wszystko było na niby i cały czas o tym wiedział; ale nigdy, nigdy nie pójdzie do Hedal do lasu.

## Żmija

ANDERS stał na strychu wychodzącym na północ. Na dworze był dzień, tu jednak panował półmrok jak zawsze. Wieczorem zmierzch rodził się tutaj i niby ciemna mgła spływał schodami, wypełniał dolną część domu.

Cienie tutaj mieszkały.

Na strychu były dwa okna, każde o kilku szybach. Oba wychodziły na północ, szyby pokrywała gruba warstwa kurzu, a całe poddasze wypełniały sprzęty, rzucając długie cienie. Krzesła na trzech nogach, stara szafa bez drzwi, kulawy kredens, dwie szerniałe maglownice, szczątki wiszącej lampy osnutej pajęczyną, stos popękanych misek i kubków, dwa zaśniedziałe lichtarze, obszarpana biblia, a wreszcie zawieszony na długich drągach stary, butwiejący przyodziewek świąteczny, który poruszał się i ożywał na wietrze. Były tu także stare, poczerniałe kołowrotki, motowidła oraz warsztat tkacki malowany na czerwono. Wisiały również stare futra, ogromna baranica i strzęp brązowej psiej skóry. Po kątach walały się stopy starych butów z rozdziawionymi, bezzębnyimi paszczami, tylko niektóre błyskały żółtymi pętelkami i drewnianymi kłami.

Wszystko to Anders znał od dawna. Jeśli znalazł się na strychu w liczniejszym gronie, uważał to miejsce za interesujące. Teraz jednak siedział tu sam, zamknięty za karę. Drzwi zatrasnęły się za nim z przerażającym skrzypieniem.

Bał się poruszyć, nie miał odwagi się obejrzeć, bo coś za nim cicho przycupnęło i patrzyło. Nie miał odwagi krzyżeć. Nie śmiał zamknąć oczu, bał się także podnieść wzrok i spojrzeć.

Wtem ujrzał to Coś. Siedziało w głębi najciemniejszego kąta, było czarne i patrzyło na niego. Początkowo wyglądało jak but z dwoma czerwonymi ślepiami; ale kiedy Anders się poruszył, Coś też zrobiło ruch i zamieniło się w szczura przyczajonego za dużą, szarą skrzynią i wpatzonego w Andersa.

Serce w nim zamarło na dłuższą chwilę, jakby się zastanawiało. Potem zaczęło bić prędko, prędko i znowu zamarło.

Czy rzeczywiście coś się poruszyło? Wtem szczur skurczył się w kącie. Świsnął! Pędem rzucił się ku Andersowi; przypominał duży, brązowy kłębek, za którym wlecze się przedza, świstał bez przerwy, tocząc się naprzód ciałem po ziemi bez pomocy nóg.

Anders wrzasnął i skoczył krok w tył. Wystarczyło. Szczur zląkł się, zatoczył łuk,

umykał prędko, prędko, dotarł do przeciwległego kąta i zniknął. Anders przykucnął w tym miejscu, w którym stał.

Siedział cichutko. Ogromny, mroczny strych zalegała absolutna cisza. Cisza tak głęboka, aż w uszach dzwoniło. W tej ciszy niemal było słychać opadający kurz, niewidoczny, bezszelestny, z wolna pokrywający wszystko, co się tutaj znajdowało. Od czasu do czasu prawie nieuchwytnie trzasnęło krzesło, zaskrzypiała szafa, coś zaszurało w kącie. Omotała go pajęczna sieć dźwięków niedosłyszalnych dla ucha.

Ktoś wszedł. Kto to? Gorina? Później absolutnie nie mógł sobie tego przypomnieć.

– Będiesz już teraz grzeczny? – zapytała.

Musiała coś dostrzec w jego wzroku, bo wzięła go na ręce i zniosła na dół.

Znalazł się daleko od domu. Wyszedł z Andrea w niedzielny wieczór.

Wiosna nadeszła; niebo było wiosenne, ale śnieg jeszcze leżał na ziemi. Pewno spadł w nocy, gdyż był zupełnie biały i czysty. Ale pod nim krył się lód, nierówny, chropowaty po niedawnej odwilży; śnieg topniał, potem znowu zamarzał, zachowując ślady licznych obutych stóp.

W Berg podwórze było rozległe. Stała na nim gromada dorosłych, zajmowali je niemal całe.

Na podwórzu leżał śnieg, natomiast drogi pokrywał lód, miejscami stała woda. Śnieg rozmiękał pod wpływem słońca, ale właśnie zaczynał brać przymrozek – tak ktoś powiedział. Ze wszystkich dachów kapiała woda, jak zazwyczaj w niedzielę, wczesną wiosną. Anders stojąc w gromadzie dorosłych czuł zapach wełny, wody oraz topniejącego śniegu i skórzanych, przemoczonych butów. Dorośli stali kręgiem i rozmawiali wesoło. Andersa ze wszystkich stron otaczały nogi mężczyzn i spódnice kobiet; śmiechy i rozmowy dolatywały go z wysoko, słyszał także kapanie z dachów gdzieś w dali, chrzęst śniegu tuż obok, gdy ktoś przestępował z nogi na nogę. Jakiś mężczyzna stał jedną nogą w kałuży, nawet nie zauważył, że woda chlupała, ilekroć ruszył nogą.

Ktoś krzyknął: – Byk się urwał! – Dokoła Andersa nagle powstała pustka.

Zupełnie jak we śnie. Stał oniemiały, bał się poruszyć. Widział jednak wszystko, wszystko zobaczył od razu.

Widział jednocześnie wszystko, co działo się dokoła, poszczególne obrazy łączyły się razem, tworzyły niejako jedną całość. Choć Anders stał w samym środku – jakby go nie było. Zobaczył, że wszyscy dorośli odskoczyli, ujrzał zwartą masę pleców, dużą, ciemną, ruchliwą plamę na tle białego śniegu; spódnice zafurkotały, zamigotały, zatupotały podkute

buty. W dali pod oborą rosła ciemna plama, ziemia dudniła, huczała, byk zbliżał się, coraz większy. Między bykiem a Andersem leżał dziedziniec, cały biały z szarymi ścieżkami, pusty, ogromny, lecz zmniejszający się coraz prędzej, w miarę jak byk nadbiegał. Na środku podwórka pośród bieli widniała ciemna, czworokątna plama studni, żuraw rysował się długą, czarną skośną linią na tle czerwonych murów spichrza i jego ośnieżonego dachu i sięgał daleko w głąb szafirowego nieba. Cienki, ciemny sznur zwisał z żurawia, przecinał błękitne niebo, biały śnieg, dwie szare ścieżki i kończył się przy pałaku wiadra, zawieszzonego wprost nad studnią. Byk dudnił coraz głośniej, dobiegał do studni. Może studnia zagrozi drogę bykowi... może żuraw spadnie i zamknie mu drogę.

Coś oderwało się od tłumu pleców, ktoś się odwrócił, to Andrea dała susa, chwyciła Andersa za rękę, omal mu jej nie wyrwała, potem frunął w powietrzu, aż w uszach gwizdało, jakież drzwi otworzyły się przed nimi a następnie zatrzasnęły z takim hukiem, że dom zadrżał w posadach. Znaleźli się w ciemnej izbie pełnej ludzi, mężczyźni mocno zaparci nogami w ziemię podparli drzwi. Coś waliło w nie bez przerwy, wstrząsając całym budynkiem. Dziewczyny z płaczem tłoczyły się do okna, ale bały się wyjrzeć. Na dworze rozległ się głos mężczyzny: ktoś powiedział, że pastuch przyszedł i chwycił byka za kółko w nozdrzach. Potem wszyscy jednocześnie wypadli z czeladnej izby, na drugim końcu podwórza pastuch prowadził byka, wszystko się skończyło, wszyscy mówili jednocześnie i śmiali się, bo nic im przecież nie groziło.

Poszli do domu. Większą część drogi Andrea niosła go na rękę, bo szedł z trudem, jakby nogi odmawiały mu posłuszeństwa, chociaż okazał dużo odwagi, nie krzyczał ani nie płakał. – Jeśli tak będzie dalej, to jak dorośnie, będzie niezwykle dzielny. W domu nie warto opowiadać o tej przygodzie, bo w ogóle nie było najmniejszego niebezpieczeństwa. Andrea miała na policzkach dwie szerokie smugi – ślady łez.

W domu o niczym nie opowiadał, Andrea pogłaskała go po głowie, dała mu ciastko i szepnęła, że był bardzo odważny. Lecz dziwna rzecz: wieczorem nie miał chęci do zabawy, stał w kącie, a wydawało mu się, że stoi na rozległym pustym podwórzu i byk pędzi wprost na niego; widział studnię obojętną, zimną, i żuraw przecinający niebo na ukos, obojętny, niewzruszony.

Nadeszła pora spoczynku, więc się położył, zasnął. We śnie stał na białym, pustym, bezludnym podwórzu i coś ku niemu pędziło. Wszyscy go opuścili. Studnia stała oziębła, spokojna, nieporuszona, żuraw niby ogromny palec, wskazujący na niebo, też stał oziębły i spokojny, ani drgnął. Stał bez ruchu, odwrócony do Andersa chudym zimnym grzbietem. Anders był zupełnie sam, cichy lodowaty strach przenikał go na wskroś. Przenikał przez

ubranie, pełzał po całym ciele, powoli obejmował go uściskiem, tak że Anders nie mógł ani odetchnąć, ani się ruszyć, musiał stać jak wryty, a coś pędziło ku niemu coraz bliżej, bliżej.

– Co ci jest, moje dziecko? – spytała matka budząc Andersa. – Okropnie jęczysz. Możeś chory?

Anders był bardzo dzielny, o niczym nie wspomniał, tylko dygotał z lekka, więc matka wzięła go na ręce i przeniosła z dzieciennego łóżka do własnego. Tu było bezpiecznie, ciepło, i dobrze; choćby coś wyskoczyło z jednej strony, z drugiej jest przecież matka, ona się odwróci, skoczy, chwyci go za rękę, a wtedy Anders pofrunie do izby, gdzie nic mu nie grozi.

– Psujesz chłopaka! – stwierdził ojciec pewnego wieczora. – Trudno żeby ciągle z tobą spał, musisz to zrozumieć!

Wobec tego matka znowu układała go do snu w dzieciennym łóżku. Bał się, ale był dzielny, nie krzyczał ani nie płakał, nawet by się nie odważył, skoro ojciec wydał rozkaz. Ale sen się powtarzał i nikt nie przychodził mu z pomocą. Jęczał i budził się od własnego jęku, lub też budzili go rodzice pochylając się nad nim.

– Coś mu się przydarzyło – mówiła matka.

Ojciec milczał. Gładził go tylko po czole. Dziwna rzecz, zupełnie jakby coś od niego odgarniał. Żuraw zniknął, nie odwracał się od Andersa chudymi plecami, obojętny i spokojny. Anders zasypiał ponownie już bez snów.

Później przesypiał wiele nocy bez snów. Aż nagle dotknięcie ojcowskiej ręki traciło moc, wszystko co od niego odgarnęła – powracało. – Znowu stał na środku pustego, ogromnego podwórza. Coś biegło ku niemu, budził się z krzykiem, rodzice znowu stali pochyleni nad nim. I wówczas wiedział, że jeśli ojciec pogłaszcze go po czole, zło odejdzie, zniknie, ale nie mógł go o to prosić.

Czy to było prawdziwe wydarzenie, czy sen?

Był sam na podwórzu, wieczór zapadał. Dorośli znowu o nim zapomnieli. Chciał krzyknąć i uciec do domu, gdy coś wyskoczyło. Spod progu, spod ścian domu, zza węgła, spod stodoły obok drogi wyskakiwały ogromne, ciemnobrunatne ropuchy z dużymi brodawkami na grzbiecie i na całym ciele. Nawet oczy miały tak wielkie jak duże brodawki; lecz jeśli im się przyjrzeć bliżej, to tylko górna część oczu tworzyła brodawki, duże, wielkie brodawki; dolna część przypominała ludzkie oko, niebieskie i spokojne. A zatem to nie są ropuchy, tylko czarowani ludzie; czarownica czyha za węglem, zaraz wyjrzy i zamieni Andersa w ropuchę.

Hop! Po każdym skoku plaśnięcie o ziemię. I po każdym skoku są bliżej. Zapowiadały



deszcz, wydzielają jad, miały brodawki na grzbiecie, wydęte żółte brzuchy, zbliżały się, bo chciały go porwać. One porywają ludzi, którzy je skrzywdzili; w nocy zakradają się do domów, wspinają się do łóżek uśpionych ludzi, łażą po nich, po kołdrze, wskakują im do ust i duszą. Tak bywa, jeśli ktoś ropuchę zabije.

Hop! Zbliżają się. Jest ich mnóstwo, pełne podwórko. Jedna, trzy, mnóstwo. Czasami bywa tylko jedna. Ale ta jest większa od wszystkich ropuch, skacze, skacze, patrzy na Andersa wylupiastymi oczami, spod ogromnej brodawki, skacze bliżej, coraz bliżej, olbrzymia, milcząca, z jasnożółtym wzdętym brzuchem. Wtedy jednak zawsze zjawia się ktoś, kto usłyszał krzyk Andersa i zabiera go do domu. A może po prostu Anders budzi się, drżący i spocony? Może to wszystko było tylko snem?

Siedział na wzgórzu i wbijał patyki w szyszkę. Największej ze wszystkich szyszek przyprawi się rogi – będzie z niej duży byk, a dawny zamieni się w krowę z dzwonkiem.

Na podwórzu ktoś głośno i przeraźliwie wrzasnął. To głos Andrei. Potem zabrzmiał gniewny głos mężczyzny, a w końcu rozległ się cały chór podnieconych głosów. Anders rzucił szyszkę, obiegił dom dokoła i wpadł na podwórko. Wszyscy dorośli tłoczyli się przed pralnią. W samym środku stała Andrea z Embretem i Goriną. Opodał widać ceber na brudną wodę i nosidło. Andrea wskazywała ręką to w jedną, to w drugą stronę i krzykliwym głosem mówiła: – Szłyśmy z tym cebrem, ja na przedzie. Zobaczyłam ją tuż pod nogami i krzyknęłam, wtedy Embret... – Embret jej przerwał, mówił głośno i gniewnie, a jednocześnie pokazywał palcem: – Tu stałem przy spichrzu i wstawiałem zęby do grabi, a jak usłyszałem, że Andrea krzyknęła, to obejrzałem się i zobaczyłem... – Andrea i Embret mówili bardzo głośno, przekrzykiwali się wzajemnie:

– Podniosła głowę i syknęła, chciałam rozdeptać ją nogą...

– Obróciłem się i akurat tu, gdzie stoję teraz i... -

– I Embret się obrócił i chwycił grabie i...

– Zupełnie podniosła głowę i już chciała ukąsić, kiedy trzasnąłem ją w łeb grabiami...

– Doszłyśmy tu, gdzie teraz stoi szaflik, właśnie powiedziałam do Goriny...

Andrea wybuchnęła płaczem, nie mogła dokończyć opowiadania.

Nic nie było widać, dorośli stłoczeni w krąg, pochyleni do przodu, wypięli pośladki i zasłonili cały widok.

Potem wszyscy się rozeszli, został tylko Embret, który coś wskazywał i ojciec, który dopiero co przyszedł. Anders przystąpił bliżej.

Wcale nie była duża. Wyglądała jak czarny patyk. Anders sądził, że go oszukali.

Podszedł jeszcze bliżej.

Ruszała się. Była żywa. Choć Embret zabił ją grabiami, ruszała się, skręcała i wiała nieustannie. Anders poczuł zimno w całym ciele, jednocześnie ogarnęła go złość. Lepiej odejść, pójść w swoją stronę. Mimo to znowu postąpił krok naprzód.

Wtedy zobaczył trójkątną głowę.

– Nie masz się czego bać – powiedział ojciec. – Nie żyje, już niegroźna, jeszcze chwilę, dopóki słońce na nią pada, będzie miała pośmiertne drgawki.

W tejże chwili słońce zniknęło za chmurą, żmija nie robiła już wrażenia żywej. Ojciec otworzył jej pyszczek patykiem i obnażył jadowite zęby. Potem zwrócił uwagę Andersa na jej oczy. Powieki tworzył cienki naskórek, były przejryste jak szkło, żmija widzi poprzez nie i nigdy nie mruga oczami.

Embret opowiadał:

– Stałem przy stole i wstawiałem zęby do tych grabi. Wtedy usłyszałem, że Andrea krzyczy. Odwróciłem się. Wystawiła język z paszczy i już miała ukąsić; a Andrea bosa i nic tylko stoi i krzyczy. Machnąłem grabiami i rąbnąłem prosto w łeb.

Anders miał dosyć patrzenia na żmiję.

Mimo to patrzył, patrzył.

Nigdy w życiu nie widział nic równie żywego jak martwa żmija. Nie chce już na nią patrzeć.

Przyglądał się trójkątnej głowie, wiedział, że dotychczas nie widział nic równie brzydkiego, wstrętnego, nic tak niebezpiecznego.

Żmija nie przypominała żadnej żywej istoty. Mimo to znał ją. Wypełzła z jakiegoś sennego koszmaru.

Stał zapatrzony w nią.

Żmija wijąc się i pełznąc też mu się przyglądała.

Oczy błyskały czerwono i wyrażały wściekłość, całe ciało wydawało się żywe, choć było martwe. Pod wpływem tego wzroku Anders poczuł się osamotniony. Nie mrużyła powiek. Nie wstydziła się. Widziała poprzez powieki. Przeszywała go wzrokiem na wskroś, a udawała, że pełza przed nim w pyle drogi. Była Wstrętna i zła, a wiedziała wszystko.

Krok za krokiem cofał się do tyłu. Krok za krokiem. W końcu żmija zamieniła się w mały, ciemny patyk pełzający daleko pod pralnię. Słyszał wysoki, podniecony głos Embreta: – Złapałem grabie o tak...

Odwrócił się i uciekł. Zatrzymał się na progu domu i nagle spojrzął za siebie. Żmija nie goniła go, zamieniła się w patyczek leżący daleko na podwórzu.

Anders zabije żmiję jak dorośnie.

Dorośnie?... Przecież w głębi duszy nie wierzył, że kiedyś dorośnie, że będzie taki duży, iż potrafi zabić żmiję.

Pewnego dnia w lecie, późnym wieczorem, bryczka zajechała na podwórze. Wszyscy dobrze znali konia brunatnożółtego, izabelowatego, z czarną grzywą. Jeśli rozlegał się głośny tętent kopyt i turkot kół, jeśli woźnica na koźle migał niby czarna chmura, a za bryczką unosił się tuman białego kurzu, wszyscy wiedzieli, że jedzie Svartbekken. Koń nazywał się Bułanek. Svartbekken objeżdżał całą gminę skupując bydło na rzeź. Miał dwór, który również nazywał się Svartbekken, ale leżał bardzo daleko, właściciel wracał do domu tylko po to, aby spać i pić.

Bryczka okrążyła podwórze. Siedział w niej wysoki, barczysty Svartbekken. Nos miał mięsisty i siny. Oczy jak u świni, małe, jasne, z czerwonymi obwódkami. Nie nosił brody, lecz był nie ogolony, obrastał szczecina niby świnią. W gębie trzymał zakrzywioną fajkę; ślina, nieustannie ściekająca z kątów ust, tworzyła żółte plamy na zaroście.

Na powitanie trzasnął z długiego biczka i krzyknął do ojca stojącego w progu:

– Jak tam, zahandlujemy dzisiaj?

– Hm... czy ja wiem... – odparł ojciec.

Svartbekken ociężale zląził z bryczki. Ojciec, matka i Svartbekken weszli do obory.

Anders podszedł do Bułanka, oglądał go, tak jak widział, że robią to dorośli. Koń był okryty potem, piana z pyska spływała po wędzidle i kapiała na ziemię. Oczy konia błyskały dziko, jakby oszalał; a gdy Anders spróbował pogłaskać go po chrapach, jak zwykle robią dorośli, wpadł w prawdziwy szal, rzucał łbem i toczył białkami oczu. Przestraszony Anders pobiegł do obory.

Stali przy przegrodzie Skogliny. Svartbekken dwukrotnie z całej siły nacisnął palcem bok krowy. Obróciła łeb i spojrzała na niego smutnym wzrokiem. Burknął coś i poszedł do cieleńnika, gdzie stał młody byczek Anton. Aasa i Anders bawili się z nim całe lato. Pamiętali, kiedy się urodził i jak uczył się chodzić na cienkich, długich nogach, był wtedy głupi i dziwny. Teraz znacznie podrosł, ale nadal był zabawny i niezwykły. Nazwali go Antonem z powodu silnie owłosionych uszu.

Anton obrócił się w przegrodzie, nastawił łeb – chciał się bawić. Svartbekken wpakował mu gruby paluch w bok, jakby zamierzał go przebić i coś ze środka wyciągnąć. Anton natychmiast uznał, że chodzi o zabawę, pochylił więc łeb na bok, wesoło łypnął oczami i chciał bodnąć chłopca w rękę; lecz Svartbekken już na niego nie patrzył, omawiał z

ojcem cenę, wymachiwał rękami i krzyczał. Klócili się. Nagle doszli do zgody, ojciec sprzedał Skoglinę i Antona. Wyszli znowu na podwórze, potem Svartbekken raz jeszcze zajrzał do obory. Powtórnie wyszedł, trzasnął z biczem i odjechał – miał różne sprawy do załatwienia przed wieczorem, było odbierze za dwa dni. Ojciec chodził po podwórzu z dziwnym wyrazem twarzy, wzrok jego wydawał się obcy i gniewny. Nagle stanął w miejscu, machnął zaciśniętą pięścią, jakby chciał kogoś uderzyć, poczerwieniał na twarzy i zawołał: – Powinienem być żądać dwadzieścia koron więcej!

– Co najmniej dwadzieścia koron więcej! – krzyczał. Anders cichutko usunął się w cień, potem za węgł domu i uciekł. Miał wrażenie, że ojciec wygraża i jemu, i wszystkim.

Tegoż wieczora, lecz dużo później – może z godzinę, a może więcej – usłyszał turkot na drodze. Siedział nadal w swojej kryjówce, czyli w rowie między ogrodem a drogą. Tam nikt by go nie znalazł, bo nad rowem rosły brzozy o gałęziach zwisających prawie do ziemi.

Svartbekken wracał! Teraz jechał znacznie szybciej. Bułanek pociemniał od potu, Svartbekken mocno ściągał lejce, toteż koń biegł ze spienionym pyskiem przy piersi; Svartbekken siedzący na koźle miał twarz czerwoną jak surowe mięso, a jego nos sinością przypominał flaki; parskał, kłął, strzykał śliną, opluł sobie cały szczeciniasty zarost; kiwał się na obie strony, raz po raz bił Bułanka po łbie, koniec bata świstał i okręcał się dokoła końskiego pyska jak żmija, Bułanek zaś pędził, wściekłość wyczierała z nabiegłych krwią oczu, oślepył ze strachu. Zmierzch zapadał. Ciężkie chmury wróżące burzę toczyły się nad szczytem wzgórz, w oddali kilka razy zagrzmiało, a gdy Svartbekken mijał Andersa trzaskając z bata, jego buraczkowa twarz zdawała się otoczona siną, groźną chmurą. Anders skoczył naprzód ze słowami błagalnej modlitwy: – Boże! Zabij go! Zabij go! – Svartbekken odjechał, chmura milczała, nic się nie wydarzyło, Bóg nie wysłuchał Andersa. Svartbekken zaś nadal kłął i wywijał biczyskiem, koła bryczki turkotały, kurz kłębił się jak chmura – już zniknął za zakrętem. Pył z wolna opadał na kwiaty, na trawę rosnącą wzdłuż drogi. Po pewnym czasie chmura zagrzmiała niegroźnie i z opóźnieniem, jak starzec, który mruczy coś pod nosem i chrząka. Anders już nie słyszał turkotu kół. Chmura ciężkim i mrocznym cieniem nakryła las, pola i łąki.

Anders usiadł. Zmrok zapadał. Bał się ciemności, ale nie miał odwagi wrócić do domu. Widział ciągle wzrok ojca krążącego po podwórzu i wiedział, że zamierza sprzedać go Svartbekkenowi za dwadzieścia koron.

Istniała kraina, nie należąca ani do świata snów, ani do świata widzialnego. Czasem Anders nie mógł ani zasnąć, ani się obudzić, leżał bez ruchu, chciał wstać, lecz nie mógł,

chciał krzyknąć i też nie mógł. Coś nadchodziło. Coś toczyło się po podłodze, jechało przez podwórze, coś znanego ze snów czołgało się ku niemu, przypominało jakąś wszechwiedzącą istotę, która miała przejrzyste powieki i wzrok pełen złości. Widział węża, który był bogiem i boga, który był wężem. Leżał obezwładniony, nie wiedział, czy śpi czy nie, dopóki go nie zbudził własny krzyk i głos ojca, który w swoim dużym łóżku coś mówił, jakby miał niezupełnie dobrze w głowie. Wtedy Anders stwierdzał, że nie śpi i z niewymowną ulgą zapadał w sen.

Dorośli rozmawiali o Złym, rozmawiali o śmierci. O Złym często mówili z ożywieniem. Był kulawy, jedną nogę miał zakończoną końskim kopytem, a w rzeczywistości był uprzejmym i głupim człowiekiem. Natomiast o śmierci zawsze rozmawiali półgłosem, ostrożnie. Śmierć była kościotrupem, chodziła po świecie i kosiła żywych jak trawę. Albo starą babą z kosą, która ścinała wszystko, co żyje. Starą wiedźmą z miotłą, która wymiatała żyjące istoty niby resztki słomy i siana. Jeśli ktoś zachoruje, wchodzi przez zamknięte drzwi i staje w nogach łóżka, albo u wezłowia. Wspominając ją wszyscy przybierają dziwny wyraz twarzy, głosy ich cichną, stają się tylko cieniem głosu, nawet ciepło ze ścian ulatuje i staje się tylko cieniem ciepła.

Dla Andersa Zły i śmierć to jedno i to samo. Dla niego nie istniał ani kościotrup z kosą na ramieniu, ani stara wiedźma z miotłą. Dla niego Zły i śmierć to – Svartbekken, z gębą czerwoną jak surowe mięso, z nosem sinym jak flaki, z małymi, złośliwymi, świńskimi oczkami, ze szczeniastą brodą i z pyskiem, z którego kapie żółta ślina i padają wstrętne słowa. Ciągłe jeździ po całym świecie ze świszczącym biczem, pod niebem milczącym lecz groźnym, choć nie zsyła nań piorunów. To jest także wstrętna trójkątna głowa ze złymi oczami pozbawionymi powiek, patrzy spokojnie w milczeniu na wszystko zło, które się dzieje i pozwala, aby się działo. Tak ich widział kiedyś na jawie – a może we śnie – nie był pewien.

Lis

ZIMA na dworze! Wszystko białe! Na brzozie rosnącej pod płotem usiadł ptak, kiwał długim ogonkiem i coś gadał. Dorośli nazywają go sroką. Anders wyszedł na podwórze. Słońce świeciło, brzoza iskrzyła się szronem, sroka gadała, ale kul ze śniegu nie dało się ulepić – był zimny, biały i przesypywał się między palcami jak cukier. Coś ukąsiło Andersa w ucho.

Pobiegł do domu. Zapomniał, niestety, że to była sobota i że właśnie umyto podłogę w ciemnej i zimnej sieni – woda zamarzała, zamieniła się w cienką, lodowatą powłokę. Biegając pośliznął się i upadł, poczuł silny ból w kostce lewej nogi. – Pewnie dlatego, że chciałem rzucić kulą ze śniegu w srokę – pomyślał. Matka mówiła, że niczym nie wolno rzucać w ptaki. Leżał chwilę na podłodze, nie mógł stanąć na bolącej nodze. Zaczął więc krzyczeć, ale nikt nie ulitował się nad nim, nikt nie przyszedł z pomocą. Musiał czołgać się, aż do drzwi.

Dorośli mówili, że jest niegrzeczny. Rano krzyczał przy wkładaniu pończochy i bucika. Wieczorem krzyczał przy rozbieraniu. W dzień krzyczał, kiedy źle stąpnał.

Krzyczał, żeby zrozumieli, że boli go noga. A mówili, że jest niegrzeczny.

Przyszedł doktor, obejrzał nogę, coś mówił prędko, a kiedy naciskał kostkę, bardzo bolała. Anders nie śmiał krzyczeć przy lekarzu. Mimo to doktor wiedział, że boli go noga i kazał kilka dni spokojnie leżeć.

Leżał spokojnie parę dni. Na dworze sroka siedziała na brzozie, przekrzywiała głowę i kiwała ogonkiem.

Pewnego dnia usłyszał stukanie kija w kuchni, a potem łagodny głos kobiecy i domyślił się, że to była Mari Bakken, którą nazywano „Mari z nogą”, ponieważ zamiast jednej stopy miała kij, a podpierała się drugim długim kijem zakończonym u dołu kawałkiem ołowiu. Chodziła z dużą sakwą na plecach, zawsze była pogodna i cicha. Weszła do izby, gdzie leżał Anders i bardzo mu współczuła, że boli go noga. Kiwała głową, opowiadała o własnej nodze, o tym jak na wzgórzu w lesie stoczył się na nią wielki głaz. Trzęsła głową, płakała, ocierała oczy wierzchem ręki. Potem gawędziła z dorosłymi, mówiła stłumionym głosem i już nie płakała. Później znowu zwróciła się do Andersa i tak się nad nim rozczuła, aż wybuchnęła płaczem. Na głowie nosiła chustkę nasuniętą na czoło, a na ramionach wełnianą chustę skrzyżowaną na piersiach i związaną na plecach – z tyłu była zupełnie podobna do sroki. Natomiast jeśli popatrzeć z przodu, twarz miała łagodną, ale i sprytną, szczególnie gdy co pewien czas zalewała się łzami, wtedy przypominała lisa z obrazka w książce. Anders miał ochotę prosić, żeby ją wyprowadzili, bo ona mu źle życzy, chce go zaczarować i zabrać sobie jego nogę. Ale chyba już go zaczarowała, bo nie mógł powiedzieć ani słowa.

Noga nie wyzdrowiała. Przyszedł doktor, obejrzał ją, coś mówił prędko, a kiedy nacisnął kostkę, bardzo bolało. Za każdym razem gorzej bolało. W końcu Anders nie mógł wytrzymać, toteż odważył się krzyknąć.

Pewnego dnia lekarz powiedział:

– Już załatwione, możecie go zawieźć.

Siedział bardzo wysoko. Jechali bryczką. Ojciec trzymał go na kolanach. Okrył Andersa skórzanym fartuchem po samą szyję. Jechali na stację, a stamtąd do miasta i dalej do szpitala. Anders bał się oczywiście, ale czuł nie tylko lęk, bo dzisiaj wszystko skupiało się wokół niego; wyruszał w długą podróż, był osobą, o której wszyscy mówili; widział, jak matka płakała z jego powodu, we wzroku ojca kryło się coś niezwykłego, a on sam dostał nowy kapelusz, śliczny, z brązowej słomy z dużym rondem, które można było wysoko odwinąć, toteż kiedy nikt nie będzie widział, może służyć jako łódka; poza tym kapelusz zdobila szeroka, ciemnoniebieska wstążka zwisająca z tyłu. Jechali tak prędko, aż błoto przyskało spod kół. O tej porze roku śnieg już topniał, koła żłobiły głębokie koleiny, na gliniastej drodze stała woda. Słońce świeciło, dał ostry wiatr. Odjechali daleko od domu, wszystko dokoła było nieznane, po obu stronach drogi widać dwory na równinie i pola otoczone żywopłotami. Pola były żółte i szare, tylko gdzieniegdzie bladozielone. Tu i ówdzie błyskały większe kałuże, w kilku miejscach zaledwie pozostały jeszcze płyty śniegu. Powiew wiatru, ostrzejszy i silniejszy od innych, zerwał Andersowi kapelusz, poniósł go nad żywopłotami i rzucił prosto w dużą kałużę, błękitniejącą na żółtym polu za ogrodzeniem. Kapelusz żeglował po niej jak wspaniała łódź, wstążki trzepotały na wodzie. Na pewno dlatego, że chciał zrobić z kapelusza łódkę. Kałuża nie znała litości. Ulokowała się wprost na jego drodze! Błękitna i czysta, marszczyła się lekko na powierzchni, w której słońce się przeglądało. Kałuża i słońce drwiły z Andersa! Kapelusz odpływał coraz dalej, malał, coraz bardziej malał, a niebieska wstążka ciemniała, coraz bardziej ciemniała. Embret zatrzymał konia i wysiadł. Kapelusz przestał płynąć, wiatr nie pędził go dalej, bo przesiąknięty wodą zanurzył się głęboko. Embret znalazł tykę i próbował wyłowić nią kapelusz, ale to mu się nie udawało. Wobec czego zabrał tykę, przeszedł nad żywopłotem i ruszył przez pole. Za każdym krokiem zapadał się głęboko w ziemię, szara glina oblepiała mu buty, które robiły się coraz większe. Nareszcie dosięgnął tyczką kapelusza, holował go do brzegu. Nowe porywy wiatru targały grzywą konia i włosami Andersa. Embret przyniósł kapelusz ociekający wodą. Ze wstążek aż kapało. Na pewno dlatego, że Anders chciał zrobić z niego łódkę.

Ojciec otworzył duży kufer umieszczony na przodzie bryczki, wyjął białą chustkę i owiązał nią głowę Andersowi, zupełnie jak starej babie!

– Tymczasem musi tak być. Przy tym zimnym wietrze nie możesz jechać z gołą głową – oświadczył.

Anders płakał. Ojciec i Embret śmiali się, kałuża za żywopłotem też się z niego

wyśmiewała. Pojechali. Kapelusze leżały na skórzanym fartuchu i wysycały. Anders wrywał się i krzyczał, ale ojciec tylko kpił z niego i mocno go trzymał. Embret siedział z tyłu i popędzał konia.

– Teraz ładnie wyglądasz. Zupełnie jak stara baba – mówił ojciec wesoło.

Wrona poderwała się z przydrożnego drzewa. W oddali zamieniła się w srokę.

Mijali jakąś chatę. Na progu stała wiedźma, czarownica z długim nosem, w chustce nasuniętej na czoło. Czeka, żeby zabrać mu nogę i zamienić go w starą babę.

Wrywał się i krzyczał.

Po przyjeździe na stację już nie miał siły krzyżeć. Nie spojrział nawet na pociąg, którego dotychczas nigdy nie widział. Bo zaraz pojedą do miasta, do szpitala, a tam zamienią go w starą babę, z tyłu podobną do sroki, a z przodu do lisa.

Rano obudził się w mieście. Wszystko tu było obce. Jakaś kobieta weszła do pokoju, podała mu mleko i świąteczny placek. Nie podobała się Andersowi – miała pogodną twarz. Na ścianie wisiał obrazek przedstawiający lisa. Niech sobie zabiorą ten świąteczny placek! Nieco później ojciec wziął go na ręce i wyszli na ulicę. Tu wszystko było obce i odmienne. Nad jakimiś drzwiami zobaczył głowę łosia z ogromnymi łopatami, widok znany z obrazków w książce. Zaczął jej się przyglądać, lecz gdy w sąsiednim oknie dostrzegł lisa podniósł głośny krzyk i nie chciał na nic patrzeć.

Potem znalazł się w wysokim, jasnym pomieszczeniu, leżał w białym łóżku na środku dużej sali. Ojciec odszedł, nie chciał pozostać. Dokoła sami obcy ludzie. Był tutaj mężczyzna i mnóstwo starych wiedźm. Mężczyzna miał białe ubranie jak młynarz, ale przypominał rzeźnika. Co prawda nie nosił brody ani nie był łysy jak rzeźnik, ani tłusty, ani błyszczący, ani ubrany na czarno, z każdej strony wyglądał inaczej. Ale był podobny do rzeźnika.

Mężczyzna uśmiechnął się i coś powiedział do Andersa. Wszystkie wiedźmy też się uśmiechały. Na pewno dlatego, że bały się mężczyzny. Anders obdarzył go uśmiechem. Po czym włożyli mu na twarz maskę, taką samą, jaką zakłada się świni, i nic już nie widział. Poczł dławiący zapach. Zobaczył głowę lisa.

Rozbudzony usiadł na łóżku. Znajdował się w nowym miejscu, w nieznanym pokoju. Dużym, ciemnym, zastawionym rzędami łóżek. Wysokie okna tworzyły długi szereg po jednej stronie, wpadało przez nie trochę światła, a choć przysłaniały je długie firanki i tak wydawały się dużo jaśniejsze niż ściany. Łóżka stały w dwóch białych rzędach, między nimi gromadziła się niemiła ciemność. Na łóżkach spali ludzie. Anders siedział wyprostowany, nic nie widział, był sam, daleko od domu.



Potem znowu wrócił do domu. Coś przedziwnego! Najpierw dom był strasznie daleko, potem blisko, a tamto wszystko pozostało strasznie daleko. Daleko została biała sala z wieloma łózkami, biały mężczyzna, biało-błękitna siostra Elza. Wszystko odchodziło bardzo daleko w ciągu dnia, nocą zaś powracało od czasu do czasu. Wtedy budził się, siadał na posłaniu, szukał wzrokiem dwóch białych szeregów łóżek i długich firanek w oknach. Zniknęły, był w domu, za szybami widział cień brzozy. Usypiał.

W dzień siadywał na fotelu, wkrótce potem wyzdrowiał. Wszystko udało się bardzo dobrze, powinien się zatem cieszyć i być wdzięczny białemu mężczyźnie ze szpitala za jego wiedzę. Rzeźnik bowiem nie był rzeźnikiem, lecz dobrym lekarzem; Anders nie został zaczarowany w starą wiedźmę i wkrótce odzyska nogę, będzie mógł skakać jak inne dzieci, jak one bawić się w chowanego w ogrodzie i ze wszystkimi siedzieć pod jabłonią. Poza tym miał piękną szramę na nodze – takiej nie miał nikt prócz niego.

Różnił się od innych. Nikt nie miał takiej blizny na nodze. Kiedy przyszedł ktoś obcy, Anders musiał ją pokazywać i wtedy dostawał ciastko. Aasa, Kari i Tora nie miały nic do pokazywania, więc nie dostawały ciastek.

Wszyscy musieli być dla niego dobrzy, bo jeszcze nie wyzdrowiał. On zaś musiał pić lekarstwa, jedno zielone i jedno żółte. Żółte lekarstwo lubił, bo było gęste i słodkie, zielonego nie lubił, ponieważ było zielone. Zawsze pamiętał o zażywaniu żółtego lekarstwa, natomiast często zapominał o zielonym.

Aasa, Kari i Tora nie piły takich lekarstw. Oprócz niego nikt w ogóle nie pił takich mikstur.

Nikt nie jeździł aż tak daleko od domu jak on. Wyjechał, odbył długą podróż do stacji i dalej do miasta, gdzie widział zawieszoną nad drzwiami głowę łosia z ogromnymi łopatami.

Aasa, Kari i Tora nie jeździły do miasta i nie widziały żadnej głowy łosia. A to dlatego, że były tylko dziewczynkami, które na starość zmieniają się w stare baby w chustkach na głowach. Aasa chciała być chłopcem jak dorośnie, ale to się nie da zrobić, choćby nie wiem jak płakała. Kto się urodził kobietą, jest i pozostanie kobietą. Na to nie ma rady – twierdził Embret.

Andersowi było znacznie lepiej aniżeli innym.

Nie kazano mu nosić drzewa. To był obowiązek Kari i Tory. Aasa też nie nosiła drow, bo była za mała; jednakże kiedy podrośnie, będzie musiała to robić.

Jeśli trzeba było coś załatwić, nie wysyłano Andersa. Od tego była Kari, a także Tora. Chociaż Anders chętnie biegł, gdy ludziom pracującym w polu trzeba było zanieść coś do picia, albo zawołać ich na obiad, czy też przynieść pocztę z Neset, bo za to zawsze dostawał

wafle z masłem. W innych wypadkach bolała go noga. Kari lub Tora musiały go zastępować. Toteż obie złościły się na niego, szczególnie Tora. Inni także łajali go czasem. Zwykle Gorina, niekiedy Andrea. Ale zawsze tylko kobiety.

Przyjmował to ze spokojem, jakby to w ogóle jego nie dotyczyło. Wiedział, że może sobie to lekceważyć, więc się nie przejmował. Rodzice niepokoiли się o niego. Dostawał najlepsze kąski. Każdy musiał być dla niego uprzejmy.

– Andersowi należy się najlepszy kawałek za to, że boli go noga – mówiła matka.

W takich chwilach z całym spokojem patrzył na Torę. Zawsze przede wszystkim spoglądał na Torę, była bowiem najstarsza, najsilniejsza i najbardziej zła. Kari nigdy nie wpadała w złość, jeśli ktoś był dla niej niedobry, po prostu płakała, a jeśli ktoś był dla niej miły, od razu robiła się łagodna i wesoła. Tora była zła, a przy tym mądra i niebezpieczna, dlatego Anders gniewał się na Torę. Spoglądał na swój najlepszy kasek, a później z całym spokojem na Torę. Tora też patrzyła na niego, lecz złościł ją spokój Andersa, toteż im dłużej patrzył na nią spokojnie, tym bardziej się złościła. Jeśli rozzłości się do tego stopnia, że coś mu powie, zostanie ukarana.

Patrzył na nią spokojnie. Tora milczała.

– Moje biedactwo – mawiała matka. – Czekał, dostaniesz ciastko!

Jeśli matka piekła, Kari i Tora prosiły o ciastka, ale ich nie dostawały. Anders nie potrzebował prosić, i tak wiedział, że dostanie.

Wiosna była już w pełnym rozkwicie. Anders wyzdrowiał. Noga przestała dokuczać, tylko nieznacznie utykał.

Kari siedziała w izbie i bawiła się lalką. Przyszło mu na myśl, że mógłby podzielić się z nią ciastkiem. Kari była dla niego uprzejma. Wczoraj dała mu dropsa, którego dostała w sklepiku, a jego przestała już boleć noga. Tylko matka myślała, że boli i dlatego dawała mu ciastka. – Mój biedaku – mówiła przy tym.

Wtedy, kiedy go naprawdę bolała, mówili, że jest nie grzeczny. Teraz nazywali go biedactwem. Wówczas jednak twierdzili, że jest niegrzeczny!

Rozzalił się nad sobą i sam zjadł ciastko.

W lecie matka urodziła małe dziecko, więc trochę zapomniała o Andersie. Najczęściej przebywał tylko z Aasą; Kari i Tora były duże; Tora utrzymywała, że on jest za mały, a poza tym utyka na nogę, a więc cóż z niego za towarzysz dla dziewcząt.

Noga była coraz zdrowsza. Wszyscy powtarzali, że Anders powinien się cieszyć ze

stałej poprawy. Mógł chodzić, mógł stać, więc powinien się cieszyć.

Noga istotnie przestała boleć, ale poruszała się dużo wolniej niż druga. Nie chciała biegać, a zatem i Anders też nie mógł biegać. Utykał lekko. Musiał chodzić nieco wolniej i ciągle uważać, nie mógł brać udziału w różnych zabawach. Nie mógł bawić się w berka ani biegać z kółkiem, ani wdrapywać się na słomę i zeskakiwać na klepisko, ani bawić się w chowanego w sadzie, ani hasać po łące, ani kopać piłki, ani brodzić w wodzie, ani się zaziębić, ani biegać bosy i z gołą głową, ani nadwierać kostki, bo z nogą mogło być źle. Ojciec i matka ciągle przypominali, że powinien o tym pamiętać.

Minęło lato, zbliżała się jesień. Potem nadeszła późna jesień i przymrozki. Oszroniona brzoza lśniła w słońcu. Na gałęzi siedziała sroka, kiwała ogonkiem i patrzyła na Andersa. U jego stóp leżał kamień, ale nie pochylił się, nie podniósł go. Sroka uciekła, Anders wrócił do domu. W kuchni spotkał Torę i Kari z łyżwami w ręku. Jezioro zamarzło, pozwolono im pójść na ślizgawkę, pod warunkiem, że nie oddalą się od brzegu. Matka zapowiedziała, że będzie na nie uważała stojąc w oknie.

Anders nie miał łyżew. Ojciec obiecał, że kupi mu łyżwy na jesieni, ale ich nie dostał, bo nie mógł się ślizgać. Tego dnia matka pozwoliła mu pójść z Torą i Kari – będzie ich pilnował. Dostanie szal, żeby miał na czym usiąść i w ten sposób pomoże matce w pilnowaniu Tory i Kari.

Poszli nad jezioro. Tora i Kari nie odzywały się do Andersa. Nie miały ochoty zabierać go ze sobą. Nie lubiły, żeby ich ktoś pilnował. Zeszli nad brzeg, Anders położył szal na lodzie i usiadł na nim. Kari i Tora przypięły łyżwy. Anders siedział na szalu niby na wygodnym fotelu i widział całe jezioro.

– Trzymajcie się brzegów! – upominał.

Tora go ofuknęła.

Tora dobrze jeździła na łyżwach, Kari niezbyt, nogi jej się rozjeżdżały i siadała na lodzie. Lód był gładki, błyszczący, twardy. Gromadki dzieci ślizgały się nieco dalej, w zatokach, sunęły po lodzie jak małe czarne kropki. To znów jak wichry mknęły wzdłuż brzegu. Ostrza łyżew z głośnym zgrzytem cięły powierzchnię pozostawiając na niej białe ślady. Najlepiej ze wszystkich ślizgała się chyba Tora. Kari przewracała się, wstawała, upadała, znowu się podnosiła i znowu leżała. Jeśli zapomniała o strachu, bawiło ją to ogromnie.

Ślizganie się było niezmiernie przyjemną rozrywką. Może kiedyś i on będzie mógł się ślizgać? W ogóle to nie sztuka, każdy potrafi jeździć na łyżwach. Teraz jednak siedział wygodnie na szalu, rozglądał się dokoła, pilnował innych, był władcą całego jeziora.

Ole Sand podjechał do nich.

Anders zawołał:

– Pamiętajcie uważać i trzymać się brzegu!

Tora gniewnie fuknęła. Pędziła z Ole Sandem, już byli daleko.

Kari namyślała się chwilę, po czym ruszyła za nimi.

Zanim Anders zdążył zawołać: – Uważaj! – już się oddaliła.

Knut Neset gnał jak wichra.

Anders siedział na szalu.

– To ty tutaj siedzisz, biedaku? – spytał Knut. Z radości Andersowi zrobiło się gorąco.

Knut był najwyższym i najsilniejszym chłopcem z klasy Tory.

Knut rozejrzył się.

– Hej, Lars, chodź, tutaj! – zawołał.

Lars skierował się ku nim.

– Powozimy Andersa, niech ma przyjemność! – oświadczył Knut.

Chwycili go za ręce i popędzili. Anders nic nie robił tylko stał, w uszach mu świstało, nigdy w życiu nie zaznał nic równie przyjemnego.

Mknęli środkiem jeziora. Zastanawiał się, czy nie powinien poprosić, żeby uważali i trzymali się brzegu, lecz milczał, bo oni byli tacy wielcy, tacy dla niego mili i o tyle starsi.

Puścili go niespodziewanie.

– Łód pęka! – krzyknęli i uciekli do brzegu. Anders ślizgał się i przewracał, wstawał, biegł kawałek i znowu padał twarzą na lód. Podniósł się. Daleko przy brzegu Knut i Lars wpół zgięci zataczali się ze śmiechu. – Widzicie go! Widzicie go! – wołali. – Łód pęka! Łód pęka – krzyczeli zanosząc się od śmiechu.

– Chodź, przewieziemy cię jeszcze kawałek! – powiedział znowu Knut.

Zanim Anders zdążył cokolwiek zrobić lub powiedzieć, Knut i Lars chwycili go i wieźli dalej. – Łód się zapada! – wrzasnęli puszczając go powtórnie. Zawrócili z powrotem, słyszał zgrzyt łyżew umykających ku brzegowi. Wstał, zrobił parę kroków, pośliznął się, uderzył czołem o lód, podniósł się i biegł dalej. Zauważył, że mniej się ślizga i szybciej posuwa się naprzód, jeśli porusza się trochę spokojniej i pozwala sobie na utykanie. Knut i Lars zaśmiewali się, krzycząc: – Patrzcie na niego. Patrzcie na niego! Kuśtyka!

Upadł i leżał, dopóki Tora i Ole nie nadbiegli. Nic nie widział, usłyszał tylko, że zaległa cisza – uniósł głowę zobaczył ich, wstał, lecz znowu siadł na lodzie. Tora nie zatrzymując się zatoczyła półkole w stronę Knuta i wymierzyła mu policzek – jeden, drugi, trzeci! Nikt się nie odezwał. Zawróciła i pomogła Andersowi wstać. Kari też znalazła się

obok nich. Doprowadziły go do brzegu. Tora zabrała szal i poszli do domu.

– Na szczęście, nic się nie stało! – oświadczyła Tora.

– Ty kuternogo! – woła Tora.

– Ty kuternogo! – wołają Kari i Aasa.

Kari powtarza wszystko, co mówi Tora. Aasa jest mała i głupia, sama nie wie co plecie.

– Wcale nie utykasz na nogę! – przy tych słowach Tora gra na nosie. – Chyba noga przestała cię boleć?

– Noga przestała cię boleć! – naśladuje ją Aasa.

Bawili się w rowie za stodołą, zbierali podbiał i zawilce. Potem pokłócili się, do kogo należy pień brzozy pod płotem, ten na którym zwykle siadali i który miał dziurę w środku.

Tora powiedziała prawdę. Przestał kuleć, noga już go nie bolała. Zresztą wcale nie twierdził, że boli. Mówił tak tylko wtedy, gdy ktoś chciał go po coś posłać. Natomiast jeśli pytał ktoś obcy, odpowiadał zawsze, że przestała boleć. Tora jednak była o niego zazdrosna.

– A ty ciagniesz Kari za warkocz! – odpowiedział.

Przypomniał sobie, że chyba i jemu to się zdarza; ale Tora także to robiła. Zastanowił się i dodał:

– I wypchnęłaś Aasę z łóżka, żeby płakała! I dostałaś broszkę z Ameryki! I nikomu nie chcesz jej pożyczyć? Dlatego ja chcę mieć ten pień! Ty masz swoją broszkę i już!

– Racja, ty masz swoją broszkę! – zawołała Kari biorąc stronę Andersa, bo przypomniała sobie ciągnięcie za warkocz i miała ochotę na broszkę.

– Tak, ty masz swoją broszkę! – oświadczyła Aasa biorąc także jego stronę, ponieważ Kari już to zrobiła. Poza tym przypomniała sobie, że Tora wypchnęła ją z łóżka.

W ten sposób zwyciężył i stał się posiadaczem brzozowego pnia.

Tora i Kari były o niego zazdrosne, często kłóciły się z nim. Szczególnie Tora. Zwykle odnosił zwycięstwo, chociaż one były dwie, a on jeden. Posiadał jednak więcej doświadczenia w postępowaniu z nimi i był sprytniejszy, dlatego też wychodził z tych kłótni zwycięsko. Poza tym bały się szukać z nim zwady. Ojciec i matka prosili, żeby odnosiły się do niego grzecznie, bo stan nogi mógł się znowu pogorszyć! Wiedział zatem, że jeśli złoścą się na niego, mają stracha za kołnierzem. Dlatego kłócąc się z nimi zachowywał poczucie siły i powagi – czuł się jak dorosły mężczyzna.

Nie bał się kłótni, bo wiedział, że będzie górą. One zaś, skoro to zauważyły, straciły

ochotę do sprzeczki. Chwilami odnosił wrażenie, że je całkowicie ujarzmił. Dawniej czuł się im równy. Obecnie coś sprawiło, że zaszła w nim zmiana. Stał się mężczyzną.

Doskonale wiedział, że dostaje za dużo dobrych rzeczy. Jeśli przez dłuższy czas nie było między nimi sprzeczki, uważał, że nie wypada mu przyjmować łakoci, których im odmawiano.

Wtedy jednak prędiutko myślał sobie: Jeżeli taka jest wola ojca i matki, cóż on na to poradzi... Łakocie otrzymywane obecnie stanowiły nagrodę za dawniejsze, aż za wielkie cierpienie... Skoro je dają, to znaczy, że na nie zasłużył... Przecież był mądrzejszy i więcej znaczył od każdej z nich... W każdym razie on na to nic nie poradzi, że kiedyś miał wypadek...

Jeżeli zaś kłócił się z nimi, to myślał, że może dostaje trochę za dużo – ale dobrze tak dziewczynom, bo są zazdrosne i złości je to, że on dostaje więcej.

W końcu mówił sobie: To tylko dziewczyny. A ja jestem mężczyzną.

– Oho! ty to jesteś mały lisek! – powiedziała pewnego dnia „Mari z nogą”.

Nie zauważyli, że stała opodal przysłuchując się sprzeczkom. Kłócił się z Torą i wyszedł z tego sporu zwycięsko.

Spojrzał na Mari, ale nic nie powiedział. Poszła dalej drogą i zniknęła w mroku. Z tyłu przypominała dużą podskakującą srokę.

Anders chwycił kamień i rzucił w nią.

Nie trafił. Czekał, dopóki się nie upewnił, że odeszła dosyć daleko.

## Śmierć

WIELE dni z rzędu nie widzieli matki. Obcy ludzie przychodzili i odchodzili. W kuchni wszyscy coś szeptali, Gorina i Andrea nie odpowiadały na pytania.

Pewnego ranka Gorina oznajmiła, że pójdą do matki, trzeba ubierać się prędko. Pomagała im, lecz jeden bucik Andersa gdzieś się zawieruszył, długo trwało nim sobie przypomniał, że poprzedniego dnia służył jako łódka, która świetnie żeglowała po kałuży. Okazało się, że jeszcze nie wysechł, w środku chlupała woda, a zatem musiał włożyć stare, zniszczone. Nareszcie zeszli na dół, Gorina kazała im być cicho i czekać; potem odeszła i długo nie wracała. Aasa zakradła się do drzwi i nasłuchiwała, Anders stał bez ruchu,

wpatrzony w swoje stare buty. Myślał o czymś, lecz miał wątpliwości. Gdy podniósł głowę, dzień zaglądający przez okno obrzucił go wzrokiem szarym i gniewnym.

– Co to będzie? – spytała Aasa.

– Będzie miała małe – odparł Anders.

– Małe – powtórzyła Aasa.

Pewno myślała, że matka urodzi kocię, bo zaczęła skakać, tańczyć i wołać:

– Mamucia będzie miała małe! – Mamucia będzie miała małe! Mamucia będzie miała małe!

Aasa nie wymawiała „s”, chociaż ta litera znajdowała się w jej własnym imieniu. Jeśli ktoś pytał jak jej na imię, odpowiadała: Aata. Najczęściej jednak wykręcała się odpowiedzią: Tulla<sup>2</sup>.

Skakała i tańczyła.

– Cicho dzieci! Matka chora! – rzekła Gorina wychodząc z kuchni. Po czym wprowadziła ich do izby.

Matka leżała w łóżku, bardzo blada i zmieniona, zdawała się do nich uśmiechać, choć nie była uśmiechnięta. Anders przyglądał się przede wszystkim obcej starej babie, przyszła tu wczoraj, wiedział, że to położna. Położna przychodzi zawsze, kiedy rodzą się dzieci. Ubrana była na czarno, na głowie miała czepek, nosiła broszkę. Wydatny, brzydki nos sterczał jak haczykowany dziób, małe oczki o siwych rzęsach przypominały oczy świni; udawała, że uśmiecha się łagodnie, ale w środku była skwaśniała, zła i każdemu źle życzyła.

– Macie braciszka – oznajmiła położna.

Leżał w kołysce przysuniętej do łóżka. Miał malutką, czerwoną twarz i ciągle się krzywił. Zaczął krzyczeć: – beeeee... – jak młode jagnię. Położna odwróciła się, coś koło niego robiła, w końcu się uspokoił.

– Chyba cieszycie się z małego braciszka? – spytała położna, składając do uśmiechu wargi ukryte pod spiczastym, długim nosem. Matka nic nie mówiła, leżała bardzo blada i choć się nie uśmiechała, wyglądała jak uśmiechnięta. Anders milczał. Miał wrażenie, jakby to wszystko już kiedyś miało miejsce, bardzo dawno temu.

– Jak to, wcale się nie cieszyacie? – zapytała z kolei Gorina.

Aasa była uradowana. Anders milczał. Dopiero kiedy matka spojrzała na niego i cichym, jakby nie swoim głosem spytała: – Nie cieszysz się, Anders? – poczuł i zrozumiał, że jednak się cieszy.

---

<sup>2</sup> Mniej więcej odpowiednik polskiego: Dzidzia – przyp. tłum.

U matki byli niedługo, bo przy chorej może siedzieć tylko położna z długim, spiczastym ryjem i szarymi świńskimi oczami. W kuchni Aasa dała wyraz radości z otrzymania małego braciszka. Anders poszedł do drwalni, do Embreta.

Na dworze wcale nie było szaro, słońce świeciło. Embret stał obok długiego kłoca zajmującego całą szerokość drwalni i rąbał drzewo, aż drzazgi leciały. Kłodę opierał jednym końcem na kupie szczap złożonych przed kłocem, a drugim na kłocu. Potem rąbał drzewo, łupał na szczapy, z nosa spływała mu kapka i zataczając duży łuk w powietrzu padała daleko na stos drew. Ale natychmiast zbierała się nowa. Embret często miewał kapkę pod nosem, bo był stary, miał siwą brodę, długi nos, w jednym miejscu załamany, jak daszek nad wejściem do kuchni. Tam także zbierają się krople, w nocy zamieniające się w sople, natomiast w dzień kapią. Ale to było dawno, na początku roku. Anders też od czasu do czasu miewał mokry nos, ale to było zupełnie co innego, bo jemu woda zbierała się w środku i musiał ją wysiąkać, natomiast u Embreta spływała na zewnątrz; kiedy Anders dorośnie może i jemu będzie wisiła kapka pod nosem; chyba nie, ojcu nigdy z nosa nie kapie, więc Anders miał wątpliwości co do siebie.

Po każdym uderzeniu siekiery pył unosił się ze stosu drew złożonych obok kłoca. Embret ani razu nie podniósł wzroku. Najlepiej milczeć i czekać.

W końcu Embret spojrzał na Andersa, zaczęli rozmawiać, Embret stał oparty na siekierze.

– Jak długo trzeba leżeć w łóżku, kiedy urodzi się dziecko?

– Hmm... – chrząknął Embret ocierając czoło i nos wierzchem dłoni. – Różnie bywa. Maria z Teppen dopiero co urodziła i na piąty dzień wstała. Ale różnie z tym bywa!

– A skąd bierze się dziecko?

Embret przyglądał się Andersowi.

– Przecież wiesz dobrze, taki duży chłopak! Nocą przylatuje ogromne ptaszysko! Hmmm...

Anders wie o tym, oczywiście.

Embret zabrał się do układania drzewa na jeden stos. Potem przyniósł nowe polano, porąbał i ułożył na stosie.

Anders przyglądał się.

– Będzie teraz miała mniejszy brzuch?

Embret spojrzał na niego surowo.

– Może! – odpowiedział.

Wziął następne polano, rąbał, nie podnosząc wzroku. Pył unosił się w powietrzu.



Anders odwrócił się i poszedł do domu.

Pogoda była piękna, słoneczna, pliszka skakała po podwórzu, kot siedział na progu. Nadeszło lato, miał tyle rzeczy do zrobienia. Lecz Anders szedł zamyślony i nie rozglądał się dokoła po świecie. Idąc utykał lekko na jedną nogę.

Piątego dnia matka nie wstała z łóżka.

A kiedy nie wstała i szóstego dnia, Anders poszedł do niej i oświadczył, że Maria z Teppen wstała piątego dnia. Czemu więc matka nie chce wstać? To wstyd, dlaczego ma być gorsza od Marii Teppen?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Po prostu nie rozumieli, co chciał powiedzieć. Nieraz już stwierdzał, że dorośli niewiele rozumieją. Wydawało się, jakby uważali to za zwykłą rzecz: matka powinna wylegiwać się dzień w dzień, podczas gdy inne wstają piątego dnia.

Wstała dopiero dziewiątego dnia.

Teraz matka rzadko kiedy miała czas dla Andersa i Aasy. Od rana do nocy przesiadywała z nowym dzieckiem. Jeśli odeszła od niego, krzyczało: – beee! – Miało niebieskie oczy i rzadkie czerwone włosy na głowie. Dorośli mówili, że jest ładne.

Dużo ludzi przychodziło w odwiedziny, pili kawę, jedli ciastka.

Anders i Aasa też często dostawali ciastka. Przyszedł majster budowlany z dużym, czerwonym nosem, przyprowadził żonę – najładniej ubraną ze wszystkich kobiet; wyglądała jakby utoczona na tokarce od pasa aż po pachy. Była chrzestną matką Andersa, toteż często o niej myślał. Dała mu kiedyś srebrną łyżkę, którą jadał w niedzielę. Teraz pogłaskała go po głowie i powiedziała, że pewno się cieszy z małego braciszka. Anders czuł się nieswojo, bo była bardzo ładnie ubrana, miała delikatne ręce i ślicznie pachniała; miał ochotę schować się w fałdach jej sukni, a jednocześnie uciec. Stał cicho, w milczeniu.

Przychodziło wiele innych osób, pili kawę, głaskali go po głowie i mówili, że na pewno się cieszy. Toteż Anders stopniowo zaczynał pojmować, że cieszy się z braciszka.

Aasę mały braciszek cieszył chyba o wiele więcej aniżeli Andersa. Dla niej był dużą lalką. Chciała się nim opiekować. Chciała wyjmować go z kolebki i kołysać na rękę. Chciała wsadzić mu palec w oko, żeby się przekonać, czy je zamknie. A kiedy krzyczał, próbowała mu wsadzić szyszkę do ust.

Anders pokochałby go może bardziej, gdyby był naprawdę udany. Ale coś mu było: doktor często przyjeżdżał i badał go, mimo to mały ciągle niedomagał, okropnie krzyczał i

matka nie mogła odstąpić go ani na krok. Chłopczyk Marii Teppen był zdrow jak ryba.

Okazało się, że nowe dziecko było poganinem i nie miało żadnego imienia. Ochrzcili je zatem. W kościele strasznie krzyczał i zrobił pod siebie. Nazwano go Harald, urządzono wielkie przyjęcie, w którym Harald nie brał udziału. Natomiast Anders został zaproszony i musiał śpiewać:

Mały Peter Lassen siedzi i płacze:

Mej łódki rybackiej nigdy nie zobaczę...

I wszystko poszłoby dobrze gdyby nie to, że nie mógł wymówić „r”, a w piosence ta litera ciągle się powtarzała. Mimo to wiele osób go chwaliło, ale braciszka nie było pośród nich. Leżał w sypialni, spał, był teraz chrześcijaninem i miał na imię Harald.

Lato upływało, a tego roku trwało długo. Matka przebywała z nimi znacznie rzadziej niż dawniej i okazywała im mniej czułości, bo Harald był bardzo niegrzeczny. Noga Andersa wyzdrowiała, ale niezupełnie, nie mógł biegać tyle co dawniej, często siadywał na progu, podczas gdy inne dzieci biegały. Długo ciągnęło się lato.

Owego lata Anders nauczył się wymawiać „r”, a Aasa zaczęła wymawiać „s” – ale to było później. Od tej pory zawsze już miała na imię Aasa.

Od czasu do czasu Anders bił Aasą, ponieważ była niegrzeczna. Aasa płakała, lecz rzadko skarżyła, bo matka nie miała czasu na wysłuchiwanie żalów. Najczęściej jednak Anders i Aasa żyli w przyjaźni. Trzymali się razem. Kari i Tora chodziły do szkoły, były znacznie starsze, poza tym jego bolała noga, nie mógł biegać, a matka miała bardzo mało czasu. Anders i Aasa najchętniej bawili się razem i z kotem.

Za domem mieli własne gospodarstwo. Krowy z szyszek, barany z malutkich szyszek, kozy z kamyków, byka z dużymi rogami z wielkiej szyszki. Mieli też drewnianego konia, którego zrobił im Embret. A także oborę, stajnię, letnią zagrodę dla bydła i dom. Jednakże latem przeszła wielka burza. Grzmiało, padało, woda płynęła strumieniami i porwała wszystkie krowy, wszystkie barany, pozostały tylko kozy i koń. Od tej pory gospodarstwo mniej ich bawiło. Aasa chciała je odbudować, ale Anders nie miał wielkiej ochoty. Wiedział przecież, że to Bóg zesłał burzę; właściwie należało się spodziewać, że Bóg przyjdzie i zniszczy gospodarstwo, które tak lubili. Anders zauważył, że Bóg nieraz bywał mu przeciwny. Choć, prawdę mówię, oszukiwał Boga, bo w rzeczywistości nigdy nie był bardzo przywiązany do wspólnego gospodarstwa. Zresztą wszystko jedno! Nie warto drażnić Boga,

bo mogłoby stać się jak z tą wieżą Babel, o której matka opowiadała – rozgniewany Bóg pomieszałby im języki i Anders znowu nie mógłby wymawiać litery „r”.

Z czasem jednak Anders zapomniał o tym i pomógł Aasie odbudować gospodarstwo. Teraz jednak należało tylko do niej, Anders udzielał jedynie dobrych rad, leczył jej krowy jeśli się cieleły i smarował konia maścią, kiedy miał zoły. On sam był już za duży na tego rodzaju zabawy. Niedługo skończy pięć lat.

Andersa i Aasę najczęściej pozostawiano samym sobie. I najczęściej nic się nie zdarzało; ale od czasu do czasu zachodziły różne wypadki. Owego lata pozwolono Andersowi po raz pierwszy kąpać się w jeziorze. Tego samego lata pierwszy raz w życiu zobaczył żmiję, poszedł na halę, popłynął na wyspę na jezioro, gdzie zbierał konwalie, był w ogrodzie pastora, gdzie ukradł niezapominajki, u babki przejadł się poziomkami i wymiotował, w kościele zasnął i spadł z krzesła, u wójta wylał czekoladę na białą koszulę, został złajany, rozplakał się i sam jeden uciekł do domu przez ogromny las, przez dolinę z ogromnym strumieniem, nad którym rosły paprocie wysokie jak dom, Pełną żmij, zeschniętych gałęzi sosnowych i żab, i padalców, i jaszczurek, ale jednak dotarł żywy do domu i odtąd nigdy nie chciał skosztować czekolady.

Owego lata podczas kąpieli w jeziorze ugryzła go w nogą końska pijawka i dowiedział się, że trzeba związać ją sznurkiem na końcu, żeby napełniła się krwią i sama odpadła. A potem zrobił w niej dziurę patykiem i nasypał do środka piasku.

Lato było długie i upalne, słoneczne, burzliwe i deszczowe. Wieczorem ptaki śpiewały, komary przedły na swoich kołowrotkach, świerszcze grały a grały. Rankiem słońce świeciło, bąki i osy tłukły szyby, bo chciały dostać się do środka, a jednocześnie inne obijały się o szyby, żeby wydostać się na zewnątrz, muchy łąziły po szybach niby po świetlistym jeziorze. Kituś polował na myszy, szczury i rżęsorki, a czasem na ptaki i pisklęta. Był przecież tylko zwierzęciem, nie grzeszył jak człowiek i nie odróżniał dobra od zła.

Dnie bywały pełne deszczu i pełne słońca. Lecz każdy był nowym okresem czasu, nowym światem.

Anders i Aasa zrobili się dużo starsi tego lata, bo przeważnie byli zdani sami na siebie.

Nadeszła jesień.

Pożycie z matką stawało się ciężkie. Często płakała i bywała niecierpliwa. Harald niedomagał. Lekarz przychodził i odchodził. Matka płakała. Na dworze padał deszcz. Dnie były coraz ciemniejsze.

Pewnego ranka Gorina ich obudziła, co zresztą ostatnio zwykle robiła, bo matka nie miała czasu. Wielkie łzy toczyły się po starczej twarzy wzdłuż głębokich bruzd. Anders i Aasa od razu posmutnieli.

Pomogła im przy ubieraniu. Dotknięcie jej szorstkich, kościstych rąk tego dnia było jakby bardziej dokuczliwe niż zwykle.

– Spieszcie się! – nawoływała.

Na dole w izbie panował półmrok, bo okno było tylko jedno, a tłum dorosłych zajmował całą przestrzeń niemal do pułapu. Kari i Tora także znalazły się tutaj. Wszyscy stali pogrążeni w tak głębokim milczeniu, że Anders i Aasa też niezwłocznie ucichli. Nad kołyską pochylał się ojciec blady, obcy. Trzymał małe okrągłe lustro przy ustach Haralda. Po chwili odjął je, obejrzał i wyprostował się.

– Umarł – powiedział.

Po tych słowach matka, która jakby ich oczekiwała, zmieniła się od razu: wyglądała staro, brzydko, dziwnie: twarz jej skurczyła się, po chwili zaczęła lamentować i płakać. Ojciec coś powiedział stłumionym głosem, oboje z matką wyszli i w tejże chwili w izbie pojaśniało. Harald leżał w kołysce cichy, blady, bez ruchu, coś się z nim stało. Wszyscy w izbie płakali. Andersowi zrobiło się jeszcze smutniej niż przed chwilą. Zauważył, że oboje z Aasą jednocześnie wybuchnęli płaczem. Pomyślał sobie, że powinien to zapamiętać na wypadek, gdyby później twierdziła, że to ona rozplakała się pierwsza.

Ktoś wyprowadził ich z izby.

Poszli do kuchni. Sęki w deskach świeżo wyszorowanej podłogi sterczały jak kostki u rąk. Kituś przybiegł i ocierał się o nogi. Aasa złapała kota za ogon, a Anders chwycił go za przednie łapy – oboje ciągnęli, każde w swoją stronę. Potem Kituś łasił się do Andersa, który zaczął go drapać za uszami. Chwilę bawili się z kotem, aż ktoś wszedł i Kituś umknął przez uchylone drzwi.

W kuchni było jasno i przyjemnie, niemal jak w niedzielę. Andersowi i Aasie zrobiło się tak wesoło, tak radośnie, że ujęli się za ręce i zaczęli skakać i tańczyć po kuchni. Ktoś ich gniewnie ofuknął. To Gorina. – Co wy sobie myślicie? Teraz, kiedy Harald umarł? Że też wam nie wstyd!

Stropili się, zawstydzeni uciekli z kuchni.

Anders zatrzymał się koło izby czeladnej, stał dłuższą chwilę obok Embreta i przyglądał mu się. Po czym powiedział:

– Umarł!

Embret podniósł głowę.

– Co?

– On umarł.

Nie powiedział nic więcej, odwrócił się i odszedł. Po prostu musiał raz jeszcze usłyszeć to, co powiedział ojciec:

– Umarł!

Dziwnie brzmiało to słowo. Kilkakrotnie powtarzał je sam sobie.

Nastaly teraz przyjemne dni. Ciągłe coś się działo, zarówno w domu, jak i poza nim. Przyszła stara piekarszowa, a także rzeźnik i krawiec, i szewc. Krawiec zasiadł za stołem w izbie mieszkalnej, skrzyżował nogi, był ważny i zabawny; szewc natomiast siedział w izbie czeladnej, w ustach trzymał drewniane szpilki, długie włosy sterczały mu z nosa, na głowie jeżyła się czarna czupryna utworzona jakby z czarnych kołeczków, brodę pokrywała szara szczecina przypominająca też szare kołeczki. Nosił brązowy, wyświecony fartuch, siedział przy stole pokrytym młotkami, obcęgami, nożami, pilnikami, szydlami, skórą i dratwą. W jego błyszczących okularach migotało słońce, między kolanami ścisnął but odwrócony podeszwą do góry, wyjmował z ust kołeczek, wbijał w podeszwę, potem nagle wstawał, odkładał but, robił kilka kroków w jedną i w drugą stronę jakby czegoś szukał i głośno prykał – myślałby kto, że udarł kawał płótna; wtedy też na twarzy jego pojawił się wyraz rozbawienia, jakby myślał o czymś niesłychanie uciechającym, a jednocześnie zakazanym; po czym znowu siadał, brał but między kolana, wyjmował kołeczki z ust i wbijał je w podeszwę. Przychodziła też kobieta na posługi, szwaczka, i kucharka, wszyscy biegali po kuchni, matka poweselała trochę, a gdy pewnego razu dwie kobiety zderzyły się tak, że upadły, nie mogła pohamować śmiechu; opanowała się natychmiast, ale jednak wybuchnęła śmiechem. W drwalni Embret rąbał długie polana do piekarnika i krótkie szczapki pod kuchnię; rąbał, aż się kurzyło. Jednego dnia poszedł do sadu i naciał jodłowych gałęzi, zaprzągnął Bronę i zwiózł pełną furę do drwalni, gdzie pociął je na drobne gałązki. Wypełnił nimi kilka wiader na wodę. Do czego miały służyć? Wyściele się nimi szeroką drogę wiodącą środkiem podwórza, od drzwi do szosy. Pojedzie nią Harald.

Natomiast snopów zboża dla ptaków – jak zazwyczaj na Boże Narodzenie – nie będzie.

Później przyszedł stolarz z małą czarną skrzynką. Położą w niej Haralda i zawiozą go na cmentarz. A tam włożą go do dołu w ziemi. Anders widział ten dół, bo poszedł z Embretem rozmówić się z grabarzem, widział jego płomiennie rudą brodę a także ziemię, którą grabarz wyrzucał; była brunatna, kamienista, dół też był brunatny w środku i

czworokątny. Anders chętnie wskoczyłby do niego na chwilę, lecz nie na długo. Harald też tam długo nie pozostanie, bo po chwili pójdzie do nieba, gdzie czeka na niego Bóg z ciastkami i wafkami.

Andersowi i Aasie sprawiono nowe ubranka. Anders dostał granatową kurtkę i także spodnie, zrobione z przędzy kupionej u kramarza, czyli znacznie ładniejsze od zwykłego ubrania. Aasa nie była tak pięknie ubrana, toteż zaczęła płakać, lecz matka wytłumaczyła jej, że sukienka, którą dostała, jest równie ładna, ale to nie była prawda, miała zwyczajną sukienkę, ze zwyczajnego materiału i śliniak, bo była mała i oblewała się przy jedzeniu.

Embret wyniósł wszystkie wiadra z igliwem i zasłał całą drogę od drzwi do szosy; krzątania po kuchni wzmagała się z każdą chwilą. Potem zjawił się tłum obcych ludzi z końmi, uwiązano je szeregiem wzdłuż całego ogrodzenia. Anders razem z Embretem dali im siana. Chrupały i żuły to siano, a potem robiły kupki łajna; cały rząd ich leżał za końskimi zadami. Później kazano Andersowi wrócić do domu, bo zbliżała się chwila przybijania wieka do trumny, ale zanim to nastąpi wszyscy musieli jeszcze raz zobaczyć Haralda przed wyruszeniem w długą podróż, a w ogóle należało zacząć od śpiewania psalmów i wysłuchania mowy zakrystiana.

Harald leżał w trumnie biały i cichy, jakby nie ten sam, którego Anders dobrze znał. Anders stał obok ojca i trzymał go za rękę, Aasa trzymała za rękę matkę, do której tuliły się Kari i Tora. Odśpiewano psalmy, potem wystąpił zakrystian z siwą brodą, w długim czarnym surducie i okularach i długo, długo coś mówił. Znowu śpiewali psalmy. Wszyscy płakali. Płakała Gorina i matka, a Kari, Tora i Aasa zanosily się płaczem, jakby je kto bił różgą. Ręka ojca drżała, Anders poczuł dławienie w gardle i zaczął szlochać.

Wszystkie zaprzęgi wyprowadzono i ustawiono w szeregu przed domem, czterech mężczyzn wyniosło trumnę. Embret, Anton i dwóch nieznajomych. Postawili ją na wozie, kondukt ruszył z miejsca. Anders i Aasa mieli zostać w domu, bo byli za mali. Poszli zatem do kuchni do Goriny i dostali świątecznego ciasta. Dzwony kościelne biły, Anders i Aasa poszli na pagórek za domem. Stamtąd mogli dostrzec cmentarz między koronami drzew. Widzieli, jak żałobny kondukt sunie w dół drogą, jedzie przez most, skręca ku cmentarzowi. Osiem koni. To dużo. Ale na pogrzebie Ole Nordberga były trzydzieści trzy konie, Embret twierdził, że to jest dużo więcej niż osiem.

Deszcz zaczął padać. Dzwony kościelne biły. Wiatr dał, co chwila zacinał deszczem. Przyniósł głos dzwonów nawołujących: Pójdź do nas! Pójdź do nas! – zawodziły płakały wysoko w przestworzach.

Orszak pogrzebowy zniknął na chwilę za wzgórzem, wyłonił się po drugiej stronie

mostu i pełznął niby długi, czarny wąż ku kościołowi. Zatrzymali się, dzwony umilkły, w powietrzu rozbrzmiewał jeszcze ich przeciągły dźwięk, a potem wszystko ucichło.

Ludzie weszli na cmentarz: najpierw mała czarna gromadka skupiona wokół czegoś czarnego, a następnie duży ciemny tłum.

Pustka i cisza dokoła.

Potem zabrzmiał psalm. Płynął z porywami wiatru, był w nim deszcz, wichura i skarga. Rozlegał się daleko, a zarazem blisko. Słów nie mogli dosłyszeć, tylko melodię niesioną przez wiatr. Słyszeli głos pastora, donośniejszy od innych, śpiewał i wołał do Boga.

Porywisty wiatr zrywał się falami, płakał i wzdychał, niósł melodię psalmu i mżawkę. Anders i Aasa stali na pagórku zasłuchani.

Anders płakał, chciał umrzeć. Chciał, żeby go włożono do grobu, żeby matka, ojciec, i wiele, wiele ludzi stanęło nad grobem, żeby płakali, zawodzili, śpiewali i wołali do Boga.

Obok niego stała zapłakana Aasa. Ścisnęła w rękę kawałek świątecznego ciasta, żuła je i płakała. Żuła ciasto, poruszała szczękami, a łzy płynęły, płynęły po jej policzkach.

Powracał niekiedy nocą. Rzadko kiedy leżał cicho w kołysce. Najczęściej fruwał po pokoju, albo chodził; raz szedł po wodzie. Zawsze jednak wyglądał tak samo jak w ostatnich czasach – jakby zasłuchany w niedosłyszalny głos, albo jakby zmagał się z czymś nieokreślonym. Raz spojrzął na Andersa tym samym wzrokiem, jakim patrzył na niego wtedy, kiedy Anders chciał przykryć mu twarz poduszką, bo okropnie brzydko krzyczał. Anders zląkł się strasznie, wrzasnął i obudził się. Harald już nie było.

Z czasem Harald przestał przychodzić. A zatem stało się tak, jak przypuszczał Anders. Nastąpiły lepsze dni. Chociaż matka często płakała, ale ją odzyskali.

Z początku zdarzało się, że Andersa nazywała Haraldem.

Za pierwszym razem Anders pokazał język i dostał w ucho. Zrozumiał, że źle postąpił i odtąd pokazywał język tylko w myśli. Nie pojmował, o co matce chodziło, czemu ciągle powtarzała to imię, a potem się poprawiała. Stopniowo nauczyła się nazywać go właściwym imieniem. Nadal jednak od czasu do czasu zamiast Anders mówiła Högne, było to imię najstarszego syna, który zmarł dawno przed urodzeniem Andersa. Trudno, nie ma rady. Starsi bywają dziwni.

Harald odszedł i nie powracał. Leżał na cmentarzu. Spadły śniegi, zrobiło się zimno. Czy on tam nadal leży i marznie?

Nie chciał rozmawiać o tym z matką, więc poszedł do Embreta. Okazało się, że nie ma

powodów do obaw. Harald od dawna poszedł do nieba. Tam było mu dobrze. Jeśli Embret dobrze wiedział, w niebie śnieg nigdy nie pada, tam wysoko jest pięknie, pełno palm i drzew oliwkowych. Oliwki to takie rośliny, które tutaj rosną tylko w doniczkach, natomiast daleko na południu i wysoko w niebie jest ich pełno, a wysokie są jak domy.

Harald odszedł daleko i było mu dobrze. Od tej chwili Anders przestał o nim myśleć.

– A bodajeś umarła! – zawołał.

Tora pierwsza zaczęła: szarpała go za włosy i nazwała rozpieszczonym bachorem. Mimo to matka dała jej tylko jednego lekkiego klapsa, a jemu wymierzyła dwa siarczyste policzki, a potem trzęsła nim na wszystkie strony.

Później zabrała go do izby mieszkalnej i patrząc w oczy zapowiedziała, żeby nigdy czegoś podobnego nie powtarzał. To wielki grzech. Płakała. Anders ogromnie skruszony płakał także i obiecał, że już nigdy tego nie powie.

Później rozmyślał nad tym. Właściwie dziwna sprawa. Jeżeli ktoś umiera, to zawsze jest mu dobrze. Idzie do nieba, mieszka u Boga, a Bóg jest dobry od rana do wieczora.

Mimo to nie wolno życzyć komuś śmierci. Nie wolno tego głośno powiedzieć, to grzech. Dorośli bowiem nie chcą umierać. Nie chcą iść do nieba. Bo muszą zacząć od pójścia na cmentarz, a tam właśnie nie mają ochoty się znaleźć.

Anders nigdy więcej tego nie powiedział. Ale czasem myślał to sobie, jeżeli Tora ukradkiem ciągnęła go za włosy albo jeśli matka nazywała go Haraldem lub nie chciała dać cukierka, dropsa czy ciastek i uderzyła po łapach, gdy mimo zakazu próbował coś ściągnąć; natomiast gdy chodziło o ojca, bał się. Unikał myśli, że mógłby stracić ojca, nigdy go już nie widzieć, pozostać na zawsze bez niego. Bez tego ojca, który często bywał dla niego dobry, który go bardzo kochał i nawet dając w skórę, pragnął tylko jego dobra. Na samą myśl, że ojciec mógłby umrzeć, Anders tak się nad sobą rozczulał, że płacz dławił go w gardle.

Czasem gdy matka wołała na niego Harald, pogrążał się w milczeniu. Powracało wspomnienie Harald. Wszyscy zgromadzili się w izbie, matka leżała bez ruchu, martwa. Ojciec płakał, Anders już duży, przemawiał do niego i wyprowadzał go z izby. Potem jechali drogą, konie szły wolno, smutne, ze zwieszonymi głowami. Dzwony kościelne biły, kondukt pełznął jak długi czarny wąż do kościoła. On i Aasa stali na pagórku, deszcz padał, wiatr dał, na cmentarzu smętnie zawodzili psalmy. On i Aasa byli samotni.

– Czemuś taki smutny, Anders? – zapytuje matka gładząc go po głowie.

Anders czuje ciepło w sercu, łyżę dławią go w gardle; kocha matkę, będzie grzeczny i dobry. A właściwie już zapomniał o przyczynie swego smutku.



Gdyby wszyscy umarli i tylko on pozostał, mógłby robić, co mu się żywnie podoba. Mógłby pójść do spizarni i zjeść wszystkie ciastka, mógłby wdrapać się na krzesło, zdjąć wszystkie słoje z konfiturami i zjeść wszystkie konfitury, zabrać cukierniczkę i zjeść wszystek cukier, mógłby jeść śmietanę, konfitury, ciastka i cukierki od rana do nocy, mógłby nigdy nie kłaść się spać wieczorem i nigdy nie wstawać rano, nigdy nie odmawiać pacierza w te dni, kiedy dostał różgę i nigdy nie myć ani rąk, ani twarzy, ani uszu.

Ale mimo wszystko lepiej, żeby Embret żył i rąbał drzewo. Gorina także, bo jest miła i ktoś musi mu pomagać przy zapinaniu majtek.

Anders ogromnie polubił dzwony kościelne. Mówiły: Pójdź do nas! Pójdź do nas! – jakby coś obiecywały. Ich dźwięk przenikał go na wskroś i coś nowego w nim zachodziło, stawał się jednocześnie mniejszy i większy, skruszony, smutny i szczęśliwy, grzeczny i dobry. Gdy dorośnie, zostanie pastorem i każe bić w dzwony przez cały dzień.

Śpiewanie psalmów lubił jeszcze bardziej. Wtedy roztkliwiał się nad wszystkimi, nad matką, ojcem, Torą, Kari – słowem nad wszystkimi. I wszyscy roztkliwiali się nad nim. Cały świat zdawał się płakać i żalić, a on robił się znacznie, znacznie grzeczniejszy niż kiedykolwiek.

Często dużo czasu mijało bez pogrzebów, bez bicia w dzwony i śpiewania psalmów. Ale Gorina nauczyła go, że jeżeli weźmie srebrną łyżkę i długi kawałek wełnianej przędzy, potem na samym środku uwiąże łyżkę za trzonek, a końce okręci dokoła wskazujących palców i włoży palce w uszy, pochyli się i będzie uderzał łyżką o brzeg stołu, to zadzwoni zupełnie jak w kościele: Ding dang! Ding dang! Pójdź do nas! Pójdź do nas!

Wieczorami nieraz prosił o łyżkę i przędzę, a potem dzwonił. Nauczył się doskonale bić w dzwony, niemal jak na pogrzebie.

Miał wrażenie, że znowu rozbrzmiewają psalmy, że słyszy szum wiatru i deszczu.

Coś

ZAPADAŁ zmierzch. Wszystkie przedmioty w kuchni robiły wrażenie większych niż w rzeczywistości i właściwie nawet nie ma pewności, czy stoją tam, gdzie dotąd stały. Wszystkie cienie zlewały się w jeden pełzający po całej kuchni; jasną plamę stanowił tylko

czworobok okna, z dużym krzyżem na środku z czterema mniejszymi w bocznych częściach. Zmrok opadał z pułapu niby kurz, nawet uchem można było uchwycić jego szelest, o wiele cichszy od brzęczenia komara. Ssssss! – szeptał. Ten dźwięk to zmierzch.

Anders siedział na rogu drzwi wiodących do izby. Był sam, co często zdarzało się o tej porze dnia. Na dworze zima, mróz, śnieg.

Siedział wpatrzony w sęk na framudze drzwi. Przypominał twarz mężczyzny. Ciemnego mężczyzny z dużymi wąsami, który patrzy i śmieje się, ale ani miło, ani uprzejmie. Wręcz przeciwnie – był zły, miał lodowate spojrzenie i śmiał się ciągle, lecz bezgłośnie. Anders nieraz tu przysiadł, żeby popatrzeć na złego człowieka, który się śmieje. I zastanawiał się: co by było, gdyby zamknął teraz usta i przestał się śmiać? Ale to się nigdy nie zdarzało. Dzisiaj znowu tu siedział i patrzył. A mężczyzna patrzył na Andersa dwoma gniewnymi szparkami i śmiał się w milczeniu, groźnie, dużą czarną szparą w sęku. Anders siedział i patrzył, nie bał się jednak, bo tuż za drzwiami w izbie był ojciec i matka.

I wtedy to usłyszał.

– Coś w tym jest! Wiem, że coś tu się kryje! Więc żądam...

Matka płacze. Matka przez łzy mówi:

– Coś ci się przewidziało. Nic...

Ojciec nadal powtarza:

– Coś się w tym kryje. Na nic ci się nie zda przeczyć! Coś w tym jest i ja chcę o tym wiedzieć!

Głos ojca grzmiał. Wyrznął w stół, aż łupnęło. Matka płakała. Potem jakieś drzwi głośnie trzasnęły i słychać było już tylko płacz matki.

Pociemniało. Kurz szary niby popiół opadał, opadał. Cienie snuły się jak pajęczyna. Wielkie, czarne pająki kryją się po kątach i wyciągają ku Andersowi długie, haczykowane ramiona. Słychać szelest cichszy niż brzęczenie komara: ssssss! Mężczyzna w sęku rozrasta się, patrzy gniewnie i śmieje się szeroko otwartymi ustami, lecz bezgłośnie.

Anders nie ma odwagi się poruszyć, ani mrugnąć okiem, wstrzymuje oddech. Wtem drzwi się otworzyły i weszła Gorina. Z uczuciem wyzwolenia zerwał się, płacząc zupełnie tak samo jak przed chwilą matka. Gorina spojrzała na niego:

– Co ci jest, Anders?

Nie mógł odpowiedzieć, a właściwie sam nie wiedział, co zaszło, stanął i rozejrzał się dokoła:

– Tu jest – Coś!

Gorina nic nie rozumiała.

– Głupstwa gadasz! Tu nic nie ma! – odparła.

Odwróciła się i zapaliła lampę. Wszystko natychmiast uległo zmianie, szyby zblękitniały, cienie podpełzły do ściany i ukryły się za szafą, za skrzynią z drzewem, za zegarem i pod stołem. Na podwórzu zadźwięczał dzwoneczek, to Embret przyjechał z lasu.

Zmrok zapadał. Matka, siedząc przy piecu pilnowała dzbanka z kawą i opowiadała Andersowi o Jezusie.

– Ludzie byli bardzo źli, więc Bóg Ojciec rozgniewał się na nich i postanowił ich ukarać. Wtedy to Jezus, jedyny Syn Boga, z wielkiej dla nich litości zstąpił na ziemię, żeby ich wybawić. Urodził się w Betlejem w stajence, leżał w żłobku.

...Potem dorósł, chodził po ziemi, robił cuda, jadał razem z celnikami i grzesznikami. Wówczas faryzeusze wpadli w gniew, pojмали Jezusa i powiesili na krzyżu.

...I tak to Bóg Ojciec zesłał swego syna Jezusa, żeby zbawił wszystkich ludzi...

– Czy to ojciec... czy Bóg Ojciec chciał, żeby Jezusa powiesili na krzyżu?

– Tak, zesłał na ziemię Jezusa, żeby umarł na krzyżu, a przez to odpokutował za wszystkich grzeszników, aby i oni mogli zostać świętymi. Teraz zaś Jezus siedzi w niebie na prawicy Boga Ojca...

Mężczyzna z framugi patrzył na Andersa i śmiał się bezgłośnie.

Słychać szelest cichszy niż brzęczenie komara: ssssssss!

Zmrok zapadał. Cienie pełzały, wszystko stało się cieniem, ściany, sufit i wszystkie przedmioty. Cichy dźwięk: ssssssss! Na ścianie okno – wielki, szary otwór z dużym, ciemnym krzyżem na środku i czterema małymi krzyżykami na bokach. Duży krzyż jest dlatego, że Jezus umarł na krzyżu i że na zimę wstawiono podwójne okna, a Jezus urodził się w Betlejem zimą. Później – jak Anders dobrze pamięta – czternastego kwietnia, wyjmuje się podwójne okna na lato. Wtedy robi się jaśniej i pogodniej, Jezusa zdejmują z krzyża i przychodzi Wielkanoc i już niedaleko do lata, zdechłe muchy znowu leżą na parapetach okien z obwisłymi skrzydłami, łapkami odwrócone do góry. Ale na razie jest zima i zmierzch, ciemności zapadają, spływają ciągle z cichuteńkim, ledwie uchwytnym szelestem: ssssssss!

W nocy dom nagle wypełnił się przeróżnymi dźwiękami: wołanie, płacz, rozmowa wielu ludzi, słychać było głosy niskie i wysokie, krzykliwe. Anders obudził się, usiadł na łóżku; wszędzie ciemno, w sypialnej izbie cisza, lecz na zewnątrz pełno głosów i życia, słyszał krzyki na drodze, widział odbłask latarni oddalającej się i znikającej za zakrętem. Wstał i po lodowatej podłodze pobiegł do drzwi. W kuchni stał ojciec, matka, Embret i

Gorina i jakiś nieznajomy mężczyzna, wszyscy mieli wzrok przerażony. Nie byli odziani, każdy tylko coś narzucił na siebie. Ojciec trzymał w ręku sakiewkę. Anders usłyszał słowa: – Głupi Fredrik! – Słyszał, jak wielokrotnie powtarzali: – Głupi Fredrik! – Potem matka wzięła go na ręce, drzwi zamknęły się za nimi. Zapewniła, że nie ma czego się bać, że nie ma niebezpieczeństwa, powinien położyć się i z powrotem zasnąć. Ułożyła go w łóżku i usiadła obok. Na pytanie: – Co się stało? – odparła: – O, nic ważnego! – A kiedy powtórzył: – Coś jest! Coś jest! – rzekła znowu: – Nie, to nic! To tylko głupi Fredrik! – Słyszał jednak, że głos jej drży, a kiedy pogładziła go po czole, ręka jej także drżała. Zasnął i śnił, że dom pełen jest głosów i obcych ludzi żywo gestykułujących, świeca stała na środku stołu, ogromne cienie tańczyły po ścianach, a pośród tego wszystkiego znajdował się głupi Fredrik, wariat z Braaten, ten co zawsze miewał oślinioną brodą, sam ze sobą głośno rozmawiał na drodze, teraz jednak nie mówił do siebie, tylko patrzył gniewnym wzrokiem i śmiał się bezgłośnie.

Rano w kuchni przy śniadaniu rozmawiali o strasznych wydarzeniach, które miały miejsce tej nocy. O głupim Fredriku, który wygnał z domu synową, a syna na śmierć zarąbał siekierą. Głupi Fredrik był obłąkany od wielu lat, nikt nawet nie przypuszczał, aby mógł okazać się niebezpieczny; rąbał drzewo, nosił wodę, chodził do kramarza, miał zawsze oślinioną brodę i sam ze sobą rozmawiał. Teraz zaś śmiertelnie przerażona synowa przebywała w Haugom i krzyczała: „Goni mnie coś! Goni mnie coś!”, a wójt z trzema chłopami wyruszyli w pościg za głupim Fredrikiem. Odrąbał synowi głowę czterema ciosami siekiery, krew zalała całą podłogę kuchni w Braaten i spłynęła do piwnicy prosto do łagiewki ze śmietaną.

Gorina nieustannie powtarzała: – Prosto do łagiewki pełnej śmietany!

Embret mówił: – od dawna myślałem, że coś musi się zdarzyć. Widziałem coś w jego oczach.

O wieczornym zmierzchu na drodze ukazali się: wójt, parobek i dwaj mężczyźni, którzy prowadzili głupiego Fredrika. Ręce miał skrupowane na plecach, poza tym wyglądał tak jak zawsze. Ślinił się i uśmiechał w milczeniu. On coś... coś przypominał – ależ to ten sam człowiek, który siedzi w sęku! Anders uprzytomnił sobie nagle, że zauważył to od dawna. Zawsze lękał się głupiego Fredrika, który włóczył się po drogach z otwartymi ustami, ślinił się i gadał sam do siebie.

Następnego dnia podczas obiadu wszyscy wiedzieli już dużo więcej. Głupi Fredrik przyznał się do wszystkiego. Rozsierdził się na synową, bo mu okrutnie przypominała żonę. Wziął zatem siekierę i gonił ją dokoła izby, a kiedy syn stanął między nimi, ciął go siekierą, a tamten upadł. I już sobie myślał, żeby go tak zostawić. Ale jak sam powiedział do wójta:

„Pożałowałem go, bo to przecież mój syn! I odrąbałem mu głowę, ja sam!”

Opowiadali o tym, ciągle nawracali do tego, rozwodzili się i rozważali sprawę ze wszystkich stron, a przez ten czas zajadali duże, brunatne siekane kotlety i duże, żółte kartofle. Embret raz po raz powtarzał:

– Wiedziałem, że coś się stanie! Bo widziałem coś w jego oczach!

Pozostali potakiwali i jedli duże, brunatne siekane kotlety i duże, żółte kartofle.

Anders siedział na progu izby. Siedział i patrzył na mężczyznę w sęku. Widział coś w jego oczach. Tam coś było!

„Ale wtedy pożałowałem go, bo to przecież mój syn. I odrąbałem mu głowę, ja sam!”

Torę wysłano do sklepika. Zmierzch zapadał, Tora bała się ciemności, ale za nic by się do tego nie przyznała, a wszyscy o tym wiedzieli, choć udawali, że nie wiedzą. Embret, który właśnie zasiadł do wieczerzy, powiedział ze śmiechem:

– A uważaj, żeby cię coś nie porwało!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tora zbladła, ale też się roześmiała. Anders miał wrażenie, że brzuch go rozboleł, a twarz zeszywniała mu ze strachu, więc usunął się na ubocze, żeby nikt na niego nie patrzył i nie drwił z niego. Tora wyszła, Anders usiadł na stołeczku pod ścianą i całą drogę towarzyszył jej w myśli. Uważał, że powinien towarzyszyć jej myślą całą drogę, aż do kramarza i z powrotem do domu. Zasnął jednak na swoim stołku, a zbudził się dopiero po powrocie Tory, gdy wchodziła do kuchni, prawie nic nie zmieniona, tylko trochę bledsza.

– Co się dzieje z Andrea? – spytała matka. – Czemu ciągle popłakuje po kątach?

Gorina rozejrzała się i odpowiedziała półgłosem, tak aby nikt nie słyszał:

– O, to na pewno Noe<sup>3</sup>...

Dalszy ciąg mówiła szeptem.

Zmierzch przypominał Andersowi coś. Gdy w kuchni nie było nikogo i cisza spływała z pułapu niby mroczna chmura pyłu, przypominało mu się coś... Coś... COS!

Coś kryło się w ciszy, w dużym czarnym krzyżu na oknie, w cieniach snujących się po wszystkich kątach, w sęku futryny.

„Widziałem coś w jego oczach!”

Jezus na krzyżu w oknie.

---

<sup>3</sup> Zachodzi tutaj gra słów: „Noe” w języku norweskim znaczy zarówno imię: „Noe”, jak: „coś”.

Gniewny głos Boga Ojca w izbie: „Ja wiem, że coś jest!”

„Ale wtedy pożałowałem go, bo to przecież mój syn! I odrąbałem mu głowę, ja sam!”

Znieruchomiał z przerażenia słysząc, jak Coś cichuteńko szepce: Sssssssss!

Nocą we śnie przychodziło do niego Coś. Był sam. Siedział gdzieś, na jakimś progu, w jakiejś izbie lub w lesie. Zmierzch zapadał, zmrok spływał na niego niby gęsta chmura. Coś miało długą szyję jak żmija, natomiast reszta ciała pozostawała niewidoczna, składała się tylko z mroku i ciemności. Głowy również nie widział, ale wiedział, że patrzy na niego i wyczekuje. Patrzy i uśmiecha się bezgłośnie. Była sęką w obramowaniu drzwi, była kimś z zaślinioną brodą, była ręką, która gdzieś w oddali unosi ku górze duży czarny krzyż na tle rozległej, szarej płaszczyzny otoczonej mrokiem i ciemnością. A na krzyżu ktoś wisiał i krwawił, krwawił...

„Ale wtedy pożałowałem go, bo to przecież mój syn! I odrąbałem mu głowę, ja sam!”

Coś krążyło dokoła, jak wielki, szary troll. Coś wielkie i szare patrzyło na niego i uśmiechało się, choć nie miało twarzy tylko zamiast niej dużą dziurę...

Budził się z krzykiem i wiedział, że Coś na niego patrzyło.

Dorośli wiedzieli, że Coś istnieje, więc bali się i niechętnie o nim mówili. Od czasu do czasu jednak rozmawiali o nim i wtedy często odwracali wzrok, często stawiali się dziwni i milczący.

W ciągu dnia Coś nie budziło w nim lęku, bo nie kryło się nigdzie. Mieszkało w ciemnościach, w cieniach pełzających powoli i wydających cichuteńki szelest: sssssss!

Nie miało twarzy ani rąk, ani nóg, śmiało się czymś pustym, wielką dziurą, która nigdzie nie prowadziła. Śmiało się i śledziło Andersa, bo był tylko małym chłopcem.

„Ale wtedy pożałowałem go, bo to przecież mój syn! I odrąbałem mu głowę, ja sam!”

O tym w ogóle nie można było mówić.

Pewnego razu mimo wszystko spróbował.

Po obiedzie siedzieli pod ścianą: Anders, Tora, Kari i Aasa; lekki odbłask padał na mury, cienie się chwiały, ale niebezpieczeństwo nie było wielkie, ponieważ było ich czworo. Tora ostatnio zachowywała się uprzejmiej, więc Anders sądził, że można z nią porozmawiać i dowiedzieć się, co ona o tym wiedziała.

Zapytał więc:

– Tora, czy widziałaś Coś?

Tora spojrzała na niego:

– Coś... o co ci chodzi?

– Czy widziałaś Coś, Tora?

Tora znowu spojrzała na niego.

– Coś... nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Mnie chodzi o Coś, wiesz przecież... o Coś... czy nie rozumiesz, nigdy nie widziałaś Coś?

Tora przyglądała mu się dłuższą chwilę. Po czym zwróciła się do pozostałych dziewcząt:

– Słyszycie, teraz Anders znowu zgłupiał.

Kari i Aasa wybuchnęły śmiechem. „Teraz Anders znowu zgłupiał!”

Śmiały się wszystkie trzy.

Powinien był to przewidzieć. Przecież to tylko dziewczyny. Z poprzednich doświadczeń dobrze pamiętał, że nie warto rozmawiać z babami.

Lepiej zachować wszystko dla siebie. Wyjaśnianie na nic się nie zda.

”R”

W SIENI, w zakamarku pod schodami, panował półmrok. Stały tam jakieś buty, parasole, kalosze, ale nic poza tym. Mógł sobie tam usiąść, bo tam nikt na niego nie patrzył.

Mógł sobie siedzieć i patrzeć na ścianę.

W sadzie też miał własny kącik pod płotem, między sosną i trzema gęstymi jodełkami. Piękne to było miejsce, zarośnięte trawą, ze wszystkich stron szczelnie osłonięte jodłowymi gałęziami. Tylko on znał te kryjówki. Nikt nie mógł go tam znaleźć.

Miał cztery lata.

Nie miał pięciu lat, to nieprawda. Przecież ciągle jeszcze trwało lato, w każdym razie póki była piękna pogoda, a jego urodziny wypadały dopiero na jesieni, więc jeszcze do nich daleko. A człowiek ma cztery lata, dopóki nie skończy pięciu.

Tora twierdziła, że on ma pięć lat. Ale tylko dlatego, że była na niego zła, ponieważ to on był chory, to on odbył daleką podróż i był mężczyzną.

Dorośli utrzymywali to samo. Ale tylko dlatego, że dorośli kłamią.

Dorośli obrzydliwie kłamią. Kłamią niemal ciągle.

Andrea kłamie, mówiąc matce, że była w oborze. A wcale nie była w oborze tylko u Antona w stodole. Gorina kłamie, mówiąc Andrei, że powinna sama nosić wodę, bo ona, Gorina, nie ma czasu, musi posprzątać izbę. A przecież już izbę posprzątała. Embret kłamie, mówiąc ojcu, że obszedł pola i szukał grabi; przecież był w sklepie i kupił tytoniu.

Anton w ogóle nic innego nie robi, tylko kłamie.

A w ogóle głupio jest kłamać, bo ojciec mówi, że kłamstwo zawsze zostaje ukarane.

Dorośli są bardzo głupi.

Anders ma tylko cztery lata. A jednak jest już znacznie mądrzejszy od prawie wszystkich dorosłych.

Tak. Dorośli są dużo więksi od niego, a więc są starsi, więcej się nauczyli i mogliby mu opowiedzieć wiele rzeczy.

Ale są bardzo głupi.

Wierzą w mnóstwo rzeczy, które wcale nie są prawdziwe.

Embret wierzy w skrzata. A przecież skrzat to jest coś, w co wierzono tylko w dawnych czasach.

Gorina wierzy w przeczucia. Zwykły przesąd, przecież nie ma takiej rzeczy, która by się nazywała przeczucie. Cóż, biedaczka uczyła się tylko u wędrownego nauczyciela!

Andrea wierzy w fusy z kawy. Siedzi w kuchni przy stole, wygląda przez okno i każe Gorinie wróżyć sobie z fusów. Zupełnie jakby coś było napisane w tych fusach.

A może właściwie Andrea wcale nie wierzy w fusy, tylko po prostu sama nie wie, kogo chce? W takim razie musi być okropnie głupia, bo przecież mogła dostać Töstena Teppena, a ciągle myślała o Antonie, choć był brzydki i głupi.

Dorośli przechwalają się obrzydliwie. Przechwalają się niemal ciągle.

Andrea stoi w kuchni i przechwala się, że złapała widły od siana, trzasnęła Antona po łapach i powiedziała: „Pójdiesz ty precz do matki!” A przecież ani nie złapała wideł, ani go nie uderzyła po łapach, ani słowa nie pisnęła, tylko szeptała: „Uważaj! A gdyby tak kto nadszedł!”

Embret siedzi przy śniadaniu i chwali się, jak to wczoraj w polu ostro stawał się ojcu. A nie powiedział ani słowa, zanim ojciec nie odszedł daleko.

Anton nie robi nic innego, tylko się przechwala. Opowiada, że brał worki ze zbożem



na plecy i wrzucał na wóz. A tymczasem Anders widział, że wziął deskę, oparł ją jednym końcem na wozie i ciągnął po niej worki, a potem ciężko dyszał, był cały czerwony i ocierał pot z twarzy.

Anders to wszystko dobrze rozumiał. Oni ogromnie pragnęli pochwał, ale nikt ich nie chwalił, więc musieli robić to sami. Ponieważ jednak niektórzy biedacy nie mają czym się chwalić, więc po prostu kłamią i przechwalają się.

Niekiedy dobrze wiedzieli, że się przechwalają; widać to było po ich oczach. Czasem natomiast sami wierzyli we własne słowa.

„Łże tak, aż sam wierzy w swoje łgarstwa” – mówili jedni o drugich. Ale jedni drugim nie powiedzieliby tego. Gadali i udawali, że wierzą sobie wzajemnie; wdzięczyli się do siebie i udawali wzajemną sympatię, mówili wszyscy jednocześnie i nie mieli odwagi powiedzieć prawdy. „To najprawdziwsza prawda!” – zapewniali. Ale ledwo człowiek odwrócił się do nich plecami, zaczynali się śmiać: „Łże tak, aż sam wierzy w swoje łgarstwa!”

Głupio jest kłamać. Przechwałki są upokarzające. A udawanie i wdziękowanie się jest tchórzostwem.

O, jacy dorośli są głupi! A jacy nędzni i tchórzliwi! Głupcy i tchórze! Lizusy, przewrotni i paskudni!

Aż dziw bierze, żeby coś podobnego mogło podobać się Panu Bogu. Gdyby Anders był Bogiem, chwyciłby Antona i Andreę, porządnie wytargał ich za włosy, rzucił ich na ziemię i podeptał. I Gorinę też. I Embreta też. I Toreę, i Kari, i Aasę też! Och, złapałby ich, złapał!

Złapałby ich i wypędził! Wychłostałby ich dużym biczyskiem, waliłby ich głowami o grubą ścianę, dał kopniaka w tyłek i sklął!

– Powiedz „r”! – powtarzają ciągle.

Anton mówi:

– Jak tam Anders! Nauczyci cię dzisiaj mówić „r”? – I śmieje się.

– Jeżeli potrafisz powiedzieć „r”, dostaniesz kawałek cukru! – dodaje i pokazuje kostkę cukru jak psu. A przy tym śmieje się, aż kępki włosów w uszach drgają.

Ilekcroć Tora i Kari pogniewają się na Andersa, tyle razy grają mu na nosie i wołają:

– Powiedz „r”! Smarkaczu! Powiedz nareszcie „r”!

Aasa, która jest taka mała, że nic nie rozumie, naśladuje je i też woła:

– Powit „r”! Markaczu! Powit „r”!

Aasa jest taka mała, że nie może wymówić „s”.

Śmieją się wszystkie trzy. Szczerzą zęby, śmieją się i drwią.

Anders znał mnóstwo słów, którymi mógłby im odpowiedzieć, którymi mógłby zatkać gębę każdej z nich. Nigdy jednak nie odważał się odpowiedzieć bez namysłu, bo a nuż w którymś słowie znajdzie się „r”

To było coś bardzo dziwnego. Po prostu coś niezrozumiałego.

Wszyscy ludzie wymawiali „r”. Gorina mogła wymówić „r” i Andrea, i Tora, i Kari, nawet mała Aasa o cały rok młodsza od niego. Tak, nawet Anton, chociaż był głupi i obrzydliwie się przechwalał i kłamał.

Czasem na samą myśl o tym Anders po prostu tracił panowanie nad sobą, musiał uciekać do swojej kryjówki, tarzał się po ziemi, płakał, krzyczał, gryzł trawę, bo to było coś zupełnie nieprawdopodobnego. Czasem bał się odchodzić aż tak daleko i wtedy siadał pod schodami wpatrzony w ścianę.

Zawsze pachniało tam kaloszami.

Nauczył się bardzo zręcznie unikać słów, w których było „r”. Jeżeli nie był podniecony, mógł dużo powiedzieć nie posługując się ani jednym słowem z literą „r”. Przecież jest wiele sposobów powiedzenia każdej rzeczy. Przeważnie sposoby te są niebezpieczne, niemal zawsze jednak znajdzie się jeden mniej groźny.

Nigdy nie mówił krowa, bo zaraz wszyscy by usłyszeli, że nie wymawia „r”. Mówił: bydło, cielęta, byczki. Nigdy nie mówił imion krów, Bliros ani Dagros, ani Raina, Flekkros, Rausi czy Brandros. Natomiast mógł powiedzieć Skoglin.

Ogromnie lubił Skoglin.

Nigdy nie mówił Brona tylko kłacz. Albo koń. Jeśli miał pragnienie, nie mówił: „proszę mi dać wody”, tylko „czy mogę się napić”.

Niektóre słowa bardzo lubił. Innych nie cierpiał.

Lubił słońce. Nie lubił gradu.

Czasem siadał w swojej kryjówce między sosną a trzema jodłami i półgłosem powtarzał ulubione słowa:

Gmina. Słońce. Niebo. Obłoki. Woda.

Dzień. Noc. Spać.

Chodź pójdziemy spać.

Chodź pójdziemy spać.

Niektórych słów nie dało się uniknąć. Jeśli ktoś pytał ile ma lat, musiał odpowiedzieć: „Cztery”!

Zastanawiał się już, czy nie można by powiedzieć „pięć”. Uniknąłby „r” i może nikt by nic nie zauważył. Porzucił jednak tę myśl. Bo gdyby zauważyli, byłby jeszcze większy wstyd.

Jeżeli upadł i potłukł się, nie wzywał nikogo. Bo w każdym imieniu było „r” z wyjątkiem imienia Anton, ale Antona nie chciał wzywać.

Najlepiej radzić sobie samemu. Jeśli musiał kogoś wołać, wołał Aasę, choć gniewał się na nią, bo nauczyła się wcześniej niż on mówić „r” i inni dokuczali mu z tego powodu.

Ojca i matkę mógł wołać, bo chociaż słowa „far” i „mor” kończą się na „r”, ostatnią literę wymawia się mniej wyraźnie, a poza tym oni nigdy nie kpili z Andersa. Mimo to przy obcych nie wołał ich nigdy.

Najlepiej radzić sobie samemu. Najlepiej milczeć.

Anders przywykł do milczenia. Siedział, nic nie mówił, po prostu słuchał wszystkich głupstw, które inni opowiadali.

A słuchając przyzwyczał się przekręcać ich słowa, tak że wszystko wydawało się jeszcze głupsze. Przy tym zaś musiał unikać słów z literą „r”. Siedział, milczał, igrał słowami i dobrze mu z tym było. Zauważył, że robi coraz większe postępy. Znajdował coraz więcej i więcej słów. To było cudowne – on wabił słowa, a one szły za nim niby posłuszne baranki.

Mówiono, że Embret bardzo zręcznie przekręca słowa. Jednakże Anders doszedł stopniowo do przekonania, że robi to o wiele zręczniejsze. Często o tym myślał. Bawił się tą myślą. Rano zanim wstał i wieczorem zanim zasnął, bawił się słowami i cieszył się tą myślą. A przy tym czuł się silny, mądry i szczęśliwy. Nieraz aż śpiewał z wielkiego zadowolenia.

Czasem jednak, podczas gdy rozmyślał o swoim talencie, uprzytomniał sobie przyczynę, dlaczego tak jest. I wtedy zdawało mu się, że spada z ogromnej wyżyny do głębokiej czarnej jamy. Do jamy, gdzie czuł się skazany na osamotnienie, na zapomnienie. Wszyscy pozostali ludzie przebywali na szczycie, w słońcu.

Wysoko w górze, głęboko w dole. To było nużące. Od czasu do czasu czuł znużenie. Zupełnie jakby nieustannie napinał mięśnie. Jakby wyciągał się w górę, coraz wyżej, aż w końcu wyrastał na olbrzyma. To było nużące. A poza tym na wyżynie jest tylko chłód i osamotnienie.

Czuł się inny aniżeli wszyscy. Gromada głupców, na których spogląda z wyżyn.

Ale oni mogli wymówić „r”, on zaś siedział w głębokim dole i zazdrościł im.

To było takie trudne. Czasem wszystko mu się trochę gmatwało. Jakże to jest: patrzy

na nich z góry, bo mogą wymówić „r”? Zazdrości im głupoty? Wiedział tylko, że jest znużony.

Matka opowiadała o Jezusie, o diable, który zaniósł Jezusa na wysoką górę, pokazał wszystkie królestwa świata oraz ich bogactwa. Anders umiał sobie to wyobrazić, był przecież raz wysoko na Bergshögda i widział ludzi w dole na drodze, wydawali się niby maleńkie robaczki.

Diabeł powiedział: „Wszystko to oddam tobie, jeśli upadłszy złożysz mi pokłon”. Ale Jezus tego nie uczynił.

Anders tęsknił niekiedy do tego, by zejść do maleńkich robaczeków pełzających w dole i wymawiających „r”.

Język odmawiał posłuszeństwa.

Anders zmagał się, próbował ciągle, ciągle od nowa. Rano zanim wstał leżał z oczami nieruchomo wpatrzonymi w sufit i próbował. Nic z tego! Potem przychodziła matka i gniewała się, że za długo się wyleguje.

Później w ciągu dnia nie mógł się wprawiać, bo nigdzie nie czuł się bezpieczny. Nawet ukryty wśród zabudowań gospodarczych, też nie czuł się bezpieczny: nim wypowie słowo, ktoś może nadejść. Pewnego dnia podczas ćwiczenia w stodole wszedł Embret, spojrzał na niego dziwnym wzrokiem i zapytał, czemu gada sam do siebie.

Najlepsze miejsce było w sadzie, a także w drwalni. Podczas przerw w pracy oraz w niedzielę mógł pójść do drwalni niby przypadkiem. Przez szpary w ścianach miał na oku drogę, więc nikt nie mógł go zaskoczyć niespodziewanie. Tam też często się ćwiczył.

Nie udawało mu się jednak. Język odmawiał posłuszeństwa. Po dłuższej chwili czuł dziwną suchość w ustach. I wtedy wpadał w złość. Płacząc z rozpaczą chwycił język obu rękami i chciał go wyrwać. Ale i tego nie mógł zrobić, język był bardzo mocno przyrośnięty.

Może by zdołał dopiąć celu, gdyby nikt go nie drażnił! Tak, był zupełnie pewien, że wtedy potrafiłby wymówić „r”. Ale kpili z niego nieustannie i drażnili go, toteż jeśli ponawiał swoje ćwiczenia, miał wrażenie, że cały świat na niego patrzy i to okiem, które nigdy nie mruga. Nie wiedział czemu, ale ciągle przychodziła mu na myśl żmija, którą raz widział. Wielka żmija zdawała się patrzeć na niego okiem, które nigdy nie mruga. I to oko o wszystkim wiedziało, a jeśli na nie nie patrzył, podpełzało coraz bliżej i znowu patrzyło bez zmrużenia powieki, wcale się nie wstydziło. Wówczas czuł się obezwładniony, język wysychał w ustach, nie mógł mówić.

Nie, nie mógł! Zrozpaczony i wściekły sam sobie ciągle powtarzał: – powiedz „r”! – i

przypominał sobie wszystko, wszystkie drwiny, całą nienawiść, cały ból; wszystko stało i patrzyło na niego, a język, w ustach zasychał.

Czemu tylko jego to spotykało? Czemu Bóg sprawił, że jest bardziej nieszczęśliwy od innych? Czym wobec Boga zawinił?

Pewnego ranka obudziły Andersa promienie słońca. Musiało być późno, bo był sam. Piękna pogoda, liście brzozy błyszcząły w słońcu. Na gałęzi naprzeciwko okna usiadł mały ptaszek, huśtał się, przekrzywił główkę i spoglądał na Andersa.

Anders leżał cichutko i patrzył. Jak ślicznie, niemal jak w niedzielę, choć właściwie wypadła środek tygodnia. Trzeba zrobić sobie dzisiaj święto. Leżąc i patrząc na małego ptaszka poczuł się dziwnie radosny i lekki.

– Dzisiaj będę miał wolny dzień, nie będę wymawiał „r” – powiedział do siebie.

Co to? W uszach brzmiał mu jeszcze niezwykły dźwięk – wymówił „r”!

Leżał cicho jak mysz, przez chwilę nie mógł złapać tchu. Co za niespodzianka!

Może źle słyszał? Serce aż łomotało. Trzeba spróbować jeszcze raz; lecz serce biło, biło, nie miał odwagi.

Uspokoił się z wolna. Teraz można spróbować.

W tejże chwili weszła matka. Należało wstać.

Nigdy jeszcze nie ubrał się tak prędko. Matka patrzyła na niego ze zdumieniem. Wypadł z izby.

Miał szczęście. Wszyscy siedzieli przy śniadaniu. Wybiegł na dwór, zeskoczył ze schodów, pędził do drwalni.

Udało się! Raz po raz próbował i za każdym razem wymawiał „r”. To już nie był przypadek; wiedział, co zrobić z językiem, aby go skłonić do powiedzenia „r”.

Czuł się uradowany, czuł, że musi podziękować Bogu. Nie wiedział dokładnie, jak to zrobić, więc zaczął odmawiać wieczorny pacierz. Było w nim mnóstwo „r”, toteż często w czasie modlitwy, nawiedzały go niewłaściwe myśli. Teraz jednak wszystko było dobrze, teraz mógł wymówić wszystkie słowa. Odmówił modlitwę dwukrotnie.

Powoli wracał ku domowi. Idąc wprawiał się w wymawianiu trudnych słów, zawierających „r”. Zawierucha, krowa, Embret, Gorina, cztery lata i parę miesięcy. Niemal od razu wymawiał poprawnie. Dzisiaj nic nie było trudne.

Spotkał ich na schodach. Anton oczywiście musiał zażartować:

– No, Anders! Nauczycieli cię dzisiaj mówić „r”? – śmiał się, aż kępki włosów w uszach drżały.

Anders nawet nie raczył mu odpowiedzieć, minął go i wszedł do kuchni.

Znacznie trudniejsza sprawa, aniżeli przypuszczał. Zaszło coś dziwnego: teraz, kiedy już nauczył się wymawiać „r” – wzdrygał się odezwać przy kimś. Andrea była w kuchni. Przywitała go: – Dzień dobry Anders!

Stwierdził, że przez cały ten czas, kiedy próbował, myślał najczęściej o niej, dla niej chciał wymówić „r”. Teraz natomiast starannie dobierał słowa nie zawierające tej litery, jakby nic nie zaszło.

W końcu natrafił na słowo, którego nie mógł uniknąć. Zawahał się i wymówił je. Cały drżący, spocony, czekał.

Nic się nie wydarzyło. Andrea krzątała się po kuchni, podała mu śniadanie i raz pogłaskała go po głowie.

Nie pojmował tego. Użył kilku słów z literą „r”, wymówił je możliwie najwyraźniej. Andrea zajęta czymś przy kuchni oczywiście nawet nie słuchała!

Anders poczuł się nieswojo. Gdzieś w jakimś miejscu coś bardzo go bolało. Andrea nic sobie z niego nie robiła, nawet nie słuchała, co mówił. Zresztą mniejsza z tym. Kiedyś dorośnie, będzie jechał piękną bryczką, spotka Andreę idącą piechotą i wtedy będzie musiała zejść na skraj drogi – on nawet na nią nie spojrzy. Nie! Zatrzyma bryczkę i...

Matka weszła do kuchni i zabrała się do sprzątanania ze stołu.

Nie mógł dłużej wytrzymać.

– Mamo! Ja już umiem powiedzieć „r”!

– Jak to, naprawdę mój chłopcze – spytała matka nie patrząc w jego stronę. Nie przerwała sprzątanania, pewno nie słyszała, co mówił.

Po chwili jednak chyba uprzytomniła sobie o co chodziło, gdyż obejrzała się i popatrzyła na niego:

– Coś ty powiedział? Umiesz powiedzieć „r”? Spróbuj, niech usłyszę!

Powiedział, niech matka usłyszeli! Andrea podeszła bliżej.

– Niemożliwe, powiedziałeś „r”?

Aasa przydreptała z izby i powtórzyła za dorosłymi:

– Niemożliwe, powiedziałeś „r”?

Matka ujęła go za rękę.

– Chodź, pójdziemy do ojca. O, ucieszy się, bądź pewien!

Ojciec siedział w kantorku za biurkiem, przeglądał jakieś papiery i wcale nie był zachwycony ich widokiem. Jednakże gdy posłyszał o co chodzi, uśmiechnął się i kilkakrotnie pogłaskał Andersa po głowie. Wydawało się, jakby nad czymś rozmyślał. Potem wstał i

poszedł otworzyć dużą szafę. A kiedy się odwrócił, trzymał coś w ręku. Trzymał małą błyszczącą siekierkę. Kilka razy przeciągnął palcem po ostrzu i spojrzał na Andersa.

– Widzisz, Anders, miałem zamiar czekać do twoich urodzin. Jednakże wobec twego dzisiejszego osiągnięcia, otrzymasz ją zaraz. Ale uważaj, idź do Embreta, niechaj cię nauczy, jak się z nią obchodzić.

Ach, jaka była piękna! I jak ciążyła w ręku. Błyszczała cudownie! Słońce przeglądało się w jej ostrzu. Piękniejszej siekierki nie ma na całym świecie.

– No, Anders, chodź, pójdziemy już – rzekła matka. – Dostałeś siekierkę, jesteś dużym, dorosłym chłopem. Musisz mi dowieść, że o tym pamiętasz!

Andrea na widok siekierki aż klasnęła w dłonie:

– Oj, coś podobnego! Toż z ciebie już dorosły chłop, z siekierą. A chodźże tu do mnie!

Objęła go, podniosła do góry i przytuliła do piersi. Anders okropnie się wstydził, że ktoś to widzi. Poczuł w rękach dziwną niemoc, o mało nie upuścił siekierki, trzonek ślizgał mu się w dłoni. Zacisnął rękę z całej siły. Nie wolno wypuścić jej z dłoni.

Z siekierą pod pachą szedł w stronę drwalni na ugiętych kolanach – jak Embret.

„Dorosły chłop”!

Z wielkiej radości miał ochotę skakać do góry, wytarzać się w trawie. Ale nie mógł, bo teraz musiał chodzić jak dorosły chłop. Powoli wędrował do drwalni.

Anders rąbał drzewo przed drwalnią. Embret ustawił mały pień, specjalnie dla niego. Embret nauczył go posługiwać się siekierą, ułożył dla niego cały sąg szczap, które sam urąbał. Teraz Anders rąbał je na mniejsze. Każdą rozłupywał pięknie na dwoje, potem przecinał na pół i układał w duży stos pod ścianą drwalni.

Jak cudownie jest rąbać drzewo i spełniać użyteczną pracę! To zupełnie co innego aniżeli włóczenie się samopas, zabawa, błaznowanie i przekręcanie słów.

Rąbał oburącz, siekiera wrzynała się głęboko w drzewo, drzazgi odskakiwały daleko.

W królestwie Embreta było wspaniale. Pachniało tu drzewem, żywicą, trocinami. Szczególnie trocinami. Za plecami Andersa stał kozioł do piłowania drzewa, a pod nim leżała góra trocin. Cała ta góra trocin była dziełem Embreta. Ilekroć pociągnął piłą, cienka smuga opiłków sypała się na ziemię. W ten sposób powstał ów ogromny stos. Na pewno jednak gromadził się przez długi czas, co najmniej przez kilka wieków. I tyleż czasu Embret potrzebował na to, aby nauczyć się pięknie rąbać drzewo.

Anders znacznie szybciej nauczył się rąbać nie mniej pięknie.

Ale wobec tego trzeba pracować, a nie stać i gapić się! Zabrał się do dzieła z takim

zapalem, że Embret się wyprostował i dłuższą chwilę patrzył ze zdumieniem.

– Co ja widzę! Chyba rąbiesz tak prędko jak ja, Anders. Patrzcie ludzie, co za kupa szczap! Prawie taka duża jak moja!

Anders miał wrażenie, że od razu wydoroślał. Pracuje równie dobrze jak Embret! I Embret sam to przyznał!

Usłyszał gdzieś w środku jakiś głos, który wołał: „Kłamstwo i przechwałki!”

Ile razy Anton czy inni dorośli usiedli za stołem i przechwalali się, Anders powtarzał sobie w duchu te same słowa. Poznał je teraz.

Lecz nie chciał słuchać głupiego głosu. Myślał tylko o tym, co powiedział Embret, co powiedziała matka, i co powiedziała Andrea.

„Duży, dorosły chłop!” – „Pracuje jak sam Embret!” Myśli te powracały nieustannie, a stos urąbanych i złożonych pod ścianą szczap stawał się coraz większy, coraz wspanialszy.

Zadzwoniono na południe. Embret wbił siekiere w kloc o ociążonym krokiem wyszedł z drwalni.

– No, Anders, pójdziemy razem? Należy ci się porządny obiad!

Rzeczywiście, Anders był głodny. Przerwał robotę i poszedł z Embretem.

Podczas całego posiłku jak i później, w czasie poobiedniego odpoczynku, wszyscy opowiadali, co to Anders potrafi, a w miarę tego opowiadania jego sąg drzewa rósł coraz prędzej, aż w końcu rozrósł się na miarę domu. Embret też wyrażał swój podziw i zwoływał wszystkich, żeby przyszli obejrzeć ogromny stos drzewa urąbanego przez Andersa. Na co każdy odpowiadał: – Przyjdę później!

W końcu Anders został sam. Poszedł do drwalni po nowe naręcze szczap. Drzewa w drwalni znacznie ubyło...

Anders rąbał co sił.

W gruncie rzeczy męcząca praca. Siekiera jakoś mniej ostra niż przedtem. Nieraz musiał zamachnąć się kilkakrotnie, zanim odłupał malutką drzazgę; i bardzo trudno trafić w to samo miejsce co poprzednio, szczapa jakby zmieniała miejsce, a więc i siekiera trafiała w inne. A nadto niektóre kawałki trudno było rozszcześcić. Słońce bezlitośnie prażyło.

Rąbał i rąbał. Jednakże praca ta bawiła go znacznie mniej niż na początku. Może zanadto się wysilił? A może pracował trochę za długo? Czuł okrutne znużenie. Gdzieś tkwił błąd, którego być nie powinno. Oczywiście, teraz należałoby skończyć. Czuł doskonale, że powinien już skończyć.

Ale nie! Stos drzewa jeszcze nie był dostatecznie duży. Był bardzo duży, bo Anders rąbał równie szybko jak Embret i wkrótce jego sąg dorówna sagowi Embreta. Ale nie jest



jeszcze wystarczająco duży, musi być większy, dopiero wtedy będzie największy na całym świecie i Andrea oraz Gorina, a także Anton i wszyscy razem przybiegną, będą głośno podziwiali i powiedzą...

Jednakże mimo wszystko można na chwilę wyprostować plecy i wytchnąć.

Wyprostował się.

Nagle jakby chmura przysłoniła słońce, cały świat zbladł i poszarzał. Właśnie zrobił w majtki!

W głowie powstał zamęt. Lecz jedna myśl powracała ciągle od nowa: To Pan Bóg sprawił.

Bóg tak zrządził, żeby go ukarać!

Anders czuł, że staje się coraz mniejszy, mniejszy. Spadał, spadał z zawrotnych wyżyn, z wysokiej góry, coraz niżej, niżej, na samo dno mrocznej jamy.

Kłamstwo i samochwalstwo! Kłamstwo i samochwalstwo! Głos ten przemawiał bez przerwy. Anders słyszał go dobrze, o, jak wyraźnie go słyszał! Tylko nie chciał słuchać, bo pragnął, aby go chwalono.

A teraz trzeba wrócić do domu. Rozejrzał się; oczywiście, innej rady nie było. Spojrzał na stos drzewa. Na małą, mizerną kupkę szczap. Siekierka wyleciała mu z ręki. Upadła na ziemię.

Trzeba wracać.

Dotychczas nigdy nie zauważył, jak daleka jest droga od drwalni do domu. Przerażliwie daleka. A to dlatego, że on sam był taki mały. Miał bardzo krótkie nogi. Szczególnie teraz, w mokrych majtkach.

Powoli zbliżał się do domu.

Wspiął się na kuchenne schody. Myślał tylko o jednym: przemknąć się przez kuchnię nie zauważony i dostać się do izby, do matki. Och, gdyby Bóg chociaż raz zechciał być mu przychylny, gdyby pozwolił mu przejść przez kuchnię bez zwrócenia niczyjej uwagi...

Wszyscy siedzieli przy stole. Rozmawiali o nim. Zaledwie wszedł, usłyszał głos Antona: – O, właśnie przyszedł!

Anton patrzył życzliwie i łagodnie powiedział:

– No, Anders, słyszałem, że z ciebie dzielny parobek. Jeśli chcesz, mogę cię dzisiaj zabrać do młyna!

Embret potwierdził:

– Tak, on umie dobrze rąbać drzewo. Rąbie zupełnie jak dorosły chłop.

Andrea spojrzała na niego:

– Niedługo z naszego Andersa będzie dorosły mężczyzna.

– Ta, tak, to prawda! – stwierdziła Gorina.

Andrea podniosła się i podeszła do niego:

– Skoroś tak dzielnie pracował, to siadaj, zjesz z dorosłymi.

Pogłaskała go po głowie. Nagle jakby się zawahała.

– A może lepiej pójdziemy...

Śmiała się.

Anders wyrwał się jej i pędem umknął do izby.

## Świat

DROGA biegnie na kraniec świata. Jest niby długi wąż opasujący cały świat. Odchodzi i znowu powraca, okrąża całą gminę, idzie dalej – na kraniec świata.

Drogą podąża każdy, kto przyjeżdża z daleka i spieszy daleko. Drogą jeżdżą wszyscy mieszkający w pobliżu; ci, co innych podglądają i podsłuchują.

Matka, Gorina i Andrea ciągle mówią:

„Nie zapominaj, że ludzie przechodzą drogą.”

Mówią także:

„Co sobie ludzie na drodze pomyślą, jeżeli cię teraz usłyszą?”

Mówią również:

„Co ludzie na drodze powiedzą, jak cię teraz zobaczą!”

Przeważnie kobiety tak mówią. Ojciec i Embret znacznie mniej troszczą się o to, co ludzie na drodze myślą.

Drogą idzie wysoki chudy człowiek. Prowadzi za rękę małego chłopczyka.

Domownicy stoją w kuchni przy oknie, spoglądają za nimi i rozmawiają szeptem.

„Ten człowiek to Martin Miliom.” – „Najstarszy jego syn umarł.” – „Najstarsza córka umarła.” – „Ten mały to jej syn.”

„Gruźlica.”

Głosy cichną.

Starucha kuśtyka drogą.

Idzie nierównym krokiem. Od czasu do czasu przystaje i patrzy w niebo. Od czasu do czasu pochyla głowę, jakby bodła. Co pewien czas przysiada w kucki na skraju drogi. Siedzi tak w biały dzień, mamrocze i czeka, czy ktoś nadejdzie; ona jest obłąkana i nazywa się Kari. Jej głęboko zapadnięte oczy to dwa czarne otwory, w których coś się żarzy.

Chodzi tak już od wielu, wielu lat. Chodzi i myśli, że jej mąż jest w piekle. Za nim tak chodzi i z nim tak rozmawia na drodze. Samemu diabłu wygraża. Dorośli kiwają głowami i litują się nad nią, powtarzają sobie jej słowa i śmieją się.

Latem pozostawiają jej swobodę, bo nie jest niebezpieczna. Zimą natomiast trzymają ją w domu, żeby nie włóczyła się po drogach i nie zamarzła na śmierć. Zimą robi pod siebie, jest gorsza od świni.

Blask słońca przygasa, gdy głupia Kari z Moen kuśtyka drogą.

Słońce świeci, to znów grzmi i pada. Niekiedy tęcza pojawia się nad jeziorem, nad wschodnią częścią gminy wyrasta niby ogromna brama. Niegdyś Anders wierzył, że za nią leży Rajski Ogród. Ale to było dawno temu.

Wyrobnicy zamieszkujący pobliską wioskę idą drogą z koszami na plecach i z dzbankami w ręku. Niosą jagody do kupca.

– Bogu dzięki za to, co w lesie rośnie – powtarzają.

Wieczorami ludzie ciągną drogą; jedni idą, drudzy jadą. Ciemno ubrani młodzi chłopcy i jasne dziewczęta przystają na skrzyżowaniu dróg. Słychać niski śmiech, rozbrzmiewa piskliwy chichot.

– Chodź do domu, pora spać – nawołuje matka.

Słońce nie zaszło, jeszcze biały dzień, Anders nie czuje zmęczenia. W dali na drodze słychać głębokie oraz śpiewne głosy.

„Chodź do domu, pora spać.”

Przez otwarte okno płynie szum strumienia, zapach koniczyny, odgłos kroków i głosów na drodze, trzy ciągle powtarzające się od nowa trele ptaka. Suchy, lekki szelest osiki pod drwalnią. I ciągły, stały, odwieczny szum strumienia. Anders usypia.

– Droga jest dla wszystkich! – mówią dorośli.

Tyle niezwykłych rzeczy dzieje się na drodze. Ludzie jadą – tych rozpoznaje się po koniach. Dorośli przechylają się nad stołem, przyciskają twarze do szyb i mówią: – O, to Garmobrona! – A teraz Östmosvarten! – A potem mają temat do długiego opowiadania. Kto siedział na wozie, kto powoził, czy jechali prędko, czy powoli i dokąd, może po położną albo

po doktora, do kupca albo do wójta. Jeśli to był omnibus, to czy jechał o właściwej czy niewłaściwej godzinie? Z niektórych dworów omnibus zawsze wyruszał za późno, bo staruchy marudziły i spierały się z woźnicą, aż robiło się za późno i wszystko skupiało się na koniu.

Jeżeli ktoś zajeżdżał w porze, gdy dorośli siedzieli przy posiłku, zawsze przesiadywali dłużej niż zwykle. Mieli tyle do omówienia!

Drogą biegnie chłopiec – za chwilę zadzwonią na południe. Po godzinie pędzi z powrotem. Niewiele większy od Andersa, a jednak dużo starszy, bo chodzi do szkoły. Do niej to biegł niedawno i z niej teraz wyszedł na dużą pauzę. Mieszka w Tuvem, nazywa się Lars. Mieszkańcy Tuvem są tak biedni, że Lars nie dostaje śniadania do szkoły, więc musi wrócić do domu, gdzie matka daje mu piersi.

To rzecz niezwykła! Jest znacznie starszy od Andersa, a ssie pierś matki? To na pewno grzech! Dlatego ma takie długie plecy i krótkie nogi.

Kobieta z Tuvem przysłała do kuchni. Siedziała na stołku i płakała. Później jadła przy stole. A jeszcze później zniknęła.

Wyglądała prawie tak samo jak każda stara kobieta, ale jadła wyjątkowo obrzydliwie, łykała ogromne kawały. Jej mąż siedzi w więzieniu, jest złodziejem, ukradł pół worka mąki u kramarza.

– Pogrzeb odbędzie się dzisiaj! – mówi ktoś z dorosłych w czasie obiadu.

Taki dzień staje się od razu wyjątkowy, piękny i uroczysty, niemal jak niedziela. Anders i Aasa siedzą na czatach i czekają na czarny, milczący orszak.

Kondukt sunie powoli obok podwórzca. Idzie długo i ciężko. Niebo nad pogrzebem jest zawsze szare i niskie, nawet jeśli słońce świeci.

Anders nauczył się liczyć do dwudziestu. Więcej koni nigdy nie bywa.

Zaraz za podwórzem droga prowadzi przez otwarte pole; w tym miejscu grabarz już widzi kondukt z wieży kościoła i zaczyna bić w dzwony. Anders czuje smak świątecznego ciasta i zapach igliwia. Jest bardzo, bardzo pięknie.

Jeżeli grzebią kogoś z północnej gminy, orszak nie przeciąga obok dziedzińca, widać go jednak ze schodów lamusa – sunie przez pola należące do pastora długi i czarny niby wąż. Wtedy dzwony zaczynają bić.

Nie wszystkie pogrzeby są jednakowo piękne. Niektóre bywają małe i odbywają się szybko. Inne są znacznie większe i trwają dłużej. Najlepiej bywa, gdy pada deszcz i dmie

wiatr. Wiatr powinien zawsze dąć od strony kościoła ku pagórkowi za domem, i nie równo, lecz falami, a każdy powiew wiatru powinien nieść drobną mżawkę. Pogrzeby wyglądają najpiękniej na jesieni.

Pogrzeby stanowią najpiękniejszy widok, jaki można zobaczyć na drodze.

Najbliżej drogi leży izba czeladna. Okna z małymi szybkami wychodzą na drogę, każdy kto tam siedzi, może zobaczyć głowę i połowę ciała przechodzących drogą. Wieczorami rojno jest w czeladnej; jedni przychodzą, drudzy wychodzą, wstępuje tu większość osób idących drogą. Z daleka słychać gwar rozmów. A kiedy ktoś otwiera drzwi, witają go zgiełkliwe głosy i chmura błękitnego dymu tytoniowego. Ludzie w czeladnej izbie siedzą otoczeni gęstą szarobłękitną chmurą, plują, gadają i śmieją się. Zagląda tam wielu najznakomitszych ludzi z całej okolicy. Martin Teppen, Per Myra, chyba najsilniejszy z mężczyzn na świecie, Ole Fallet i Nils z Kleiva, Kal Norderud i Ole Hagaen ze sztywną, pokręconą nogą, której zawdzięcza przezwisko Węgielnica, i Törjer Lykkjen, i Kerstaffer Nust, i Mons Bro, Evart Saga, i Amund Inngjerdingen, i Even Oppi szewc, którego przezywają Even Dratwa. I wielu, wielu innych.

Rozmawiają, śmieją się i gawędzą. Jeśli ktoś przejdzie mimo i nie wstąpi, opowiadają różne historie na jego temat.

Embret siedzi na brzegu łóżka. Pali w milczeniu. Tylko od czasu do czasu rzuci słowo, a wtedy pozostali najczęściej wybuchają śmiechem. Embret wspaniale umie przekręcać słowa.

Na jesieni, gdy zmierzch zapada przed wieczrą, posyłają Andersa do czeladnej, żeby zwołał ludzi na posiłek. Z kuchni pada światło i droga niedaleka, więc nigdy nie braknie mu odwagi. Tym bardziej że niesłychanie podnieca go myśl o wejściu do czeladnej – zobaczy chłopów siedzących dokoła na ławach i na brzegu łóżka, posłucha ich rozmów, śmiechu i urywków opowiadania.

Kiedy Anders dorośnie, będzie przesiadywał wieczorami w czeladnej, będzie słuchać opowiadań o bójkach, o mocarnych chłopach, o dziwnych ludziach z odległych gmin.

Ale niebezpiecznie przechodzić pod takimi oknami.

Embret ma cały zapas przedziwnych powiedzeń:

„Kto leży na ziemi, niżej nie upadnie.”

Mówi też:

„Nigdy nie rzucisz kamienia tak wysoko, żeby nie spadł.”

Mówi także:

„Z dala od domu można się bezpiecznie przechwalać.”

Albo też:

„Powodzenie prowadzi do zarozumiałstwa, zarozumiałstwo do większej dumy, a i tak wszystko kończy się na śmietniku.”

Anders dobrze rozumiał, co Embret przez to wszystko chciał powiedzieć. Chciał powiedzieć:

„Powodzenie robi z ciebie pyszałka i głupca, więc chcesz okazać się większym chwatem niż jesteś i wtedy robisz w majtki.”

Chciał powiedzieć:

„Bądź ostrożny, rozważny, a unikniesz drwin i nie zrobisz w majtki. Ludzie nie będą wyglądali oknem ani kpili z ciebie.”

– A do diabła ciężkiego! Niech to wszyscy diabli porwą!

Stał w progu. Wieczór zapadał. Był lipiec. W półmroku znany świat malał, zmniejszał się coraz bardziej, a wszystko co nieznanne i niebezpieczne podpełzało bliżej, przywarowało i czyhało. Stał na progu, rozglądał się i nasłuchiwał: gdzieś daleko rozlega się nawoływanie, a znacznie bliżej krzyk:

– A do diabła ciężkiego! Niech to wszyscy diabli porwą!

Słyszał, że ktoś woła, usłyszał odgłos mocnego uderzenia, przeciągłego krzyku i ciężkiego upadku. Nagle Gorina stanęła za nim i rzekła:

– Chodź Anders, pójdziemy do domu.

Zegar stoi w kącie. Ma dużą, błyszczącą, mosiężną tarczę z cyframi i długi brzuch, czerwono malowany. A na środku brzucha dziurę. W dziurze widać wahadło, które chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Coś... zegar coś mu przypomina, ale co – tego Anders nie wie dokładnie.

Chyba tarcza coś przypomina?

Na mosiężnej tarczy widać pełno przedziwnych znaków – znanych mu i nie znanych.

Tarcza przypomina rok.

Anders widział rok na obrazku. Rok to jest staruszek z klepsydrą. Zegar na ścianie wskazuje dwunastą – starzec zaraz odejdzie, na jego miejsce wchodzi młody chłopiec. To stary i nowy rok.

Nie, to właściwie jeszcze nie to. Rok to koło; duże, bardzo duże, podobne do

młyńskiego, ale znacznie większe. Jest gdzieś za chmurami. A czas idzie i krąży, podobnie jak koń, który chodzi dokoła w kieracie pod spichlerzem i obraca młockarnię na klepisku. Czas to wiekowy mężczyzna z klepsydrą w ręku. Niekiedy przypomina Boga z długą siwą brodą, a czasem bywa chudy.

W każdym razie zegar i droga to są rzeczy, których Anders w ogóle nie pojmuje dobrze... Czasem we śnie zdaje mu się, że rozumie i dostrzega związek między nimi. Po przebudzeniu jednak wszystko się rozwiewa i Anders widzi tylko cień tego związku – człowieka, który odwraca się do niego plecami i odchodzi mroczną drogą.

W zimie Anders zachorował i leżał w łóżku. Matka siedziała przy nim, twarz jej robiła się to duża, to mała, znów duża i znów mała. Śnił, że widzi związek: postać dużą i straszną. Ogarniał go strach, krzyczał i budził się wśród ciemnej nocy. Był sam – tylko księżyc świecił i zaglądał przez szyby. Lśnił między chmurami – to rycerz w płomienistym płaszczu odjeżdżający w dal, to tarcza z błyszczącego mosiądzu z przedziwnymi znakami. Wskazywał na niego długimi palcami, które przenikały przez szyby i chciały go chwycić. Jednakże Anders widział, jak zimno jest tam w górze, jak bezgraniczna jest ta przestrzeń i nie chciał tam pójść.

Zresztą wszystko to miało miejsce już kiedyś, dawniej.

Od tej pory ile razy wspominał tykający zegar i rok krążący w koło, tyle razy pojawiał się także księżyc i jeszcze trudniej było zobaczyć ten związek. We śnie zawsze wyglądał przerażająco, toteż Anders budził się wystraszony, ze smakiem lekarstwa w ustach; tymczasem związek zniknął, umykał drogą, która jest cieniem z klepsydrą w ręku.

Wszystko to działo się zimą, Anders miał niewiele ponad pięć lat.

Mijają długie okresy bez żadnych snów. A potem znowu nadchodzi czas, gdy sny powracają i Anders wie, że każdej nocy coś będzie mu się śniło.

Zdarza się to wieczorem, po dniu tak radosnym i pełnym ożywienia, że śmiertelnie zmęczony usypia o zmroku na swoim stołeczku. Śpi i nie śpi, na stołku niewygodnie mu siedzieć, w uszach szumi dźwięk głosów, przez zamknięte powieki błyska żółte, ciepłe światło lampy, która zwykle pali się w zimie – a jednocześnie śni, że jest sam na ciemnym strychu lub na białym dziedzińcu, albo że leży samotny w białym pokoju, gdzie pełno innych ludzi, że Coś, zbliża się do niego, że widzi Związek – wielki i straszny – a w końcu budzi się z krzykiem. Z echem tego krzyku w uszach zrywa się ze stołka.

– Rośnie – mówią dorośli.

NIE! – powiedział ojciec.

Była wiosna. Anders skończył pięć lat, ale jeszcze nie miał sześciu.

Co dzień coś nowego, a wszystko przysparza mu aż nadto zajęcia.

Na północ od domu płachta ściętej lodem kałuży zmniejszała się z każdym dniem. Wieczorem Anders wtykał patyki dokoła lodowej powłoki, a rano mierzył, o ile zmniejszyła się w ciągu nocy. Każdego ranka powstawało jezioro, z którego wodę odprowadzał rzekami wzdłuż podwórza.

Na podwórzu nie było śniegu, jednakże na drodze prowadzącej zimą do drwalni utrzymywał się jeszcze długi pas lodu; można było ślizgać się na nim. Ale trudna to była sztuka; ślady końskich kopyt wyryły się głęboko, Anders przewracał się prosto na nos. Wróble przylatywały dużymi stadami i dziobały końskie łajno, zresztą same przypominały szare końskie kupki; tylko że one się poruszały.

Ziemia na podwórzu rozmokła. Embret położył deski, żeby można było chodzić. Spotkania z Kitusiem na tych deskach bywały bardzo zabawne: jako mniejszy musiał ustępować z drogi i wpadał w błoto. Chociaż nic nie mówił, bardzo tego nie lubił i natychmiast wskakiwał na nie z powrotem, lecz zanim powędrował dalej, kolejno otrząsał wszystkie cztery łapy.

W pobliżu spichrza zachowało się zagłębienie w ziemi po starej studni zasypanej dawno temu, tak dawno, że Anders jej nie pamiętał. Grunt w tym miejscu był mokry i śliski, toteż tam nie pozwalano dzieciom się bawić, ale – z domu aż tak daleko nie widać. A potem woda kłaskała w butach: chlup, chlup.

Nowy ptak zamieszkał u nich. Siadywał na brzozie za węglem domu i śpiewał, a wcale nie był podobny do wrony albo wróbla. Anders go nie znał. Jeśli czasem na podwórzu lepił wspaniałe budowle z gliny, ptak przylatywał, skakał dokoła i patrzył przekrzywiając łebek. Anders też mu się przyglądał.

Dorośli nazywali go szpakiem.

„Nazywa się szpak”. Odkąd Anders dowiedział się, jak mu na imię – poznał go lepiej.

Na to wszystko Anders musiał pilnie baczyć, tak samo jak i na wiele, wiele innych rzeczy – na drzewa, które zmieniały się z dnia na dzień, na rzekę, która wezbrała i unosiła



kłody drzewa, a przy tym huczała i huczała; na podbiały i zawilce, które nagle wyrastały wzdłuż drogi. A także na wszystkie pobliskie kałuże, po których żeglował łódkami z kory i starym butem. Każdy dzień był odmienny, a kończył się tym, że Anders usypiał na stołku.

Często jednak zapominał, co miał obserwować, pogrążony w myślach nie wiedział, gdzie się znajduje. Zdarzało się, że właśnie wybudował wspinały kanał odprowadzający wodę z kałuży, otworzył tamę, spławił kłodę drzewa i miał pilnie śledzić, czy dopłynie do wielkiego, szarego kamienia, który nazywał się Dania – a gdy oprzytomniał, woda dawno odpłynęła i kłoda zniknęła. Albo też siedział na oblodzonej ziemi pod drwalnią i patrzył na wróble jedzące i ćwierkające, i na Kitusia, który leżał opodal z przymrużonymi oczami. I znowu zapominał o wszystkim, dopóki nie zziąbł, dopóki lód nie stopniał pod nim i nie przemoczył mu spodni.

Cała sprawa w tym, że ojciec i Martin nie chcieli żyć w przyjaźni.

Anders będzie taki jak ojciec, kiedy dorośnie. Daleko jednak do tego, a nawet nie był zupełnie pewien, czy to się kiedykolwiek stanie.

Ojciec miał brodę jak Bóg w Biblii, chociaż był znacznie młodszy. Był najsilniejszy na świecie, niemal tak silny jak Bóg. Mógł ująć Andersa pod pachy i podnieść prawie do samego pułapu.

– Taki duży urośniesz kiedyś – mawiał ojciec.

Jeżeli ojciec tak mówił, to musiało być prawdą; bo ojciec nigdy nie kłamał. Jedyne człowiek, który nigdy nie kłamał.

Ojciec był najmądrzejszy na świecie. Jeżeli chodzi tam i z powrotem po kantorku z długą fajką w ustach, to znaczyło, że myślał i nikomu nie było wolno mu przeszkadzać. Przebywał wówczas w samotności z Bogiem jak Mojżesz na wysokiej górze – matka opowiadała o tym Andersowi. A gdy wychodził z kantorka, znaczyło to, że już otrzymał tablice z wypisanym prawem.

Teraz zabronił Andersowi bawić się z Martinem.

Właściwie to nie było tak zupełnie niezrozumiałe. O Martinie można niejedno powiedzieć i gdyby Anders był dorosły i stary, chyba także nie miałby ochoty przebywać z nim. Na razie jednak sprawa przedstawiała się odmiennie. O wielu rzeczach nie można rozmawiać z dorosłymi, natomiast można o nich mówić z Martinem.

Martin jest znacznie większy od Andersa. O trzy lata starszy, i wie dosyć dużo, a mimo to jest mu znacznie bliższy, aniżeli prawdziwi starsi.

Martin miał jasnorude włosy i mnóstwo okrągłych piegów na twarzy. To dlatego, że

był silniejszy i odważniejszy od innych.

Martinowi zwykle kapalo z nosa. Nie zawsze, ale prawie zawsze. Anders spytał go raz, czemu ma ciągle mokro pod nosem. Matka mówiła, że to nieładnie i Anders prawie nigdy nie miewał mokro pod nosem.

W odpowiedzi na to pytanie Martin tylko gwizdnął lekceważąco. Żaden prawdziwy chwyt nigdy nie wyciera nosa, a jeśli Anders to robi, to tylko dlatego, że jest mały i godzien litości.

Na razie to wyjaśnienie brzmiało dosyć prawdopodobnie. Później jednak, gdy Anders się zastanowił, zaczął wątpić; w każdym razie nos wycierał nadal.

Jeśli chodziło o Martina, Anders miewał dosyć dużo wątpliwości. Martin nie zawsze mówił prawdę i okropnie się przechwalał. Ojciec zaś mówi, że tylko głupcy i tchórze się przechwalają.

Martin często bywał głupim samochwałem i Anders wstydził się tak bardzo, że nie mógł słowa przemówić, tylko patrzył w ziemię. Zupełnie, jakby Martin w jego obecności robił w majtki. Znalazł na to radę. Udawał, że we wszystko wierzy. Wstydził się wówczas i za siebie także. Pewną ulgę sprawiało mu to, że obaj powinni się wstydzić.

Prawdą natomiast było, że Martin był obdarzony wielką siłą i odwagą. Ważył się na wiele rzeczy, których Anders nie śmiał zrobić. Własną matkę, w jej obecności ośmielił się nazwać starą wiedźmą i w ogóle niemal każdego odważył się przezywać. Umiał mnóstwo rzeczy – umiał stać na rękach, umiał odmówić Ojciec nasz od końca do początku, umiał spluwać przez zaciśnięte zęby, wkładał trzy palce w usta i udawał jastrzębia tak znakomicie, że wszystkie kury z gdakaniem uciekały do kurnika, umiał też ruszać uszami.

Anders będzie prawie taki jak Martin, kiedy podrośnie.

Natomiast kiedy już zupełnie dorośnie, będzie podobny do ojca.

Chociaż to nie tak łatwo.

Czasem Anders zakradał się do kantorka, jeśli nikogo tam nie było. Chodził sobie tam i z powrotem z długim patykiem w ustach i palił fajkę. Myślał. Jednakże co pewien czas musiał wyjmować patyk z ust, bo paląc fajkę trudno spluwać przez zęby. I wtedy przypominał sobie, co ojciec powiedział: „Żaden porządny człowiek tak nie pluje.”

O nie, to nie tak łatwo!

Teraz ojciec wyraźnie zabronił mu bawić się z Martinem. „Martin nie jest porządnym chłopcem – powiedział ojciec – a poza tym ma wszy.”

To już była niesprawiedliwość. Cóż Martin mógł na to poradzić? Jego matka powinna była coś zrobić! Pewno dlatego ją tak brzydtko przezywa.

Niekiedy ojciec bywał zupełnie podobny do Pana Boga z Biblii. Bo Bóg w Starym Testamencie był też niezwykle mocny i niezrozumiały.

Wszystko to sprawiało, że dla Andersa dni stawały się ciężkie i dawało mu za dużo do myślenia.

Pewnego dnia przez okno dostrzegł Martina na podwórzu. Matka wyszła i coś do niego powiedziała, potem drugi raz coś powiedziała i Martin odszedł. Idąc kołysał szerokimi biodrami. Bardzo nieładnie. Bo to przypomina dużo brzydkich rzeczy. Anders musi porozmawiać z Martinem. Spotkał go któregoś dnia na drodze.

– Dlaczego ci zabraniają spotykać się ze mną? – spytał Martin.

Anders coś na to musiał odpowiedzieć.

– Mówią, że mnie uczysz różnych rzeczy.

Martin gwizdnął.

– A to im się kłaniaj i powiedz, że im też by się przydało!

Martin chciał się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, więc Anders musiał coś jeszcze dodać. O wszach nie wspomniał, to niemożliwe! A jednocześnie czuł wyrzuty sumienia z wielu powodów – z powodu ojca, samego siebie, Martina, i z powodu wszy – nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić.

Martin powiedział:

– Kłaniaj się twojemu tacie i powiedz mu, że jest bałwanem. Kłaniaj się także mamuńci i powiedz, że jesteś maminsynek!

Po tych słowach odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę.

Anders stał i myślał; powinien uderzyć go za to, co powiedział o ojcu. Ale Martin już odszedł daleko. A poza tym... to co powiedział o nim samym, że był maminsynkiem, to prawda.

Zastanawiał się jeszcze chwilę. Potem pobiegł za Martinem, dogonił go i uderzył.

– Masz za bałwana? – zawołał.

Martin patrzył zdumiony.

– Mam ci pomóc fiknąć kozła? – zapytał.

I zrobił to.

Andersowi krew pociekła z nosa. Martin pomógł mu się umyć.

Po czym rozstali się.

Anders nadal ukradkiem widywał Martina. Tak być musiało, bo tak chciał Martin, więc cóż Anders miał robić? Gdyby chociaż ojciec nie wspomniał o tych wszech! Zresztą chodziło nie tylko o to.

Kiedy Martin przychodził za stodołę i gwizdał, Anders musiał być posłuszny.

Towarzystwo Martina sprawiało mu teraz mniej przyjemności niż dawniej. Martin bowiem zrobił się ogromnie podejrzliwy, często odzywał się cierpko i opryskliwe, a przechwalał się gorzej niż poprzednio. Anders zaś cały czas miał nieczyste sumienie z takiego lub innego powodu. Oczywiście bał się, że ojciec nadejdzie. A może także dlatego, że często miewał wrażenie, jakby w jego obecności Martin bez przerwy robił w majtki...

Anders często bywał zamyślony.

Kiedy dorośnie, pośle po ojca i po Martina, wygłosi mowę do nich...

Powie: „Podajcie sobie teraz ręce!”

Wtedy oni wyciągną ręce ku sobie i odtąd będą wiernymi przyjaciółmi...

Czasem jednak podczas tych rozmyślań nagle pojmował niejako sens tych myśli. I rozumiał, że się myli. Martin i ojciec nie pasowali do siebie i nigdy nie mogli zostać przyjaciółmi. Anders wiedział także, że aż do końca będzie zmuszony żyć z tymi dwoma osobami, które nie mogą się polubić. Miał wrażenie, że obarczono go niezmiernym ciężarem. A musiał dźwigać go samotnie, z nikim nie mógł go dzielić.

Lecz pewnego dnia zaszła duża zmiana.

Stało się to po obiedzie. Anders siedział na podwórzu i budował kanały. Cisza dokoła, w domu panował spokój. Ojciec i matka pojechali bryczką w odwiedziny, Embret i Anton spali w czeladnej izbie, Tora i Kari poszły do szkoły, Gorina i Andrea znikły z pola widzenia. Kitusz drzemał na desce, nawet nie chciało mu się mrużyć. Anders zamyślił się, praca leżała odłogiem.

Wtem usłyszał sygnał.

Nie bardzo się ucieszył. Wolalby dzisiaj pozostać sam. Teraz jednak nie było już o tym mowy. Podniósł się i poszedł za stodołę.

Martin odwiedził ojca w kuźni; wyglądał wspaniale, całą twarz miał usmoloną, tylko pod nosem pozostała biała mokra plama.

Martin spojrzał na Andersa.

– Umiesz rymować? – spytał.

Anders nie sądził, by potrafił rymować.

Martin gwizdnął.

– Nic nie umiesz! Powiedz: schodek.

Anders nie rozumiał o co chodzi, lecz powiedział: schodek.

– Wychodek! – zawołał Martin. Robił przy tym wrażenie, jakby był bardzo dumny, ale i niepewny. Anders dobrze znał wyraz, który teraz malował się na jego twarzy; było na niej jakby wahanie: ważyć się dalej, czy zmykać.

Aha, więc w ten sposób on rymuje! Anders wstydził się okropnie, nie wiedział co począć, bał się, by Martin tego nie zauważył, więc uśmiechnął się z podziwem. Martin okazał wielką radość.

– Powiedz: dziadek!

– Dziadek!

– Zadek! Powiedz: port!

– Port! – Anders stał i patrzył w ziemię.

– Czort! – zawołał Martin. – Słyszysz jak ja rymuję?

– Tak.

– Ty tego nie potrafisz!

– Nie! – odpowiedział Anders odwracając wzrok.

Zamilkli. Martin niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Potem jakby coś sobie przypomniał sięgnął do kieszeni i wyciągnął długi patyk.

– Widzisz to? To jest fujarka. Ojciec mi ją zrobił, bo mu pomagałem w kuźni.

Martin dmuchnął w fujarkę i wydobył z niej długi, trochę ochryply ton.

Anders nie słyszał nic równie pięknego. Ogarnęła go taka radość, że od razu o wszystkim innym zapomniał.

Martin dmuchał, lecz Andersowi nie pozwolił, bo był za mały. Może zechce mu ją kiedyś sprzedać, ojciec mógł mu zrobić nową, mógł ich zrobić sto jednego dnia, jeżeliby zechciał. Natomiast ojciec Andersa nie potrafi zrobić ani jednej.

Tego było już Andersowi za wiele, więc oświadczył:

– Mój ojciec ma piękne biurko. A twój ojciec nie ma.

Martin nastawił uszu.

– Biurko, co to jest?

Anders musiał wyjaśnić:

– Biurko to jest duży, piękny stół, czarny, zrobiony z drzewa, które tutaj nie rośnie i nazywa się dąb. Ma po trzy szuflady z każdej strony, dużą dziurę w środku, kto chce na nim pisać, musi włożyć nogi w tę dziurę. Trzeba dwóch ludzi, żeby go podnieść i nikt na świecie nie ma takiego stołu.

Tę ostatnią informację Anders uzyskał od Embreta, który właśnie rąbał drzewo w drwalni. Z tego miejsca, w którym się znajdowali, słyszał każde uderzenie siekierą; dodawało mu to pewności, że to co powiedział, było prawdą.

Martin zaniemówił, przez chwilę czuł się zaniepokojony, ale szybko odparował:

– Nie wierzę. Nie ma takiego stołu. Ostatnio okropnie łesz.

– Ja nigdy nie kłamię! – odpowiedział Anders, zdając sobie jednocześnie sprawę, że właśnie skłamał. Bo ostatnio rzeczywiście nie zawsze mówił prawdę; czasem kłamał, czasem się przechwalał. Wiedział także, że nauczył się tego od Martina. Od Martina nauczył się także mówić: „Ja nigdy nie kłamię”.

Martin chciał zobaczyć stół, inaczej nie uwierzy. Chyba Anders może go pokazać? Ojciec przecież wyjechał. A może Anders ma stracha?

Anders bał się okropnie. Zauważył jednak ironiczny uśmiech Martina.

– Ja się nie boję – odpowiedział – i mogę pokazać ci ten stół, jeżeli odważysz się wejść do domu.

– Odważę się? – Martin splunął przez zęby. – Ja się nigdy nie boję.

Chwilę stali obaj w milczeniu, nie patrzyli na siebie, zupełnie jakby pogrążeni w głębokim zamyśleniu.

Anders odezwał się pierwszy.

– Chodź, pójdziemy! – powiedział ochryple. Nie poznawał brzmienia własnego głosu.

– Dobrze, ostatecznie jeżeli tak chcesz! – Martin także mówił trochę dziwnym głosem.

Może również nie miał na to wielkiej ochoty?

Ale jeżeli obaj nie mieli ochoty, to dlaczego to robili?

Anders nie miał czasu rozmyślać nad tym dłużej, trzeba było wejść do domu.

Obeszli stodołę od tyłu. Nikt ich tam nie mógł zobaczyć, mimo to posuwali się pochyleni. Okrążyli stodołę i doszli do płotu otaczającego sad. Nikogo nie widać. Przemknęli dalej, trzymając się jak najbliżej poszarzałego ze starości parkanu. Ogrodzenie ich nie osłaniało, bo szli od strony podwórza; w każdym jednak razie lepiej tu niż na otwartej przestrzeni.

Dotarli do węgła domu. Wzdłuż ściany prześliznęli się do wejścia. Tu stanęli i rozejrzeli dokoła. Chociaż cały czas szli powoli i ostrożnie, obaj byli zdyszani. Anders nastawił ucha, lecz nie usłyszał nic poza biciem własnego serca. Może Martin je słyszy? Ukradkiem zerknął na Martina i uspokoił się. Martin na pewno nie słyszał, rozglądał się na wszystkie strony i Anders byłby niemal skłonny uwierzyć, iż Martin boi się troszeczkę, gdyby nie przekonanie, że to jest niemożliwe.

Anders odwrócił się i poszedł ku wejściu. Wolał to mieć za sobą.

Każdy z trzech schodków głośno zaskrzypiał. Dawniej nigdy aż tak nie skrzypiały! Przystanęli obaj i obaj wstrzymali oddech. Nie, nic nie słycać.

Można iść dalej. Tylko sień pozostała do przebycia.

Sień była niebezpieczna. Duża, ciemna, po jednej stronie wejście do kuchni w głębi, daleko, wejście do kantorka.

Deski w podłodze głośno trzaskały, trudno uwierzyć, by ktoś nie usłyszał. Ale nikt nie przyszedł, a oni już stali pode drzwiami.

Otworzyły się bezszelestnie.

W kantorku pusto. Anders odetchnął i wtedy zauważył, że drży na całym ciele. Puścił Martina przodem przez drzwi.

Na środku pokoju stało biurko – duże, błyszczące czernią.

Martin chwilę stał zapatrzony w nie, potem zwrócił się do Andersa – i szepnął:

– Mój ojciec podniósłby je jedną ręką!

Anders nie odpowiedział. Myślał tylko o tym, żeby już wyjść. O, żeby już wyjść! – on nigdy więcej, nigdy więcej – będzie co dzień odmawiał pacierz wieczorny i będzie się mył cały razem z uszami, co rano, i odda swój nóż – albo raczej nie będzie go nigdy używał w niedzielę...

Martin obszedł pokój dokoła. Odzyskał normalny wyraz twarzy. Strzyknął śliną przez zęby od pieca prawie do samego okna. Potem zobaczył długą fajkę leżącą na specjalnym stoliku.

Anders szepnął pospiesznie:

– Nie ruszaj jej!

Ale Martin już zdążył ją chwycić, spacerował teraz po pokoju z fajką w zębach. Anders poczuł się strasznie mały, a przy tym miał dziwne uczucie pustki w brzuchu. Jednakże Martin był odważny, odważniejszy od wszystkich. Lecz gdyby okazywał nieco mniej odwagi, życie byłoby lżejsze.

Usłyszeli czyjeś kroki za drzwiami, Martin upuścił fajkę na podłogę, sam od razu jakby zmalął i w mgnieniu okna zniknął za drzwiami.

Anders stał jak skamieniały. Przyglądał się fajce. Leżała na środku pokoju. Na pewno rozbiła się na kawałki. Teraz oczywiście ktoś wejdzie!

Nikt nie przyszedł, zapewne w izbie nikogo nie było. Anders powoli zbliżył się do fajki. Nie od razu odważył się ją podnieść, chwilą krążył dokoła. Nie widać najmniejszego pęknięcia. Może jest mimo wszystko cała?

Nachylił się i podniósł ją.

Mimo wszystko cała! Anders poczuł się uszczęśliwiony; od tej pory będzie grzeczny dla wszystkich.

Położył fajkę i wyszedł.

Na podwórzu nikogo nie widać, ale za stodołą ktoś pogwizduje. Anders z wolna kieruje się w tamtą stronę.

Martin stoi z nosem zadartym ku niebu. Zachowuje się jak zawsze. Nie patrząc na Andersa mówi:

– Mój ojciec ma szafę, co stoi w izbie za kuźnią. Ma rzeźbioną listwę. Ta szafa jest dużo ładniejsza od twojego biurka.

Po tych słowach odszedł. Był niezadowolony, zgryźliwy. Anders stał bez ruchu i myślał.

Ostatnie słowa Martina zabolowały go trochę. Nie długo by przejmował się jego gadaniną. Tylko ta rzeźbiona listwa trochę była irytująca. Na biurku rzeczywiście nie ma ani jednej rzeźby.

Anders myślał. A kiedy po chwili skierował się do domu, wiedział już, co należy zrobić.

Anders miał kozik. Taki składany nóż, który dostał od Embreta. Embret twierdził, że to jest piękny, wspaniały nóż. A największą zaletę kozika stanowiło, że skaleczyć się nim było prawie niemożliwe. Miał natomiast jedną wadę: nie domykał się dokładnie, a to dlatego, że ostrze było obluzowane. Trzonek błyszczał jak srebro i widniał na nim wyryty wzdłuż dużymi literami napis: Eskilstuna. Anders nie umiał czytać, więc Embret przeczytał mu to słowo; teraz wiedział, że jest tutaj napisane.

Anders wyrzeźbi listwę na kancie biurka kozikiem Eskilstuna. Anders umiał pięknie rzeźbić. Raz już ślicznie ponacinał brzeg deski do mięsa i dostał za to w skórę; przed kilku dniami zaś wymalował czerwoną kredą długi, piękny szlak na murze przed kantorkiem. Ojciec pogłaskał go po głowie i powiedział: „To jest bardzo ładne. Rysuj więcej takich, ale nie na ścianach.”

Idąc do domu Anders wiedział dokładnie, jak rzeźba będzie wyglądała. Będzie wykonana na wzór haftów z Hardanger, wyryje ją czubkiem noża naokoło biurka. I wtedy biurko będzie piękniejsze od szafy. Ojciec zawoła go do kantorka, pogłodzi po włosach i powie... Nie wiedział dokładnie, co ojciec powie, czuł się jednak podniecony i uradowany. Pobiegnął do domu. Miał niewiele czasu, rodzice lada chwila wrócą.

Robota szła jak z płatka, toż to fraszka! Czubek noża ciął desenie w politurze, rył



drzewo. Na czarnym brzegu biurka powstawały piękne, szare linie. Wzór wychodził dużo ładniej, aniżeli go sobie wyobrażał.

Co powie ojciec, gdy wróci do domu i zobaczy rzeźbę? Powie: „Patrzcie państwo, patrzcie państwo! – jak zwykle gdy cieszy się z czegoś. A potem zawoła: „Anders!” – Anders wejdzie do kantorka, ojciec spojrzy na niego i zapyta: „Czy to ty zrobiłeś, Anders?” – „Tak” – odpowie Anders. Ojciec spojrzy na niego tak czule, aż Andersowi oczy zwilgotnieją i powie...

Anders marzył.

Kozik natomiast nie ustawał w pacy, rzeźba zaznaczała się coraz szersza i szersza, coraz piękniejsza a piękniejsza. Nareszcie skończona! Anders zdmuchnął strużyny ze swego dzieła. Wzór ukazał się wyraźniej, był delikatny jak pajęczyna, lecz wyraźny. Wtem na podwórzu rozległ się turkot bryczki. Anders wymknął się do sieni.

Ojciec był w dobrym humorze, pogładził go po głowie i poszedł. Anders czuł dławienie w gardle.

Ojciec wszedł do kantorka. Anders czekał w sieni. Serce biło mu mocno. Musiał przysiąść na schodach na półpiętrze.

Minał dłuższy czas, Anders kilka razy doliczył do dwudziestu.

Stało się!

W kantorku rozległy się odgłosy burzy, z początku dosyć ciche, lecz dobrze znane. Stało się to tak nieoczekiwanie, jakby podłoga zakołysała mu się pod nogami, coraz silniej i silniej.

Nagle zrozumiał, co uczynił.

A wszystko to było wynikiem...

Wiedział dobrze, z czego to wynikło. Jednakże po chwili zastanowienia szereg wydarzeń wydał mu się tak długi, że nie widział ich początku. Nie wiedział, od czego się zaczęło... Dręczyło go wrażenie, że wszystko to już przeżył dawniej wiele, wiele razy, tylko dokładnie nie pamiętał...

– Anders!

Ojciec stanął w drzwiach.

– Anders, chodź tutaj!

Matka też była w kantorku.

Ojciec z zaczerwienioną twarzą patrzył na niego.

– Czy to ty zrobiłeś?

– Nie! – odpowiedział.

Ojciec uderzył pięścią w biurko, aż kałamarz podskoczył.

– Jeszcze raz cię pytam – czy to ty zrobiłeś?

– Nie.

Anders nie poznawał własnego głosu.

Matka milczała.

– Wyjdź do sieni i dobrze się namyśl! – oświadczył ojciec.

Wyszedł do sieni. Usiadł na najniższym schodku. Usiłował zebrać myśli, lecz nie mógł.

Minęła chwila. Matka weszła do sieni nie z kantorka, lecz z kuchni. Usiadła obok Andersa.

– Czy to ty zrobiłeś, Anders? Opowiedz mi wszystko. Wybuchnął płaczem.

– Tak.

– Ale dlaczego to zrobiłeś, synku?

Ujrzał przed sobą długi szereg wydarzeń. Ale tak odległych, że nie mógł ich powiązać.

Na nic się to nie zda, nie warto wyjaśniać!

– Nie wiem.

Zastanawiał się chwilę, nie mógł nic więcej dodać. Matka wstała i poszła do kantorka.

Po chwili ojciec znowu ukazał się w progu.

– Chodź tu, Anders!

Matka stała obok ojca.

Wzrok ojca był bardzo gniewny.

– No! Więc jednak ty to zrobiłeś! Dlaczego? Odpowiadaj!

Matka poszła do ojca i wszystko wydała!

– Pytam się czemu to zrobiłeś? Odpowiadaj!

– Ależ... – zaczęła matka.

Ojciec odprawił ją ruchem ręki.

– Zostaw nas. Wyjaśnię to sam z Andersem.

– Ależ...

Ojciec tupnął nogą. Matka czekała jeszcze chwilę, po czym wyszła. Przy drzwiach obejrzała się, jakby chciała coś powiedzieć; odeszła jednak, drzwi zamknęły się za nią.

Anders został sam na sam z ojcem.

– Dlaczego to zrobiłeś, Anders?

Spojrzał wysoko w górę na twarz ojca.

Na nic się nie zda wyjaśniać mu cokolwiek!

– Więc nie chcesz odpowiedzieć?

Ojciec podszedł do lustra i zdjął wiszącą za nim różgę. A potem spojrzał na Andersa.

– Słuchaj, Anders, często robiłeś różne rzeczy, których ci zabraniałem. Nigdy jednak w twoich postępkach nie dopatrzyłem się prawdziwego zła. Dzisiaj po raz pierwszy stwierdziłem, że postępujesz brzydko wskutek złośliwości. Z czystej, prawdziwej złośliwości!

Podniecał się tymi słowami, nadymał się.

– Zniszczyłeś moje biurko z czystej złośliwości! Ale ja cię nauczę! Po raz ostatni pytam: czemu to zrobiłeś?

Anders spojrzał na ojca. Ojciec wydawał się bardzo wysoki, urósł niemal do sufitu.

– Bo tata jest bałwan! – odpowiedział.

Ojciec aż podskoczył. Ale mimo wszystko robił wrażenie zadowolonego. Przestał się nadymać.

– Aha! Bawiłeś się z Martinem?

– Tak.

– No, odpinaj spodnie!

Anders doliczył do siedmiu.

Ojciec postawił go na nogi.

– Przepraszasz?

Anders patrzył na ojca w milczeniu. Twarz ojca powoli czerwieniała.

– Nie? Za mało dostałeś?

Bił teraz mocniej. Anders nie krzyczał ani nie płakał.

– Poproś o przebaczenie?

Anders patrzył na dużego obcego mężczyznę.

– Nie.

Bolało coraz mocniej. Zimno nim trzęsło, płomień ogarniał całe ciało. Musiał krzyczeć, ale nie mógł płakać; wewnątrz coś pękło, coś wyszło.

Za piątym razem przeprosił. Twarz ojca wydawała się olbrzymia. Przedziwna rzecz: jak można mieć tak ogromną twarz, będąc tak daleko?

Gdy Anders wyszedł do sieni, spotkał matkę. Zrobiła krok w jego stronę.

– Anders...

Patrzył wprost przed siebie na drzwi, poszedł po wytyczonej linii, minął matkę.

W kuchni słyhać rozmowy i śmiechy. Była pora wieczery.

Poszła do ojca i powiedziała mu!

Dziwna rzecz, jak to wszystko wydawało się odległe. Gdyby chociaż mógł sobie przypomnieć, kiedy mu się to już raz wydarzyło.

Poszedł do drwalni. Gdyby mógł sobie przypomnieć...

W drwalni pachniało trocinami, żywicą, opiłkami. Przez szpary w ścianach zaglądało słońce.

Stał wpatrzony w ścianę.

## Sam

NIE powiedział matce, co o niej myśli. Bo mógłby się z czymś wobec niej zdradzić. A ona nigdy już niczego się nie dowie.

Dwukrotnie wszczyła z nim rozmowę, bardzo ostrożnie, jakby z trudnością. Anders jednak udawał, że nie rozumie – za każdym razem postępował jak wówczas w sieni, widział linię prostą prowadzącą do drzwi i musiał po niej iść, nie patrząc ani w prawo ani w lewo.

Oba razy jej umknął.

Dni mijały. Trzymał się z dala od matki, w miarę możliwości. Unikał kantorka, bo tam stało biurko, którego nigdy więcej nie chciał widzieć; choć właściwie przyczyna była inna: wiedział, że jeśli znajdzie się w kantorku sam na sam z matką, będzie musiał z nią rozmawiać.

Unikał jej na wszelki sposób. Ale i w tym kryło się niebezpieczeństwo.

– Ogromnie się zmieniłeś, Anders! – powiedziała pewnego dnia.

– Ja? Nie, a dlaczego? – odparł i umknął. Stwierdził, że musi być ostrożny, jeszcze ostrożniejszy, żeby w ogóle niczego nie zauważyła. Nie chciał bowiem, za nic nie chciał rozmawiać z matką. Stopniowo uświadomił sobie, dlaczego tak było. Bał się, że wybuchnie płaczem. A to nigdy stać się nie powinno. Wolał wszystko, aniżeli to!

A zatem zachowywał wzmożoną ostrożność, miał się na baczności, był – o ile się dało – taki jak dawniej, starał się tylko o to, żeby nigdy nie przebywać sam na sam z matką.

Embret mawiał:

„Chodź cicho, mów półgłosem, siadaj blisko drzwi, a ludzie nie będą na ciebie zwracali uwagi i dadzą ci spokój!”

Anders pamiętał o tym powiedzeniu Embreta.

Minął pewien czas. Matka przestała zwracać na niego uwagę. Może o wszystkim zapomniała? Odetchnął z ulgą. A jednak kiedy stwierdził, że matka na nic nie zwraca uwagi, miał wrażenie jakby zwiększającego się chłodu. Chłód przenikał go do szpiku kości. Choć

było lato i ciepło na dworze, ziąb ogarniał go nieraz nawet w upalne południe, aż zęby szczękały.

Matka była nie tylko matką, ale i kobietą. A wszystkie kobiety są jednakowe. Plotkują, zyskują sobie zaufanie, a potem idą na skargę. Tora taka była i Kari, i Andrea.

Czasem nawet i Gorina była taka sama. Te wszystkie kobiety nie zasługują na zaufanie i mają jednakowe oczy.

Tylko jedna kobieta nie była prawdziwą kobietą i w stosunku do niej Anders nie był skryty, w każdym razie nie zawsze. Kobieta tą była Aasa. Aasa różniła się od tamtych. Może przyczyna tkwiła w tym, że była taka mała?

Od czasu do czasu wstępował do drwalni, żeby pogawędzić z Embretem. Poza tym jednak przez całą ową wiosnę i lato chadzał samotnie własnymi drogami.

Nadeszły sianokosy, a wraz z nimi Amund.

Amund był u confirmacji w ubiegłym roku, wzrostem jednak przewyższał swoich rówieśników. Do tegorocznych sianokosów przyszło ich trzech, wszyscy w równym wieku; Amund jednak był wyższy i silniejszy od dwóch pozostałych i pod każdym względem najmilszy.

Amund był wybitnie urodziwy. Wyglądał zupełnie tak samo, jak Indianie z obrazków w książce: był szczupły, ciemny, nos miał orli i cienki, wydatne kości policzkowe i głęboko osadzone oczy. Anders nie mógł się napatrzeć, kiedy zobaczył go po raz pierwszy przy śniadaniu w dniu rozpoczęcia sianokosów.

Chciałby tak wyglądać, jak dorośnie.

Cały ten pierwszy dzień myślał o Amundzie, pragnął być w pobliżu niego i miał ochotę zawrzeć z nim przyjaźń. Ale nikt nie powinien o tym wiedzieć. Gdyby się dowiedzieli, zaczęliby drwić – śmieliby się głośno, uderzali po kolanach, grali mu na nosie i bez przerwy wybuchałoby śmiechem. Wszyscy wybuchnęliby śmiechem; Tora, Kari i Andrea, i Gorina, matka, ojciec i Embret – tak, nawet Aasa robiłaby miny – i drwiliby: co za śmieszny i nieprawdopodobny pomysł – przyjaźnić się z Amundem? Wyglądać jak Amund?

Strzegł więc swojej tajemnicy. Zachwycony trzymał się z daleka, nie ośmielał się ani okazywać, ani wypowiedzieć swego marzenia. Podczas odpoczynku po śniadaniu i obiedzie, gdy parobcy siedzieli na podwórzu lub stali pod ścianami zabudowań, Anders siadał w kuchni przy oknie. Bez przerwy patrzył na Amunda, wodził za nim wzrokiem, obserwował, jak chodzi, stoi czy siedzi, jak odwraca głowę, jak ogląda się przez ramię. Anders, gdy dorośnie, będzie wszystko robił tak samo.

W godzinach pracy wędrował na łąkę, patrzył na mężczyzn, którzy idąc jeden za drugim kosili równomiernym ruchem. Szli kołysząc się w kolanach, kosy zataczały łuk i z wesołym świstem cięły trawę, która kładła się miękko i cicho na łące. Anders postępował za nimi i patrzył. Ale cały czas widział tylko Amunda i ruch, jakim zamachiwał się kosą zmuszając ją do cięcia; prawdziwa sztuka tak machać kosą, żeby cięła, żeby ani jedno źdźbło nie pozostało, żeby łąka została skoszona równo i pięknie. Amund wszystko to potrafił.

Anders dopiero później zdał sobie sprawę, że zawsze trzymał się obok Amunda.

Nie mógł usiedzieć w kuchni, jeśli Amund z resztą parobków stał na podwórzu. On też wychodził wtedy, niby przypadkiem, i zawsze stawał tak, by słyszeć, co Amund mówi. Zresztą Amund mówił niewiele, był z natury cichy i milczący. Ale bardzo duży. Prawie taki dorosły jak starzy chłopci. W porównaniu z nim dwaj pozostali wydawali się niemal dziećmi; zaprosili raz Amunda do gry w wybijanego, lecz Amund tylko wzruszył ramionami, nawet im nie odpowiedział. Był zbyt dorosły na takie zabawy. Anders po prostu wstydził się za Pera i Olega, co za głupcy! Sami to zresztą rozumieli, stali cicho, przytuleni do ściany stodoły, miny mieli zawstyżone, bo jakże mogli być tak dziecinni!

Podczas południowego odpoczynku trzej młodzi nie kładli się spać za przykładem starych chłopów. Siadali w cieniu na klepisku lub przed lamusem i gawędzili; czasem nic nie mówili, tylko patrzyli przed siebie; albo włóczyli się dokoła zabudowań i po polach wolnym krokiem, jak zwykle dorośli w porze wolnej od pracy.

Pewnego dnia po obiedzie Anders nie zdołał oprzeć się pokusie. Amund i jego dwaj towarzysze poszli w kierunku piwnicy na ziemniaki. Anders wyszedł z kuchni i podążył ich śladem. Nie przyłączył się do nich, ot, po prostu wędrował tą samą drogą.

Poszli ścieżką prowadzącą do źródła w dolinie. Anders za nimi. Trzymał się z dala, ale ich nie odstępował. Trzej chłopcy nie rozmawiali; może z powodu upału czuli się trochę senni i ociężali, jak wszyscy dorośli. Od czasu do czasu któryś z nich pochylał się i zrywał liść szczawiu lub kwiat rosnący przy drodze. Jeżeli robił to Amund, Anders także się nachylał, zupełnie odruchowo, i również zrywał źdźbło trawy.

Zeszli w dolinę. Tu było chłodniej, więcej cienia i źródło było. Trzej parobcy usiedli. Anders usiadł nieco wyżej na stoku i udawał, że ich nie widzi. Amund obejrzał się w stronę Andersa. Anders udawał, że tego nie zauważył. Spodziewał się, że Amund go zawoła, poprosi, aby się do nich przyłączył. Ech nie, lepiej wcale o tym nie myśleć!... Mogliby porozmawiać o pogodzie, o sianokosach i suszeniu trawy... A on mógłby im opowiedzieć o cudnej fujarce, którą Embret zrobił dla niego tej wiosny. Miała aż dwa tony...

Wstali i ruszyli z powrotem. Nie odezwali się do niego. Znowu udawał, że ich nie

widzi, przeczekał, dopóki nie odeszli daleko. Potem podążył za nimi. Lewą rękę trzymał w kieszeni, zupełnie tak samo jak Amund, a prawą od czasu do czasu wymachiwał, jak Amund, gdy zrywał liść.

Nagle Amund stanął i obejrzał się za siebie. Spojrzał na Andersa. Teraz pewno poprosi, żeby się do nich przyłączył...

Amund coś powiedział do towarzyszy. Oni też się obejrzel. Patrzyli na Andersa. Amund uśmiechnął się – bo nie śmiał się nigdy, to nie przystoi dorosłym. Dwaj pozostali roześmieli się głośno. Per wsadził lewą rękę do kieszeni, a prawą zaczął wymachiwać – małpował Amunda; nie, raczej Andersa, bo to Anders małpował Amunda. Potem uderzył się po kolanach rycząc ze śmiechu.

Poszli dalej. Nie rozmawiali na ten temat, tylko szli dalej, trochę ociężali, jak dorośli w czasie upału.

Anders podążył za nimi.

W chwili kiedy Amund obejrzał się na niego z uśmiechem, Anders wiedział, co będzie. Tak, zdawał sobie sprawę, że wiedział o tym z góry, zupełnie jakby oczekiwał, iż tak musi się stać. Wiedział o tym wszystkim od dawna, od bardzo dawna... Pilnie rozglądał się po zboczu za czymś, za kwiatem, ślimakiem lub glistą, za czymkolwiek. Ani na chwilę nie podniósł wzroku; przyszedł tu, bo tak mu się podobało, a z tamtymi nie miał nic wspólnego, był ogromnie zajęty rozglądaniem się dokoła. Tylko kącikiem oka widział, co oni robią, najdrobniejszy ich ruch... Trzymał się z tyłu całkowicie pochłonięty patrzeniem w ziemię. Jednocześnie dokładnie wiedział, że to na nic się nie zda, bo już go zauważyli. Cały świat kpił z niego. Nurtowała go tylko jedna myśl: „Wstyd, wstyd, wstyd!” Kiedy Amund i tamci dwaj przystanęli, obejrzel się i zobaczyli go stojącego opodal i udającego całkowitą obojętność, miał wrażenie, że serce powoli osuwa mu się coraz niżej. Poszli dalej, ospale, beztrosko, rzuciwszy mu uśmiech przez ramię – a on nadal udawał, że szuka czegoś pośród trawy i myślą odbiegł daleko.

Tak wygląda upokorzenie. Później często je spotykał. Zawsze uważał, że ma jednakowe oblicze: dumną, piękną twarz, leniwie zwracającą się ku niemu z dyskretnym uśmiechem. I zawsze, chciał czy nie chciał, przyjmował je w ten sam sposób: udawał obojętność, udawał, że jest zupełnie gdzie indziej, jakby coś innego go interesowało, trzymał się z dala, jakby z pełnym zadowoleniem rozglądał się po zboczu...

Wszyscy trzej zniknęli za wzgórzem. Pozostał sam, krążył dokoła, szukał pośród niedawno skoszonych traw, gdzie po deszczu koniczyny i tymotki znowu zaczynały wschodzić. Pośród grubych, szarozółtych, krótkich łodyg młode trawki wydawały się bardzo drobne i zielone.

Krążył i szukał dokoła, zerwał liść szczawiu, wziął go do ust, ale był zbyt stary, suchy i łykowaty. Usiadł. Właściwie na nic nie patrzył. O niczym nie myślał. Po prostu siedział długo, długo. A czas stanął w miejscu. Podniósł się i usiadł w innym miejscu, czas jednak ciągle nie chciał mijać.

Wreszcie dzwonek w łamusię obwieścił koniec obiadowej przerwy. Ale dla Andersa jeszcze nie nadeszła chwila wyzwolenia. Wiedział, że teraz chłopci budzą się w czeladnej, Embret, Nils i Martin wstają, przeciągają się, zapalają fajki, po czym idą do kuchni na kawę. Po poobiednim spoczynku nigdy się nie spieszą. Amund, Per i Ole idą także do kuchni. Teraz piją kawę, potem będą ostrzyli kosy na kowadełku przed stodołą. Następnie będą osadzali ostrza na drzewcach. Później pójdą na łąki. Dzisiaj koszą wschodnią łąkę; Anders siedział na zachodnim wzgórzu, a więc będzie mógł wrócić do domu, kiedy się upewni, że już ich nie ma na podwórku.

Siedział na pagórku i patrzył w stronę źródła, w stronę strumyka spływającego ku dolinie. Tam w dole było zawsze świeżo i zielono. Szczególnie teraz, gdy po sianokosach zbocza poszarzały i opustoszały. Tam w dole rosły żółte lilie wodne, wysokie, ślicznie pachnące miodowniki o białych kwiatach i wiele innych roślin o nieznanym mu nazwach. Roje trzmieli brzęczały i fruwały tam w dole. A tu na pagórku ani jednego trzmiela. Dwie pliszki chodziły po skoszonej łące: kiwały ogonkami, coś dziobały w trawie, to znów podnosiły główki i prędkimi ruchami oglądały się to w prawo, to w lewo, ciągle kręcąc ogonkami. Potem znowu zabierały się do dziobania. Wszystkie ich ruchy były szybkie i niespodziewane, zupełnie jakby nagle o czymś sobie przypominały, a potem jakby nagle znowu myślały o czymś innym... Pewno szukały robaczek i glist pośród trawy. Anders zaczął się także rozglądać za nimi, nie czekał wcale długo, a zobaczył robaczka biegającego po ziemi, maleńkiego, w pancerzu na plecach. Przypominał trochę ową bożą krówkę, która często siada człowiekowi na rękę, a potem odlatuje tam, gdzie przebywa jego ukochana. W trawie było mnóstwo rozmaitych żuczków, Anders mógł się im przyglądać długo i dokładnie. W końcu usłyszał dźwięk ostrzenia kos. Było ich sześć, każdą trzeba naostrzyć po obu stronach. Próbował liczyć, lecz musiał zrezygnować, naliczył dużo więcej niż dwanaście. Wiedział również, że czasem ostrzy się kosę ponownie, najpierw z jednej, a nieraz i z drugiej strony.



W końcu wszystko ucichło. Anders zastanawiał się: teraz osadzają mocno ostrze na drzewcu, teraz podkładają rzemień, teraz zabijają kliny z jednej i z drugiej strony, nie, jeszcze nie – o teraz, słycać lekkie uderzenia. A teraz pod ścianą stodoły sprawdzają, czy ostrze nie jest zanadto odchylone – teraz biorą kosy na ramię i odchodzą, sześciu mężczyzn, jeden za drugim.

Ciągle jeszcze nie miał odwagi wstać i wrócić do domu. Siedział i patrzył na pliszki. Jedna podrzucała łebkiem i całym ciałem, potem rozłożyła skrzydła i odleciała, jakby sobie przypomniała, że jej się spieszy. Pewno pofrunęła do domu, do gniazda i piskła. Druga jeszcze spacerowała, szukała czegoś w trawie, potem prędko pokręciła łebkiem i nagle już jej nie było – ta również odleciała.

Anders wstał i powoli wlokł się ku domowi. Im bliżej był domu, tym dłużej ociągał się z każdym krokiem. Już widać dach stodoły, już widać okienko pod strychem, teraz dach stajni, znów okienko pod strychem, a tam kowadełko. Nie ma przy nim nikogo!

Czuł, że serce podchodzi mu do gardła, a potem powoli opada – Anders spokojnie idzie ścieżką do domu.

Miał wrażenie, że dużo, bardzo dużo czasu upłynęło, odkąd poszedł do źródła. Miał wrażenie, że od tej chwili stał się znacznie starszy.

Dni mijały. Myślał tylko o jednej rzeczy – tylko o tym, że nie powinien nigdy już spotkać Amunda. Nie powinien. A w każdym razie dopóki musiał siadać ze wszystkimi do stołu, powinien baczyć, by nigdy nie spotkać się z nim sam na sam. W obecności Embreta lub Aasy – to już nie było tak groźne, wystarczyło wtedy, by udawał, że go nie widzi.

Baczył pilnie. Myślał tylko o tym, żeby uważać.

Udawało mu się dzień w dzień. Jednakże gdy po zakończeniu sianokosów zjedli śmietanę uwarzoną na słodko, poczuł niezmierną ulgę, jakby powstała w nim wewnętrzna próżnia; dotychczas miał wrażenie, że leżał przywalony olbrzymim kamieniem, który teraz nagle z niego zdjęto.

Stwierdził, że czuje się ogromnie znużony.

Dziwna rzecz – mimo wszystko nie przestał uważać Amunda za dorosłego mężczyznę. Niekiedy spotykał go na drodze, widywał lekki, beztroski chód Amunda, jego szczupłą, dumną twarz.

Jednakże widok Amunda nie był już miły, ani myśl o nim nie była przyjemna. Anders myślał o Amundzie, owszem, myślał o nim, ale ani o wzajemnej przyjaźni, ani o pogawędce,

tylko o nim – ale wtedy czuł się znużony i biedny.

Minęło lato, nadeszła jesień; Anders zauważył, że coś się z nim stało. Nic nie było takie jak przedtem. A już najmniej on sam. Czasem, jeśli sam siebie nie poznawał, myślał, że znalazł się w obcym miejscu.

Tam, gdzie przebywał poprzednio, było ciepło, bezpiecznie, przytulnie. Tu, gdzie przebywał obecnie, czuł większy chłód, a nieraz i samotność. Czasem tęsknił do dawnego świata, lecz wiedział, że jest dla niego zamknięty; wiedział dobrze, że nigdy nie powróci tam, gdzie przebywał dawniej.

Skończył sześć lat.

# Wioska

## Embret

JESIEŃ trwała długo i zima także. Padały deszcze, potem przyszyły śnieżyce.

Zima była mroźna i jasna, sprzyjała ślizgawce, to dla odmiany łagodna, niebo zasnutę niskimi chmurami, śnieg lepki. Podkowy dzwoniły po oblodzonych drogach, śnieg skrzypiał pod płozami, woźnice nawoływali się ze śmiechem, brody mieli oszronione.

Anders znał to wszystko od dawna.

Co dzień uczył się czegoś nowego, chociaż wszystko to zawsze wiedział i umiał.

Nauczył się, że „a” i „b” czyta się jak „ab”. To znaczyło, że już był wykształcony. Później, kiedy mógł czytać całe długie słowa, miał wrażenie, jakby umiał to zawsze. Tylko jeśli sięgał myślą daleko wstecz, przypominał sobie, że był czas, kiedy nie potrafił czytać.

Na końcu jesieni czekało Boże Narodzenie, czekało gdzieś w oddali, a czas stał w miejscu – do świąt ciągle jeszcze było daleko. Nieco później okazywało się, że Boże Narodzenie dawno minęło.

Wiosną jakiś mężczyzna utopił się w jeziorze. To stanowiło ważne wydarzenie, które dotychczas nigdy nie miało miejsca. A jednak: kiedy Embret służył u Rud, pewien mężczyzna utopił się w jeziorze; czyli coś podobnego miało miejsce, a wobec tego ostatni wypadek stracił znaczenie.

Dnie coraz dłuższe, powietrze ostre jak nóż, we wszystkich domach w całej wiosce widać dużo więcej błyszczących szyb aniżeli dawniej.

Uderzono w dzwony kościelne na pogrzeb. Wysoki, chudy mężczyzna postępuje tuż za trumną. Gorina i Andrea stoją w kuchni przy oknie i rozmawiają półgłosem.

– To Martin Miliom. Drugą córkę odprowadza do grobu.

– Gruźlica.

Stara baba idzie drogą. Czyli znowu nadeszła wiosna. Kobieta idzie nierównym krokiem, za chwilę podskoczy, potem stanie i popatrzy w górę, niedługo usiądzie na skraju drogi.

Rozmawia sama z sobą.

– Hej, Marius! Ho, ho, widzę cię! Cha cha cha! Smażysz się w ogniu.

W głęboko osadzonych czarnych oczach migocze iskra.

Ojciec często wyjeżdżał, miał wiele spraw do załatwienia w banku i na zebraniach. Po jego powrocie do domu wszyscy cieszyli się, że znowu go widzą. Podczas jego nieobecności robiło się smutno, ale jednocześnie każdy nabierał pewności siebie.

Jednego dnia matka pogłaskała Andersa po głowie:

– Anders, zrobiłeś się taki grzeczny, że prawie cię nie poznaję! – powiedziała.

Anders tak się okropnie zawstydział tego głaskania po głowie, że uciekł i schował się.

Owej zimy i wiosny Anders zauważył coś w związku z Embretem.

Embret gniewał się na ojca. Dla Andersa to była nowość. Natomiast odkąd to zauważył, stwierdził, że wiedział o tym od dawna.

Jeśli ojciec przechodził przez kuchnię w chwili gdy Embret siedział przy stole i jadł, zdarzało się, że ten ostatni chrząkał. Nigdy dopóki ojciec był w kuchni, lecz często zaledwie drzwi zamknęły się za nim.

Chrząkał, bo był zły na ojca.

Jeżeli Embret był zajęty w spichrzu albo na polu, a ojciec przyszedł zobaczyć, co on robi, zawsze zabierał się do pracy z taką pasją, że najczęściej coś połamał. Później zaś, po odejściu ojca, Embret czasem rzucił za nim jakieś słowo, lecz po cichu, aby nikt nie słyszał. Czasem znów bulgotało mu w gardle jak u złego psa.

Ojciec był słusznego wzrostu i silny. Nieraz przychodził z pomocą innym, jeśli zmagali się z jakimś ciężarem. Wówczas oczy mu błyszczały, ruda broda wydawała się jeszcze czerwiejsza, ale w końcu ciężar ustępował.

– O Jezu, ale mocny z niego chłop – mówił Anton.

Jednakże Embret też był silny, no i starszy. Poza tym bywał w wielu miejscach,

których ojciec nigdy nie widział. Na jego skrzynce stojącej w czeladnej izbie pod łóżkiem widniały litery „E.E.” czyli Embret Elstad; pochodził bowiem z dużego dworu położonego na północ od tutejszej gminy, a dwór ten nazywał się Elstad. Pewnego dnia Embret powiedział do swego ojca: „Cóż wy sobie myślicie, że dla was się zaharuję? Do końca życia będę za niewolnika w tym dziadowskim dworze?” I wyjechał. Służył w Rud, całe lato przepracował przy splawianiu drzewa w Fetsund, całą zaś zimę przy budowie drogi w Smaalen; a jak raz chwycił nóż w jedną rękę i pudełko z tytoniem w drugą, to opróżnił całą salę do tańca. Embret to niebezpieczny człowiek. Potrafił powiedzieć komuś parę słów, po których wszyscy wybuchali śmiechem, a ten do kogo były skierowane, stawał się przedmiotem ogólnego szyderstwa.

Nils z Kleiva, ten który zwykle przychodził na sianokosy, chcąc podrażnić Embreta fiknął kiedyś kozła. Nils z Kleiva był niezwykle zwinny i giętki, chociaż skończył sześćdziesiątkę.

„No tak, od ciągłego siedzenia w wychodku przez tyle lat, w każde sianokosy, człowiek naprawdę nabiera giętkości” – powiedział wtedy Embret. I wszyscy śmiali się z Nilsa, bo rzeczywiście ciągle wykręcał się od pracy.

Embret potrafił być bardzo przykry dla Goriny. Siedział przy stole w kuchni i gadał niby do ściany:

– Mysie bobki i babskie jazgotanie śmierdzą paskudnie, a smakują jeszcze gorzej.

Miał na myśli Gorinę, chociaż nie była babą, tylko starą panną.

Czasem mówił:

– Pan Bóg nie biedaczyna, nie musi słuchać babskiego jazgotu ani kocich wrzasków.

Mawiał także:

– Już tam Pan Bóg dopatrywał, żeby wszystko było doskonałe. A jednak stworzył wściekłą wiedźmę!

Gorina stała przy kuchni i miotała saganami i garami aż dudniło. Embret patrzył na ścianę i dodawał:

– Im mniej siły, tym więcej złości!

Po czym wstawał i wychodził. Gorina nadal szurgąła naczyniami po kuchni. Zdejmowała pokrywę z jednego garnka, rzucała na drugi, a potem znowu przerzucała na pierwszy. Łapała sagan, unosiła do góry i stawiała z hukiem na palenisku, znowu go podnosiła i z trzaskiem stawiała na podłodze. Potem zabierając się do zmywania rzucała kubek na podłogę, podnosiła go i rzucała ponownie. W końcu popłakiwała, ocierała oczy brzegiem fartucha i trochę się uspokajała.

Tymczasem Embret rąbał drzewo w drwalni, rąbał aż drzazgi fruwały, lepiej było nie zbliżać się do niego.

„Odejdź stąd, chłopcze! Mam co innego do roboty, jak gadać z tobą!”

A jeśli w takiej chwili ojciec przechodził w pobliżu, rąbał, aż siekiera trzeszczała.

Embret często bywał szorstki i zły. Potrafił cisnąć to, co w danej chwili trzymał w ręku, złościł się o nic. Kopał, rył i walił w ziemię, jakby mu w czym zawiniła. Wymyślał i kłął, ot po prostu w powietrze. „Nie tylko haruj z nosem przy ziemi w tym dziadowskim dworze! – mruczał. – Służ jak niewolnik w tym dziadowskim dworze!”

Mówił tak, bo był zły na ojca.

Może pewnego dnia Embret porwie się na ojca? Albo ojciec usłyszy słowa Embreta i rzuci się na niego?

Aż przykro O tym myśleć! Ci dwaj przypominali dwie ciemne gradowe chmury z wolna sunące ku sobie coraz bliżej i wzajemnie sobie grożące. Pewnego dnia nastąpi wyładowanie: pioruny i grzmoty. Aż przykro pomyśleć, co wówczas może się zdarzyć.

Anders często o tym rozmyślał. W biały dzień, w pełnym blasku słońca, ogarniało go takie przerażenie, że uciekał do domu i krył się w kącie.

„Co ci się stało, kochanie?” – zapytywała Gorina.

Minęło lato, nadeszła jesień. Anders poszedł do szkoły – to było coś zupełnie nowego! Nagle znalazł się w gronie rówieśników, nie potrzebował już patrzeć ani w górę, ani na dół, lecz prosto przed siebie.

Szkoła była czymś zupełnie nowym, jednakże po krótkim czasie miał wrażenie, jakby chodził do niej od wieków. Szkoła stanowiła odrębny, zamknięty świat.

Tymczasem w dawnym świecie Embret i ojciec istnieli nadal niby dwie gradowe chmury. Anders myślał o tym stale i w wieczornym pacierzu prosił Boga, aby miał na oku Embreta, który jest niedobry, zły, niebezpieczny i chce rzucić się na ojca.

Pewnego dnia na jesieni Embret był zajęty przy kartoflach. Stał w piwnicy i grzebał w kupie ziemniaków. Anders mu się przypatrywał.

Deszcze padały podczas kopania ziemniaków, toteż były one oblepione ziemią. Embret przebierał je, odrzucał uszkodzone, a dobre otrząsał z ziemi, żeby prędzej wyschły. Nikt nie umiał tego robić sprawniej od niego.

Ojciec stanął przy wejściu i zajrzał do piwnicy.

Embret nie podniósł głowy. Zaczął tylko szybciej otrząsać kartofle z ziemi, przebierał je prędeej, a uszkodzone odrzucał dalej.

Ojciec stał chwilę, po czym odezwał się stłumianym głosem:

– Embret, może byś poszedł na południowe pole i uporządkował szopę – a po przerwie dodał – jak cię o to prosiłem...

Dwie gradowe chmury już były blisko siebie, tuż, tuż! Teraz... zaraz... teraz...

Embret nie odpowiedział. Przerzucał kartofle, miotał nimi.

A ojciec nadal czekał we drzwiach.

Embret nie podnosząc wzroku odparł:

– Dobrze.

Ojciec odszedł kilka kroków. Przystanął i patrzył na pola.

Anders odetchnął swobodniej: „Już dobrze!”

Embret cisnął kilka kartofli z taką siłą, że rozbiły się o ścianę. Mamrotał pod nosem:

– ...jak cię prosiłem... stary idiota... idź do diabła... dumny... wariacie...

Wyprostował się, spojrzał w kierunku ojca i głośno pryknął ze złości. W gardle mu bulgotało. Pochylił się znowu i dalej przebierał kartofle.

Ojciec nadal stał przed piwnicą. Nie poruszył się. Patrzył na pola. Nic nie słyszał.

Wtem obrócił się i spojrzał na Embreta spokojnym wzrokiem.

Słyszał wszystko!

Postał jeszcze chwilę, po czym odszedł.

Wiedział o wszystkim!

Embret niczego nie zauważył. Nadal mrucał pod nosem i przebierał kartofle. Ale przerzucał je coraz wolniej. Kiedy nareszcie się wyprostował i rozejrzał, zobaczył, że jest sam. Otrzepał ręce z ziemi, wytarł je o spodnie, namyślił się i ruszył w kierunku szopy.

Pozostawił dwa stosy ziemniaków – dużą górę już przebranych i małą kupkę jeszcze nie tkniętych. Wąska smuga bladego światła sączyła się przez okienko w tylnej ścianie, padała na szarozółte ziemniaki i burą podłogę.

Anders chwilę przyglądał się ziemniakom. Potem wyszedł z piwnicy. Trawa na zboczach była zielona, drzewa żółtawe, a niebo chmurne i szare – nic się nie zmieniło.

– A więc nic się nie stało! – powtarzał później, bo myślą ciągle powracał do owej chwili.

Na szczęście nic się nie stało!

Ojciec postął, popatrzył i odszedł.

Nic się nie stało! Nie było najmniejszego powodu do tak okropnego lęku. Dwie chmury zapowiadające burzę nie były wcale burzowymi chmurami!

Nic nie zaszło!

– Najgorsze było...

Anders dobrze wiedział, że coś było najgorsze, ale co, tego nie mógł sobie przypomnieć.

Niekiedy włącząc się bez celu nagle zaczynał myśleć o tym. Znowu stał w półmroku piwnicy, ojciec odszedł, Embret też właśnie odszedł...

Najgorsze? Dlaczego dreszcze przebiegały mu po plecach?

Wszystko znikало. Potem powracało. Znikало i powracało, nie dawało się uchwycić.

Najgorsze były spokojne oczy.

Wiedziały wszystko. Cały czas o wszystkim wiedziały. I to było najgorsze.

A właściwie nie, najgorszy był tkwiący w nich spokój.

W tych oczach nie kryło się zadowolenie, wręcz przeciwnie. Ale tak samo nie było w nich ani odrobiny gniewu.

Wyłącznie litość.

Te oczy były spokojne, smutne i litościwe. Chyba to właśnie było najgorsze.

Najgorszy był widok Embreta. W piwnicy był słabszą stroną, nie mógł się z tym pogodzić i wskutek tego jakby jeszcze zmałał... Co to on mrucał niby w powietrze? „Im mniej siły tym więcej złości...” Anders był obecny przy tym, jak robił się coraz mniejszy i rzucał kartoflami o ścianę...

Po prostu nie śmiał o tym myśleć.

Anders widział, jak Embret robił w majtki! W obecności ojca!

To było najgorsze ze wszystkiego.

Nie. Najgorsze było to, że nie istniało najmniejsze niebezpieczeństwo. Żadnego niebezpieczeństwa! Embret był zły na ojca, z jakiegoś powodu... z takiego lub innego powodu. Jednakże nic nie groziło, bo ojciec nie złościł się, tylko stał i patrzył. Nie było o co się złościć. Dwie burzowe chmury? – tej sprawy w ogóle nie można brać poważnie...

Anders nie mógł sobie uprzytomnić, czemu ta myśl była niezwykle trudna do zniesienia. Wiedział tylko, że... że nic z tego nie wyniknie i to było najgorsze ze wszystkiego.



Czasami śnił, że znajduje się w piwnicy, że stoi między Embretem i ojcem. I to było okropne, gdyż strasznie grzmiało, a w końcu piorun uderzył prosto w niego. Drzwi znajdowały się tuż obok, na dworze piękna pogoda, widać zieloną trawę, jednakże on nie mógł wyjść, bo piorun go powalił, sparaliżował i rozszczępił na trzy części: jest teraz ojcem, Embretem i samym sobą.

Najgorsza rzecz czuć się porażonym i rozszczępionym na troje.

W ciągu jesieni zauważył coś bardzo dziwnego: Embret stał mu się bliższy. I to od owego dnia w piwnicy na ziemniaki.

Coś dziwnego?

Ojciec pozostał również daleki jak dawniej. Może nawet zrobił się trochę bardziej obcy. Dziwna rzecz! On – ten potężny, mocny, ten mądry ojciec, który zawsze miał słuszość... i wszystko wiedział.

Embret natomiast upodobił się teraz do Tory, Kari czy Aasy. Do niego samego. Anders myślał o nim czasem niemal jak o Kitusiu.

Kochał Embreta.

Niekiedy leżąc w łóżku płakał z powodu Embreta: „Czemu jesteś taki mały, taki biedny i niemądry?”

Godzinami leżał bezsennie i bolał nad tym. To było niezwykle dziwne.

Czasem krążył dokoła Embreta i obserwował go. Wodził za nim wzrokiem, towarzyszył mu w myśli.

Embret nie zawsze był taki, jaki być powinien. Często bywał naburmuszony i głupi, często okropnie kłął, nieraz się przechwalał. Nigdy już nie bywał potężny i mocny.

Embret złości go czasem do tego stopnia, że trząsał się z gniewu i rozpacz. Czasem strasznie płakał w ukryciu, bo bardzo gniewał się na Embreta.

Dlaczego Embret nie mógł być większy, silniejszy i mądrzejszy od innych? Anders nienawidził go za to, że taki nie był. Rozpaczał, ponieważ Embret taki nie był. Wieczorem gdy leżał w łóżku z rozpacz gryzł kołdrę.

Jednakże od czasu do czasu Embret bywał mądry, spokojny, można było liczyć na niego. Wtedy opowiadał wiele przeróżnych rzeczy, bo bardzo dużo wiedział.

W ciągu jesieni Anders coraz silniej zżywał się z Embretem.

– Embret szukał parobka, aż w końcu go znalazł – mówili dorośli.

W ten sposób drwili z Embreta, bo mówiło się „szuka parobka”, jeśli ktoś poszedł do

ustępu żeby zrobić kupkę.

Anders nic sobie z tego nie robił. Towarzyszył Embretowi do drwalni, szedł za nim do spichrza i na pola. Obserwował Embreta, słuchał co mówi i ciągle zadawał mu pytania.

– Wlecze się za nim jak ogon za lisem! – kpił Anton.

Słowa Antona nic go nie obchodziły. Anton przyczepił się do Andrei, którą powinien był dostać Tösten Teppen. Nowa służąca nazywała się Emma, miała brunatne oczy, złote włosy i była dużo ładniejsza od Andrei.

Embret często był nadąsany, ciężko wyciągnąć z niego choćby jedno słowo! Anders jednak dobrze wiedział, że jego obecność jest Embretowi miła.

## Gorina

TO nieprawda; nie tylko Embret był przykry dla Goriny! Gorina potrafiła być nie mniej przykra dla Embreta.

W kuchni zazwyczaj Embret okazywał się niemiły. Gorina natomiast szła do drwalni po drzewo i dopiero tam zaczynała przygadywać, a przy tym tak ciskała szczapami, że Embret zabierał siekiere i odchodził. Wtedy ścigała go, aż na pole. Embret szedł przodem, Gorina za nim. – Zupełnie jakby prowadził za sobą krowę – żartował Nils z Kleiva. Nieraz tak obchodzili wszystkie pola dokoła. Gorina gadała nieustannie. Chwilami nawet słyhać było poszczególne słowa – chociaż w takich wypadkach Embret robił co mógł, aby uniknąć ludzi.

– Na zatracenie zawsze jeszcze człowiek ma czas! – mówiła.

Albo:

– Żebyś nie wiem jak za mną gonił i tak bym cię nie chciała!

– Nie wiem, co musiałoby się ze mną stać, żebyś miała na ciebie spojrzeć – wołała.

Embret szedł przodem, Gorina za nim.

Odpowiadał tylko: „Tak, tak!”, albo „Nie, nie!”

Resztę dnia wściekał się niby zły pies.

– Odejdź stąd, chłopcze! Nie mam czasu gadać z tobą! – mówił.

– Dobrze, dobrze, Embret. – Ojciec i Embret wyszli razem z kantorka. – Dobrze, dobrze. Żal mi rozstawać się z tobą, wiesz o tym. Jednakże, skoro sam tego chcesz... Ale może byś się zastanowił jeszcze do jutra?

– Już się zastanowiłem. Tym razem na dobrze – odpowiedział Embret.

Włożył swój ciemnozielony kapelusz i zamierzał wyjść. Zawrócił jednak, zdjął kapelusz i dodał:

– Tak. Jednocześnie wymawiam i za Gorinę.

– Ahaaa... – rzekł ojciec.

Gorina stała przy kuchni i mieszała w garnku.

– A więc o to chodzi? – spytał ojciec.

Gorina płakała.

– Tak, tak między sobą ułożyliśmy!

– W takim razie życzę wam szczęścia – powiedział ojciec... – Będzie nam was bardzo brakowało, ale... skoro tak jest... życzę wam szczęścia... z całego serca życzę.

Zjawiła się matka.

– A więc to prawda, rzeczywiście?

Ona również życzyła im szczęścia.

Gorina płakała. Rodzice chwilę stali w milczeniu, potem wyszli.

Embret także odczekał chwilę, następnie włożył kapelusz i odszedł.

Tak – a zatem długie zimowe noce znowu nadejdą za dwa tygodnie.

Przez szereg dni Embret i Gorina zachowywali się dziwnie. Wydawali się onieśmieleni. Nigdy ze sobą nie rozmawiali.

Potem Gorina zniknęła na cały dzień. Podobno poszła do Brenna odwiedzić matkę.

Nazajutrz Embret usiadł w kuchni przy stole i patrząc w ścianę zaczął:

– Nudnej babie i staremu młynowi zawsze czegoś brak!

Potem:

– Pchlóm i starym plotkarom nikt się nie obroni.

I znowu:

– A musi być przykro złościć się, kiedy nikt się nie boi!

Gorina, która właśnie gotowała, okropnie szurgąła garnkami.

– Wschodni wiatr i babskie kłótnie zaczynają się od szumu, a kończą się na mokro.

Po tych słowach wstał i wyszedł. Gorina płakała, przerzucała pokrywki z garnka na garnek.

Następnego dnia ojciec i Embret wyszli razem z kantorka.

– Jak wiesz, uważałem, że pod pewnym względem to będzie przykre... – powiedział ojciec. – Z drugiej strony jednak sądziłem także, że to będzie dobrze, bo zostalibyście u nas...

– Hm. Tak, tak! Tak, tak! – odparł Embret. Po czym włożył kapelusz i wyszedł.

Goriny nie było w kuchni.

– Stara historia – powtarzali dorośli.

– Zawsze tak było z Embretem – twierdził Nils z Kleiva.

– Pod każdym względem – dodawał.

O co chodziło Embretowi i Gorinie?

– O, to bardzo stara historia! – odpowiadali dorośli na pytanie Andersa.

– Długa historia – mówili. I śmiali się przy tym.

– Z Goriną zawsze tak było – utrzymywała matka.

– Pod każdym względem – dodawała.

O co chodziło?

– Jesteś za mały, żeby to zrozumieć – odpowiadała matka.

– O, przecież to miłość – wyjaśniła ze śmiechem Emma, nowa służąca.

– Oj, nawet i tego nie wiesz! – woła Tora. – Nie wiesz, że Gorina i Embret się kochali!

Od bardzo dawna, jeszcze przed naszym urodzeniem!

– Od czasu do czasu wszystko zaczyna się od nowa! – twierdziła Andrea.

– Phhh, ty w ogóle nic nie wiesz! – oświadczyła Tora.

Pewnego dnia Gorina znowu obiegła pola za Embretem. W końcu nie widząc innego ratunku Embret skoczył przez żywopłot do sadu. Później z wielkiej złości poszedł spać.

Anton i Nils z Kleiva siedzieli w spichrzu. Skończyła się młocka, mieli przesiać ziarno, zsypać je do worków, pozamiatać i uprzątnąć klepisko. Wobec tego jednak, że Embret spał, a ojciec pojechał do banku, siedzieli i rozmawiali.

Przeważnie mówił Nils z Kleiva, który był w równym wieku z Embretem i znał go od wielu, wielu lat.

– Embret miał bardzo dziwne usposobienie. Poza tym wierzył, że jest stworzony do wielkich rzeczy.

Anton pociąga nosem: – fffffff!

– Opowiadał o tym owego roku, kiedy chodził na naukę przed konfirmacją. „Mam łązić na czworakach i grzebać w waszej ziemi – mówił. – Wolę pójść w świat. Zanim umrę,

obejrzą cały świat!”

...Podobno zawędrował do Lilleström, a także do Moss.

– Fffff – sapie Anton.

– Wyjechał z Elstad. Pokłócił się z ojcem, jak często najstarszy syn. Ojciec nie chciał słuchać jego rad. Embret zatem oświadczył: „Niech sobie ojciec siedzi w tym dziadowskim dworze, póki do reszty nie spleśnieje. Ja wyjeżdżam, zanim umrę chcę obejrzeć cały świat!”

Anton i Nils przesiewali ziarno. Każdy z nich usiadł na koszu przewróconym dnem do góry. Przed każdym leżała kupa zboża. Siedzieli odwróceny do siebie plecami, lecz odrzucali ziarno w tę samą stronę. Nils z Kleiva był mańkutem, toteż ludzie w jego nieobecności tak go przezywali. Czyjeś kroki rozległy się na podwórzu; chwilę siali zboże w milczeniu. Po chwili Nils znowu podjął opowiadanie.

– Przyszedł tutaj do dworu. Ojciec gospodyni jeszcze żył wtedy. Tak, tak, młódka z niej wówczas była, a ojciec słabowity, toteż Embret miał tu władzę niemal jak rządcą.

...Gorina także już tutaj służyła. Zrękowin między nimi nie było, podobno...

– To wszystko było, zanim gospodarz przybył do dworu? – spytał Anton.

– Tak. Zanim gospodarz przybył do dworu. On był wtedy agronomek w Hoff. O nie, odkąd on tu przyszedł, już nie potrzebował rządcy, wiesz dobrze!

– Fffffff! – sapie Anton.

Nils rozejrzał się:

– Zdaje mi się, że Anders przyszedł. Przyniosłbyś nam coś do picia, Anders.

Obydwa śmiali się z czegoś, kiedy Anders wrócił. Nils opowiadał dalej:

– Potem pojechali i nie było go okrągły rok. Wtedy to zawędrował strasznie daleko – do Lilleström, a także do Moss.

– Fffff – sapie Anton.

– Później zmarł jego ojciec, więc Embret wrócił do domu. Ale młodszy brat powiedział, że byłoby dziwnie, gdyby teraz Embret przejął gospodarkę: „Przecież to ja tyle czasu harowałem dla starego” – powiedział. Tyle czasu, to znaczy dwa lata. Embret się wściekł, bo przecież on harował dawniej przez wiele lat. Toteż powiedział: „A bierz gospodarkę, śmierdzieliu, i idź do diabła!” W ten sposób Embret utracił swój duży, piękny dwór. Cóż, Elstad w rzeczywistości to porządny, choć niewielki dwór. Ojoj, jaki był wściekły, kiedy się opamiętał...

Anton pociąga nosem: – fffff!

– Pojechał do Rud. I wtedy zaręczył się z Goriną. Ale cała rzecz w tym, że matka Goriny służąc we dworze wydała się za wyrobniaka, za Törjera Brenna. Zrobiła to na złość

ojcu; ale ledwo za niego wyszła, sama tak bardzo żałowała, że na śmierć prawie zdręczyła męża. Musiał uciekać do Ameryki; ale przedtem zdążyła mieć z nim córkę.

...Stara wbiła sobie do głowy, że musi wydać córkę za właściciela dworu. Toteż ledwo Gorina zaręczyła się z Embretem, zaraz musiała z nim zerwać.

...Embret był okrutnie zły: „Siedz sobie w niebie u twojej matki i niech was diabli porwą!” – powiedział. Teraz to samo po nim powtarzają, wiesz? – Mówią, że jej matka mieszka w niebie, bo Brenna leży bardzo wysoko, a jej stara uważa się za kogoś lepszego.

Anton pociąga nosem i ociera go. Nils opowiada dalej:

– Tego samego dnia Embret dowiedział się o śmierci brata, nareszcie mógł objąć gospodarstwo. Otóż – nie. Powiedział sobie, że mu wszystko jedno! „Jakem nie dość dobry bez dworu, to nie chcę żadnego dworu” – i oddał gospodarstwo siostrzeńcowi.

...Później, kiedy się opamiętał, to podobno jeszcze bardziej się wściekał!

...Wtedy znowu tutaj powrócił, jak mówią, chciał raz na zawsze zerwać z Goriną.

...Ale Gorina przyjechała za nim. Tak, dopiero po kilku latach, ale...

...A teraz, teraz jest tak, jak widzisz, od czasu do czasu Embreta bierze złość, od czasu do czasu Gorina się wścieka, a powtarza się to akurat co miesiąc; według Goriny możesz ułożyć kalendarz.

Anton pociąga nosem. Znowu słyszeć czyjeś kroki na podwórzu, obaj zabierają się do pracy.

W milczeniu przesiewają ziarno do taktu. Ojciec wrócił do domu.

Nils z Kleiva zawsze umiał sprytnie opowiadać. Twarz jego pokrywała gęsta siwa szpeczina, broda przypominała poduszczkę najeżoną igłami, które błyskały, kiedy się śmiał i drgały, kiedy mówił. Anton siedział zasłuchany, pociągał nosem, nieustannie o coś pytał, a przy tym udawał, że wie więcej, niż wiedział.

Anton zawsze udawał, że wie więcej niż w rzeczywistości. Embret twierdził, że dzięki temu zdobył Andreę. Udawał, że coś wie o Töstenie Teppen, w końcu gdy Andrea zapytała go o to, dowiedziała się, iż Tösten ma dziecko w innej gminie. Tösten bowiem jeździł daleko, jedno całe lato pracował przy spławianiu drzewa w Festund.

Töstenowi wszystko obrzydło do tego stopnia, że wyjechał do Ameryki.

„Ona jest głupia. Dziecko w innej gminie? Też pomysł! Gdybym miał nieco mniej szczęścia, to cały ogród tutaj byłby pełen moich dzieciaków” – tak twierdził Embret.

Andrea teraz nie miała spokoju; według tego, co mówił Embret, biła Antona w piątek i w świętek.

– Anders pomoże ci zanieść rzeczy – powiedziała matka.

Gorina wybierała się do Brenna, do swojej matki.

– Pamiętaj, ładnie się ukłoń i zachowaj się jak należy – pouczała matka. – Nie zapominaj, że matka Goriny bardzo na to zwraca uwagę.

Niemaló mieli do dźwignia oboje z Goriną.

Gorina nie była rozmowna, od czasu do czasu powtarzała tylko:

– Muszę koniecznie zobaczyć moją matkę!

Anders dotychczas nie był w Brenna. Dom widział z daleka, bo leżał wysoko na zboczu Vesleberg. W ogóle Brenna była najwyżej położoną zagrodą w gminie. Widywał także często służącą matki Goriny, zawsze ubierała się na czarno, na imię miała Maren i bez przerwy robiła na drutach.

Domek był mały, izba ciemna. Z wewnątrz patrzyło się na świat jak przez dno butelki, gdyż szyby w oknach były zielonkawe.

„Törjer Brenna często patrzył przez dno butelki, zanim uciekł do Ameryki” – twierdził Embret.

Maren siedziała przy stole i robiła na drutach. Pod ścianą stał duży warsztat tkacki z rozpoczętą czarną tkaniną, na podłodze stało motowidło i czarny kołowrotek. Podobno Maren przędła, robiła na drutach pończochy i tkła samodziały jak rok długi.

Anders ukłonił się.

Gorina zapytała o zdrowie matki.

– Dobrze, wszystko w porządku.

Gorina zniknęła w najdalszym kącie izby, gdzie w półmroku stało posłanie. Matka siedziała na łóżku. Twarz jej wyglądała jak świetlista plama, pewno dlatego, że była zupełnie żółta.

– To ty, Gorino? – spytała. – Czy to Gorina przyszła?

Gorina pochyliła się nad nią.

– Tak, to ja! – odpowiedziała.

– Gorina przyszła! – krzyknęła Maren.

Nareszcie matka usłyszała. Potakująco kiwała głową.

– Aha, Gorina, tak.

– A to jest Anders! – zawołała Gorina.

Matka nie dosłyszała. Gorina krzyknęła ponownie:

– Matko! To jest Anders!

Usłyszała nareszcie, spojrzała na Andersa; postąpił krok naprzód i ukłonił się. Dawniej

wskutek onieśmielenia plecy mu sztywniały, ale już teraz umiał się kłaniać. Gorina ujęła rękę matki i uniosła ją, aby Anders mógł się przywitać. Anders podał rękę i uklonił się. Miał wrażenie, że ujął wiązkę suchych, zwiędłych marchewek, toteż od razu puścił dłoń, która opadła na baranicę. Matka Goriny nawet tego nie zauważyła, patrzyła na niego i powtarzała:

– A więc to jest Anders! A więc to jest Anders!

Anders nigdy nie widział nikogo również starego. Cała twarz poorana zmarszczkami! I żółta jak barania skóra. A chociaż staruszka nic nie żuła, to jednak ciągle poruszała szczękami.

Nagle podniosła głowę, twarz jej przybrała wyraz tak srogi, że Anders się zdrygnął. Jednakże nie patrzyła na niego, tylko na Gorinę. Zaskrzeczała jeszcze obrzydliwiej niż przed chwilą:

– Gorino, nigdy nie wydasz się poniżej twojego stanu!

– Nie, nie matko! – odparła Gorina.

Matka chyba nie słyszała, bo powtórzyła:

– Słyszysz mnie Gorino? Nigdy nie wydasz się poniżej twego stanu!

– Nie, nie matko! Nie – wołała głośno Gorina. Trzy włosy na brodawce podrygiwały.

Gorina zabrała się do rozpakowywania paczek.

– Możesz wyjść i pobawić się trochę, Anders! – rzekła.

Anders chętnie wyszedł na dwór, bo w izbie unosił się kwaśny odór siennika, poza tym miał wrażenie, jakby roilo się w niej od nietoperzy.

Spod pieca wysunął się duży pręgowany kot i wyszedł za Andersem. Był pieszczotliwy, więc zaprzyjaźnili się od razu. Za domem Anders zobaczył starą kurę, siedziała w dołku wygrzebanym w ziemi. To na pewno o tej kurze opowiadał Embret. Mówił, że była taka stara jak matka Goriny, od pięciu lat nie znosiła jajek. Ta kura na taką właśnie wyglądała: brakowało jej ogona, pozostał jej tylko kawałek grzebienia i miała minę dużo głupszą niż zwykle kury miewają. Potem Gorina zaprosiła go na kawę. Pili kawę i jedli kwadratowe wafle. Najulubiejszy przysmak Andersa, podawany jedynie w domach położonych wysoko w górach. Masło, którym wafle były posmarowane, poznał od razu, to ich własne, domowe. Kawa była niedobra, pachniała palonym żytem, a Maren wlała do niej melasy, wypił jednak aż trzy filiżanki, wafle bowiem smakowały wyśmienicie. Zapomniał już zupełnie o staruszce w łóżku, gdy nagle z kąta odezwał się jej głos:

– Co to za chłopiec tam siedzi?

Gorina zerwała się ze stołka, podbiegła do łóżka i krzyknęła:

– To jest Anders, matko! To jest właśnie Anders!



Wróciła do stołu i szepnęła Andersowi:

– Chodź Anders, przywitaj się drugi raz!

A jeszcze ciszej dodała:

– Matka wszystko zapomina! Ma już blisko dziewięćdziesiąt lat!

Anders zbliżył się do łóżka, szurnął nogą i podał rękę.

Staruszka spojrzała na niego załzawionymi oczami:

– Więc to jest Anders! Więc to jest Anders!

W drzwiach ukłonił się ponownie i usłyszał jak matka Goriny pyta:

– Maren, co to za chłopiec tutaj był?

Maren odpowiedziała:

– To był mały Anders ze dworu, gdzie jest Gorina!

W drodze powrotnej Gorina była małomówna. Długi czas patrzyła w ziemię. Później odezwała się:

– Wiesz Anders, matka pochodzi z dużego dworu i nigdy o tym nie potrafi zapomnieć.

Chwilę szli w milczeniu. Następnie Anders znowu usłyszał jej słowa, lecz skierowane jakby nie do niego:

– Ogromnie niepokoję się o matkę, ciągle tylko rozmyślam, czy Maren jest dla niej dobra. Albo się niepokoję, czy nie umrze. Od rana do nocy tylko o tym myślę. Dzisiaj to mi się śniło... dlatego musiałam odwiedzić ją dzisiaj.

I znowu po chwili milczenia:

– Nie, nie! Między mną a Embretem nic nigdy nie będzie, póki matka żyje!

Po czym dodała:

– Biedna matka! – i rozplakała się gorzko, jakby staruszka już nie żyła.

## Boże Narodzenie

WSPOMNIENIE o Bożym Narodzeniu kryło się głęboko, bardzo głęboko. Było jako studnia, z której można zaczerpnąć wody w czas posuchy.

Brrr, jesień! Północny wiatr strząsał liście.

Dorośli zaczęli wspominać zimowe noce.

– Wczesna jesień w tym roku – mówili – śniegi spadły w Sognkjölen trzy tygodnie za wcześnie!

Zimowe noce zaczynały się czternastego października. Zima też się wtedy zaczynała.

Anders w myśli widział pewien obraz. Starzec zamykał barierę na jakiejś drodze. Zamknął ją przed latem. Wysoki, głową sięgał zimowego nieba, stał na drodze zamarznętej, twardej jak gład, a dookoła niego wirowały delikatne płatki pierwszego śniegu. To była zima we własnej osobie, zima z białą brodą.

Od owej chwili wszystkie drogi wiodły do Bożego Narodzenia.

Podczas ostatnich, deszczowych dni września i na początku października coraz częściej myślał o Bożym Narodzeniu. Wyobrażał je sobie jako odległe światelko, błyskające w najciemniejszym krańcu roku, jak okno, przez które w ciemne i ciche zimowe wieczory świetlisty blask pada daleko na drogę.

Te święta dają poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Wszyscy są niezwykle mili i uprzejmi. Wszyscy trzymają się razem, nikt nie jest osamotniony. Każdy dobrze czyni innym.

Ilekoć nadchodził mrok i smutek, Anders wspominał Boże Narodzenie. Zupełnie jakby usiadł w fotelu na biegunach. Kołysząc się odchodził coraz dalej od wszystkiego co złe i przykre.

Na Boże Narodzenie, na Boże Narodzenie...

Wspomnienie tych świąt kryło się głęboko, bardzo głęboko. Spowijały je kolejne warstwy zimowego mroku, śniegu i upływającego czasu.

Jedno Boże Narodzenie po drugim, kolejne świetlane punkty, ciepły półmrok i jasny promień.

Chmury płyną nisko nad polami. Płatki śniegu tańczą i wirują w mroku.

Odgłosy dobiegają z mroku. Dzwony kościoła biją po zapadnięciu zmierzchu pośród śnieżnej zamieci. Dzwoneczki u sani i tętent podków, chrzęst śniegu, parskanie koni, głośne nawoływania na drodze w głębokich ciemnościach wieczorów, dudnienie i trzaskanie lodu na jeziorze.

Pewnego dnia Embret powiedział do Andersa:

– Dzisiaj zaczynają się zimowe noce. Chodź ze mną, zdejmujemy barierę przy drodze!

A następnie wyjaśnił:

– Od dawna pada, już koniec z pasieniem bydła na łąkach w tym roku. Wszystkie

bariery muszą być otwarte.

Embret dźwignął drąg z podpór. Zdjął go i postawił pod płotem.

Pogoda była bardzo brzydka. Niebo szare, zimowe. Zamarznięta droga stwardniała, koleiny stężały jak żelazne szyny. Anders przypominał sobie, że poprzedniego roku także chodził z Embretem zdejmować barierę.

Powietrze suche i zimne, jezioro ścięte lodem. Pewnego ranka Embret stanął w progu, chwilę węszył w powietrzu, Po czym rzekł: – Zaraz spadnie śnieg! – I po chwili rzeczywiście jakby wywołał wiatr i zawieją, bo śnieg przyfrunął.

Biało dokoła. Przyjechało trzech chłopów w trzy konie zaprzęgnięte do długich wozów – przywieźli drzewo na święta. Zrzucili ładunek, odjechali i ponownie wrócili.

Siedem tygodni do Bożego Narodzenia!

Dni często bywały mroźne, zimne, czas się dłużył. Potem deszcz padał, śnieg zniknął, co wcale nie było przyjemne, bo wszędzie powstało błoto, wszystko przesiąkało lodowatym deszczem.

Kobiety krzątały się coraz zwawiej, kłóciły się i hałasowały jak nigdy. Przed drwalnią Embret dźwigał ciężkie kłody, wciągał je na kozioł i piłował a piłował. Trociny wylatywały wąską smugą spod piły, zamieniały się w powietrzu w żółtą wstęgę, zataczały łuk, spadały i cicho przysiadaly na śniegu pod kozłem. Wąskie pasmo snuło się ciągle, bez przerwy, tak monotonnie, aż trudno było dłużej patrzeć. Pięć minut zamieniało się w wieczność. Embret pracował tak cały dzień. Ilekroć ktoś wychodził z domu, tyle razy słyszał równomierny zgrzyt jego piły. Pracował tak dzień w dzień. Tak samo piłował w ubiegłym roku i rok wcześniej, i jeszcze jeden rok dawniej. Boże Narodzenie się zbliżało.

Potem Embret rąbał w drwalni, ktokolwiek wyszedł z domu, słyszał uderzenia jego siekiery. Jeżeli ktoś przychodził po drzewo, Embret złościł się, bo ubywało świątecznego zapasu. Dwa stosy dREW ułożone od ściany do ściany na wysokość człowieka, a za nimi jeszcze jeden sięgający pułapu – wystarczały do Trzech Króli. Kobiety jednak piekły mięsivo i ciasta i robiły uszczerbek w zapasie. Embret mruczał i podkładał im najmniej przeschnięte drzewo. Poczynając od chwili gromadzenia świątecznego zapasu drzewa, między Embretem i kobietami wytwarzał się wrogi stosunek. Embret stawał się najbardziej przykry dla Goriny. Czasem, gdy przychodził do kuchni na obiad, kłócili się głośno.

To oznaczało Boże Narodzenie. Andersowi dopiero teraz przyszło na myśl, że to właśnie jest Boże Narodzenie.

Coraz bliżej, coraz bliżej! Zmierzch z każdym dniem wcześniej zapada, śnieżyce i zimno nie ustają. Jeszcze trzy tygodnie, jeszcze dwa tygodnie. Nagle Boże Narodzenie stawało u progu i rzucało cień na cały dzionek.

Anders zastanawiał się, czego sobie życzy na Gwiazdkę. Pragnął dostać nowe jesionowe narty z wiązaniami, które by nie uwierały. Pragnął nowych łyżew z najlepszej stali, żeby mógł ślizgać się prędzej niż Ole i Erik. Pragnął otrzymać harmonijkę, podobną do tej, jaką miał Hans Teppen, gdyż kryło się w niej tyle cudownych dźwięków i tańców.

Tora pragnęła dostać brązowe buciki z wysokimi cholewkami, takie jakie miała córka lekarza. Kari futrzaną czapkę, szarą, z kręconym włosom, taką samą jak Anny Berg. Aasa dostała na urodziny książkę z obrazkami i od tej pory pragnęła tylko wypchanego lisa.

To wstyd otwarcie przyznawać się do własnych życzeń. Ale można sobie poradzić. Ciągłe nawracali do tego samego tematu, wstydliwie na siebie zerkali, ale powstrzymać się nie mogli.

Czy rodzice domyślali się, że on pragnie dostać nowe narty? Może należało wyjawic to życzenie wyraźniej?

Tora i Kari były bezwstydné. Najgorsza jednak była Aasa, nie mówiła o niczym innym, tylko o wypchanym lisie.

To wszystko należało do Bożego Narodzenia.

Pewnego dnia o zmroku matka poszła do ojca do kantorku. Z jej miny poznali, że zamierzali prosić o pieniądze na świąteczne podarki. Zamknęła za sobą drzwi. Rozpoczęli niehałaśliwą zabawę i przysuwali się coraz bliżej drzwi. W końcu cała czwórka kucnęła na progu.

Na przemian słychać to głos matki, to głos ojca. Ojciec złościł się, jak nieraz, gdy chodziło o pieniądze, matka mówiła szeptem, coś tłumaczyła. Wymieniła Torę.

Może ojciec nie miał pieniędzy? W takim razie w tym roku też będzie oszukaństwo z prezentami. Jak w zeszłym roku. Może znowu dadzą mu wełnianą kurtkę, albo coś innego, co i tak dostać musi. W innych domach dają przyjemniejsze podarki gwiazdkowe. Matka mówiła, że tam nie mają tylu dzieci; ale to nieprawda, w wielu domach mają bardzo dużo dzieci.

Anders musi mieć mnóstwo pieniędzy kiedy dorośnie, i będzie dawał miłsze podarunki.

Nie miał ochoty dalej podsłuchiwać. Wstał i wyszedł na dwór. Powietrze było ostre, wiatr północny zacinał, niósł śnieżyce, drobnitką jak mgła. Od strony drwalni dolatywał, jak

zawsze, zgrzyt piły Embreta.

Ubiegłego roku było gorzej. Rodzice głośno kłócili się o pieniądze na podarki, ojciec nawet uderzył pięścią w biurko. Zresztą mniejsza o prezenty; to wszystko razem było brzydkie i przykre. Och jak dobrze być bogatym i wszechwładnym!

To jest Boże Narodzenie.

Zmrok zapada, matka opowiada o Dzieciątku Jezus w Betlejem, o pasterzach, którzy poszli do Jezusa leżącego w żłobku na sianie.

W izbie ciemno, tylko okno prześwituje szarzyzną wokół krzyża i czterech mniejszych krzyżyków w bocznych skrzydłach. Siedzą razem w gromadzie, toteż Anders nie czuje lęku, tylko przyjemność. Ogień płonie na kominie. Zegar, który często bardzo groźnie i głośno mówi: Fe, wstyd – fe, wstyd – teraz był miły i mówił: Tak, tak – tak, tak. Spokój panował w kuchni. Widać zarys stołu z opuszczonymi klapami – przypomina dobrego, łagodnego niedźwiedzia, który idzie do stajenki, by złożyć pokłon Jezusowi.

Następnego dnia rano przyjechał rzeźnik.

Zaledwie wysoki, brodaty mężczyzna z maczugą i rzemieniem przerzuconym przez ramię przestąpił próg, a za nim ukazał się jego pomocnik – czas cofnął się o rok, o drugi rok, i o jeszcze jeden rok.

Rzeźnik postawił maczugę przy drzwiach – jak w minionych latach. Rzemień, zwinięty w krążek i złożony obok maczugi, był teraz zupełnie podobny do czarnej, skręconej żmii. Rzeźnik i jego pomocnik usiedli na ławie pod ścianą, jak dawniej. Kaftany na przodzie mieli wyświecone i poczerniałe od bydlęcego tłuszczu i krwi. Przysiedli się do stołu, podano im kawę i jedzenie. Jedząc bez przerwy rozmawiali. Opowiadali o biciu zwierząt w innych dworach, o tłustych maciorach, o złośliwych wieprzach i niebezpiecznych wołach. Jedli, żuli i przechwalali się. Ogromne pajdy chleba i potężne łyki kawy znikwały w ich gębach. A zaraz potem płynęły z nich przechwałki. O ogromnym wole z Hoff, który miał taką grubą kość czołową, że pierwsza kula wcale jej nie przebiła. O złośliwym wieprzu z Opset, do którego zagrody nikt nie ośmielał się wejść. Rzeźnik natomiast wskoczył do zagrody, a kiedy wieprz ruszył na niego z szeroko otwartym ryjem, szczerząc straszliwe kły, po prostu zarzucił rzemień na te kły i ciągnął...

Pomocnik rzeźnika żuł i łykał ogromne kęsy. Anders widział, jak przechodziły mu przez przelyk i myślał sobie, że w tej chwili przypomina konia, który pije. Wydatne jabłko Adama przeskakiwało mu w górę i w dół. Rzeźnik zaś opowiadając swoje ciekawostki o

świniach rozciągał w uśmiechu szeroką gębę.

Anders stał na środku kuchni i przyglądał się obu. A jednocześnie myślał: Gdyby cokolwiek mogło być inaczej, choćby jeden, najdrobniejszy szczegół...

Jednakże wszystko przebiegało zupełnie tak samo jak w ubiegłych latach. Wiedział, co będzie się działo i stał jak wryty.

Ta chwila już się zbliża.

Rzeźnik wybuchnął śmiechem, szeroko rozdziawił gębę, pośród gęstego siwego zarostu ukazał się szeroki poprzeczny otwór, prowadzący w głąb czarnej czeluści; śmiał się hałaśliwie i długo – śmiechem znanym z minionych lat.

Wszystko w ogóle pochodziło z dawnych lat, tylko jakby zawisło w powietrzu w oczekiwaniu na dzień dzisiejszy.

Już teraz!

Wszystko zjedli, głośno czknęli, wypalili śmierdzące fajki; wstają, idą do drzwi, rzeźnik schyla się po rzemień, maczugę zarzuca na ramię. Pomocnik zabiera skórzaną torbę z nożami. Wyszli, a za nimi Gorina. Przykra zimowa mgła ciążyła nad całym światem. W dołku poniżej piersi i w żołądku coś go ścisną – Andersowi zbiera się na wymioty.

W kuchni zapadła głęboka cisza, wszyscy zamarli w bezruchu, patrzą w powietrze, ich twarze pozbawione są wszelkiego wyrazu.

Już się zaczyna... nie, jeszcze nie...

Andersowi przebiega przez myśl, że jeszcze nie jest za późno; gdyby Bóg zechciał, mógłby jeszcze uczynić cud, mógłby zabić rzeźnika razem z jego pomocnikiem, względnie on sam mógłby jeszcze uciec do sypialnej izby i wtedy może by nic nie słyszał. Teraz... już słyszą kwik, rzemień zaciska się na ryju, rzeźnik wlecze świnie przez całą oborę na oczach wszystkich krów, Anders nigdy tego nie widział, mimo to widzi wszystko wyraźnie. Teraz... teraz już są przed oborą, kwik narasta, staje się coraz przenikliwszy, rozdziera świat na dwoje. To wszystko trwa długo, długo, bardzo długo, nóż zagłębia się, świdruje w głąb coraz dalej; dlaczego nigdy nie założą maski! Należałoby coś zrobić, uciec, nigdy więcej nie wrócić... teraz głucho uderzenie, jakby trzepaczką po furze, i odgłos upadku, to świnia przewróciła się na śnieg. Cisza zapadła, kwik umilkł, lecz jeszcze rozbrzmiewa echem, odbija się od ścian, zawisł w powietrzu, maluje się na wszystkich twarzach; wszyscy stoją w milczeniu z zeszywniałymi rysami twarzy. Anders przytomnieje, stoi na środku kuchni, zgięte łokcie trzyma z dala od ciała, szeroko rozstawione palce zdrętwiały mu. Wszyscy odetchnęli, zmieniają miejsca, Anders podchodzi do okna. Przed oborą coś leży na ziemi, dwóch mężczyzn i kobieta pochylają się nad świnia, która chodziła po zagrodzie, chrząkała i

wszystkiego dotykała ryjem. Teraz Gorina miesza krew w szafliku.

Załadowali ją na sanki i zawlekli do pralni. Pozostała tylko plama z krwi i zdeptany śnieg. Z pralni dobywają się kłęby pary, to woda gotuje się w kotle; para kłębi się w mglistym powietrzu, opar staje się coraz cięższy i gęściejszy. W pralni sparzą świnie, oskrobia i podziela. Zaraz spojrzą na zegar, a potem w innym dworze będą się chwalić, jak szybko wszystko poszło. Już wyjęli żołądek i flaki i wyrzucili je na dwór, na śnieg przed pralnią. W powietrzu przesyconym oparami, zaczyna ją krążyć wrony.

– Kra! Kra! – To mgła kracze, to kracze zimowy dzień. Ostry zapach mgły i trzewi ściele się dokoła pośród zapadającej szarówki. Tego roku Boże Narodzenie jest takie same jak w zeszłym.

Mrok gęstnieje i mgła gęstnieje, rzeźnik odszedł, lecz zapach pozostał, wrony także pozostały, trzy szaroczarne plamy poruszają się po śniegu, dławią się i walczą, podskakują i szarpią.

– Kra! Kra!

Wieczorem ogień płonie pod kuchnią, wielki smolistoczarny kocioł zawisł nad żółtym paleniskiem, pachnie świeże mięso, matka będzie robiła salceson z głowizny.

W dużej kuchni jest ciepło, jasno i przytulnie, trochę uroczyście, trochę jak w święta Bożego Narodzenia.

Wspomnienie kwiku powracało uporczywie, tak samo jak myśl o wnętrznościach, o wronach, ale coś je odpędzało. Nie myślmy o tym teraz. Cały rok nas dzieli od następnego roku. Cały długi rok. Tymczasem przyjdzie Boże Narodzenie.

Z kotła unosił się przyjemny zapach. Płomień wesoło trzaskał na kominie, zupełnie jak w książce z bajkami. Matka uśmiechnięta i rozmowna, w dużym fartuchu, krzątała się między stołem a kotłem, przygotowywała salcesony, krajała, napychała i zszywała. Każdy kolejno musiał próbować. Później salceson będzie leżał pod prasą, aż do Bożego Narodzenia.

Gotowane mięso miało dużo lepszy smak aniżeli zapach. O wiele lepszy od salcesonu, bo salceson jest zimny, szary i tłusty.

Anders zupełnie nie pojmował, dlaczego nie można zjeść wszystkiego mięsa od razu.

Boże Narodzenie było już tak blisko, że Anders czuł jego tchnienie. Obaj z Embretem mieli pójść do lasu po piękną choinkę.

W nocy spadł śnieg. Jednakże Embret nie przypiął nart; szedł w wielkich, ciężkich buciskach. Anders postępował za nim.

Zboczyli z drogi w kierunku drzewka, które wydawało im się wyjątkowo ładne. Okrążyli je dookoła – choinkę trzeba obejrzeć ze wszystkich stron. Embret szedł przodem, pozostawiając za sobą głębokie dziury w śniegu. Anders stapał dokładnie jego śladami. Embret podszedł bliźutko, stuknął drzewo siekierą, śnieżna czapa spadła Embretowi na plecy. Okrążyli choinkę. Nie, nie była dosyć ładna.

W ten sposób oglądali dokoła drzewko po drzewku. Z każdego kolejnego strząsali śnieg. Ani jedno nie było dostatecznie ładne. Na każdym brakowało w jakimś miejscu gałęzi, czasem było zbyt rozłożyste, czasem za wątłe. W końcu musieli wrócić do takiego, które już na początku oglądali. Zupełnie jak w zeszłym roku – ani jednej porządnej choinki.

Wrócili na podwórze i postawili choinkę przed wejściem. Gorina wyszła, obejrzała ją, skrzywiła się, uważała, że wcale nie jest ładna.

W ubiegłym roku powiedziała to samo. Kobiety wychodziły nie dalej jak na próg, za nic nie weszłyby w głęboki śnieg, ale wszelkie ich wysiłki krytkowały, nic im się nie podobało.

Embret spojrział na Gorinę i odezwał się.

– Wszystkie te cacka powini powiesić na tobie. Lepszej choinki nie znajdzie się w całym lesie!

Na te słowa Gorina wróciła do domu. Embret zaś poszedł do drwalni i zabrał się do rąbania, aż drzazgi fruwały i nie sposób było wydobyć z niego choćby jednego słowa.

Anders obudził się – dzisiaj Boże Narodzenie!

Najgorszy dzień ze wszystkich. Nie rozumiał, jak mógł kiedykolwiek o tym zapomnieć, bo przecież każde przykre wydarzenie przypomina o dawniejszych, też niemiłych wydarzeniach.

Cały dom przewrócony do góry nogami. Kobiety biegały po wszystkich izbach, krzyczały i potraçały wszystko co napotykały na drodze. Nie dają nic do jedzenia, tylko łają i wymyślają. Wszystkie sprzęty odsunięto od ścian i ustawiono na środku, w ruch poszła woda, mydliny i ścierki – słowem cały bałagan, jaki kobiety urządzą przy porządkowaniu. Wszystkie skrytki zostały splądrowane, gwiazdkowe podarunki, które Anders ukrył za narożną szafą, Emma wywlokła i rozrzuciła po podłodze zalanej brudną wodą, a domek dla lalki Aasy, nad którym przez tyle popołudni mozolił się w drwalni, podeptała i zniszczyła.

Chwycił maleńką skrzyneczkę z brzozonej kory, którą przy pomocy Embreta zrobił dla Emmy, rzucił na ziemię i podeptał.

– Masz swój prezent gwiazdkowy, wstrętna dziewucho! – zawołał.



Cały gwiazdkowy wieczór też może przepaść! Wiedział, co dostanie – o kilku rzeczach nie wiedział, ale czapkę i tak musiałby dostać, a granatową kurtkę wełnianą też na pewno by mu dali i bez Gwiazdki!

Wszystko razem zakłamanie i oszukaństwo!

Dziwna rzecz! W kuchni nagle zrobiło się czysto, wszystkie sprzęty znowu stały pod ścianami, podłogę wysypano świeżym jałowcem, pachniało czystością i świeżością – to Boże Narodzenie.

Embret był miły, pomógł naprawić domek dla lalek i brzozowe pudełko.

Po południu coś cię Andersowi zdarzyło, chociaż w rzeczywistości nic się nie stało.

Znosili drzewo na święta. Niewiele już pozostało. Wieczór nadchodził. Embret ustawił koło spichrza złote snopy zboża dla ptaków.

Anders wracał z naręczem drzewa. Nagle poczuł na twarzy jakby przyjacielskie tchnienie. Przystanął w progu i spojrzął ku południowi. Nad pociemniałymi wzgórzami płynęła błękitna chmura. Płynęła wolno po niskim, szarym i zimnym niebie. Wioska spowinięta bielą nabrała odcienia błękitu. Śnieg chrzęścił, brzoza pod płotem wzdychała. Anders poczuł zapach mokrego śniegu i wspomniął wiosnę. Rzucił drwa, pochylił się i dotknął śniegu – zaczynał być lepki.

Boże Narodzenie nadchodzi. Anders stał w progu, czuł się dużo mniejszy, a jednocześnie dużo większy niż zazwyczaj.

Po chwili wrażenie to minęło. Nowy powiew wiatru wstrząsnął gałęziami brzozy, po prostu odwilż się zbliża.

Pochylił się i zebrał drwa.

Wszyscy utrzymywali, że choinka jest najładniejsza ze wszystkich, jakie mieli kiedykolwiek. Co roku powtarzali to samo. Jednakże gdy matka podwiązała jedną gałąź sznurkiem i zapalono wszystkie świece, rzeczywiście okazała się niemal wyjątkowo ładna.

Ojciec zaczął czytać ewangelię na Boże Narodzenie. Czytał trochę za prędko, kilka słów wymówił niewyraźnie – akurat tak, jak nauczycielka pouczała, że nie wolno robić podczas czytania. W końcu zamknął książkę i od razu poweselał. Zaraz zatoczył krąg wokół choinki. Wszyscy podali sobie ręce i chodzili wkoło śpiewając radosne pieśni; pachniało rozgrzaną żywicą i woskiem, złote nici lśniły, błyszczały koszyczki z glansowanego papieru pełne cukierków.

Gorina zaczęła śpiewać, gdy doszli do drugiej zwrotki. Śpiewała głośno i trochę

falszywie. Chwilę wyciągała jedną nutę i jakoś szło nie najgorzej, póki nie zdecydowała się nagle przeskoczyć na inny ton. W ten sposób przeskakiwała tam i z powrotem kilka razy, zupełnie jak owa kobieta, która zlekła się rowerzysty i zaczęła skakać na drodze w tył i w przód, aż w końcu cyklista zeskoczył z roweru i babę okropnie skłął.

Przy trzecim wersecie przyłączyła się także Emma, śpiewała głośno i ładnie, dużo ładniej od Tory, toteż Anders zapomniał o fałszującej Gorinie.

Embret szedł zwyczajnym krokiem, poruszał wargami, ale nie śpiewał. Kiedy już okrążyli drzewko wiele razy i prześpiewali wszystkie pieśni, na twarzach Embreta, Goriny, Emmy, matki i ojca odmalował się dziwny wyraz, jakby odeszli bardzo daleko, chociaż nie odrywali wzroku od świec.

Później znowu usiedli w półkołu, ojciec rozdawał podarunki ułożone pod choinką. Embret, Gorina i Emma siedzieli na kanapie i nie wiedzieli, co zrobić z rękami, Anders, Tora, Kari i Aasa siedzieli na krzesłach i udawali, że myślą o czym innym.

Następnie trzeba było podejść do każdego z osobna i podziękować, gdy inni dziękowali odpowiadać: – Nie ma za co. – Z onieśmielenia wszyscy mieli trochę nienaturalny wyraz twarzy, chociaż śmiali się głośno i radośnie. Po skończonych podziękowaniach można było znowu usiąść i wtedy to Anders stwierdził, że mimo wszystko musiał się czegoś spodziewać, ponieważ teraz doznał uczucia zawodu. Chociaż właściwie nowa czapka była zupełnie ładna. Zaczął nucić w duchu: „Wesołych świąt, szczęśliwych świąt” – i to pomogło.

Embret, Gorina i Emma obeszli wszystkich wkoło, podziękowali i znowu usiedli na kanapie; w dalszym ciągu nie wiedzieli, gdzie podziać ręce. Embret dzierżył nowe rękawice w rękach złożonych jak do pacierza. Gorina i Emma dostały materiał na suknie, każda z nich ścisnęła swój, nie wiedząc gdzie by go położyć. Cała trójka siedziała sztywno wyprostowana na kanapie.

Emma ukradkiem ronila łzy z wielkiej tęsknoty do domu. Poza tym była niezadowolona z brzydkiego materiału. W ubiegłym roku wszyscy siedzieli tak samo, tylko zamiast Emmy była tu Andrea. Anders zerknął na Gorinę i Embreta i nagle pomyślał: Są teraz o rok starsi. Jakie to dziwne – zupełnie inne święto aniżeli urodziny, bo w dzień urodzin tylko on jest o rok starszy i wszystko jest bardzo przyjemne.

Przyglądał się Embretowi. Na zaciśniętych wargach nie ma cienia uśmiechu, a wzrokiem zdaje się odbiegać daleko, jakby wyruszył w daleką podróż.

Anders spojrzał na rodziców. Siedzieli w milczeniu, zapatrzeni przed siebie. Oni także o czymś myśleli i odeszli daleko.

W izbie zapadła głęboka cisza. Nagle Aasa wybuchnęła płaczem. Płakała, bo nie

dostała wypchanego lisa. Wszyscy od razu oprzytomnieli, zrobiło się wesoło, jakby coś przyniosło im ulgę, śmiali się, rozmawiali i pocieszali Aasę. Wszystko w porządku, nawet Aasa znów poweselała.

Świece dopalały się powoli, trzeba było gasić je kolejno. Emma podała każdemu rękę i wyszła do przyległej izby. Gorina i Embret też zabierali się do wyjścia. Przymrużonymi oczami patrzyli na choinkę, na której paliło się już tylko kilka świeczek. Robili wrażenie postarzałych, znużonych, jakby w ciągu dwóch godzin przybyło im parę lat.

Nareszcie prawdziwe Boże Narodzenie. Długi stół odświętnie nakryty, słychać pobrzękiwanie janczarów, dzwonienie podków na drodze, rozradowani ludzie niespodziewanie zajeżdżają do dworu w obszernych saniach, konie parują na mrozie, w izbie gra harmonia i skrzypki, tańczą, aż dom trzęsie się w posadach.

Każdy dzień odmienny, ale wszystkie mają coś wspólnego, czym odróżniają się od pozostałych dni w roku, śmiech dziewcząt, nawoływania od wschodu i zachodu, lód dudni i trzaska na jeziorze, rozliczne dźwięki płyną z daleka, jakby z Biblii lub z książek o przygodach. I każdego wieczoru co pewien czas rozlegają się wstrętne wrzaski, słychać je wprawdzie z daleka, a jednak są niebezpieczne i bliskie.

To pijak wędruje drogą. On zawsze włóczy się podczas Bożego Narodzenia.

Pewnego dnia pijany mężczyzna wszedł do domu.

Dom opustoszał niemal całkowicie, co zdarza się jedynie w okresie Bożego Narodzenia. Pozostała tylko Emma i Anders.

Na dworze słońce, zadymka, wichur wyje za węglem domu. Na drodze też rozlega się wycie. Dom jest ogromny i pusty.

– Chodź, już pora spać! – mówi Emma. – Na drodze pełno przebierańców i pijaków, jak znajdą takiego chłopca, co jeszcze nie śpi, to go porywają.

Emma jest zaniepokojona, oczy ma rozbiegane. Wystraszony Anders nie chce iść spać.

Jeżeli pójdzie grzecznie spać, dostanie ciastko. Emma ciągle zerka ku oknu, jakby coś tam mogła dostrzec, a przecież za oknami ciemno jak w kominie. Anders zorientował się, że Emma go zwodzi, że coś przed nim ukrywa, toteż zląkł się jeszcze bardziej i za nic nie chciał położyć się spać.

– Wstrętny chłopak z siebie! – zawołała Emma. – Chcesz czy nie chcesz i tak położę cię do łóżka!

Usiłowała go złapać, ale Anders jej uciekł.

Nagle oboje stanęli jak wryci. Ktoś otworzył zewnętrzne drzwi. W sieni słysząc niepewne kroki. Drzwi skrzypnęły, wszedł obcy mężczyzna.

Emma szybko podbiegła do niego i coś mówiła cicho i prędko. Mężczyzna wyprostował się i rozejrzył dookoła. Dziwnie wolno obracał głową.

– Anders? Co za Anders? – zapytał ochrypłym głosem.

– Cicho! Cicho! – szepnęła Emma i podprowadziła mężczyznę do ławy.

Osunął się ciężko na ławę, skurczony we dwoje, głowa mu się kiwnęła, jakby od razu zasnął. Emma stała nad nim i coś szeptem tłumaczyła.

Wtem ocknął się, wstał, a chociaż chwiał się na wszystkie strony, nie upadł.

– Mówisz, żebym poszedł do domu spać? – zapytał. – Anders tu jest? Co za Anders?

Emma szybko podbiegła do Andersa.

– Idź spać, Anders!

Anders wrzasnął:

– Nie! Nie!

Strasznie się bał tu pozostać, ale jeszcze bardziej lękał się samotności.

Mężczyzna zauważył go.

– To ty masz na imię Anders? Nie, chłopcze kochany, nie... nie idź spać. Żaden porządny chłopak nie kładzie się spać. My... obaj... razem położymy... Emmę! Chodź tu do mnie... podniosę cię... do sufitu!

Zataczając się podszedł do Andersa, ujął go pod pachy i podniósł do pułapu, tak wysoko, że niemal dotknął głową belki. Potem zgiął ręce w łokciach i przytrzymał Andersa na wysokości własnej twarzy.

– Boisz się, chłopcze? – zapytał roześmiany.

– Nie – szepnął Anders.

Wisiał w powietrzu i patrzył obcemu prosto w oczy.

A oczy te nie przypominały niczyich oczu. Dziwna iskra płonęła w nich bardzo głęboko, Anders nie widział podobnej w oczach żadnego człowieka, ani żadnego zwierzęcia. Ten człowiek to wariat zdolny do wszystkiego!

– Boisz się? – zapytał powtórnie mężczyzna.

– Nie – szepnął Anders.

Mężczyzna zachwiał się i puścił Andersa, który upadł, lecz natychmiast poderwał się i ukrył w kącie.

Mężczyzna leżał na stole. Emma płakała. Obcy wyprostował się i huknął pięścią w stół:

– Piwa! Piwa! Dawaj piwa! – Przy każdym słowie walił w stół. Emma wybiegła i powróciła z piwem. Pił rozlewając płyn po stole, następnie cisnął szklanką o ziemię i zwałił się na stół.

Zasnął. Chrapał i spał.

Emma patrzyła na niego przez chwilę, a potem osunęła się na podłogę – leżała na ziemi skurczona i płakała.

Wicher wył za oknem.

Nikt się o niczym nie dowiedział. Emma wczesnym rankiem przyszła do Andersa i przemawiając do niego pieszczotliwie, prosiła, żeby nic nie mówił. Anders dochował tajemnicy, ale nie ze względu na nią.

Powodem było coś, co zobaczył w oczach tego człowieka. O tym zaś nie mógł nikomu wspomnieć ani słowem. Miał bowiem wrażenie, że jeśli będzie milczał, owo Coś pozostanie głęboko ukryte na dnie tych oczu, natomiast gdyby cokolwiek powiedział, może coś zostanie wyzwolone...

W oczach mężczyzny zauważył Coś. Głęboko ukrytego w ciemnościach, jakieś szaleństwo, jakieś niebezpieczne światło błyskające z daleka, na krańcu mrocznej drogi – widział „bożenarodzenie”.

Pewnego dnia okazało się, że święta od dawna minęły. Anders stał przed domem wpatrzony w szary dzionek, zima miała się ku końcowi. Boże Narodzenie pozostało daleko w tyle, natomiast daleko w przyszłości czekała Wielkanoc. Za nim, podobnie jak przed nim, ciągnęło się pasmo dni szarych, słotnych i zimnych, śnieg i mróz, przygnębiająca pustka długiej zimy.

Nagle wspomniął święta Bożego Narodzenia. Czuł ich obecność tuż za plecami; ostatnie święta, poprzednie, szereg świąt błyskających u krańca roku niby ogniki. Przytulny półmrok i rozjarzone światła. Odgłos dzwonek i tętent kopyt na drodze, śmiechy i tańce, od których dom drżał w posadach.

Obejrzał się. Zobaczył drogę szarą, jak zwykle u schyłku zimy, pooraną głębokimi koleinami, nagie drzewa, ciemne wrota od spichrza, na których ptaki nie siadają długim szeregiem, lodowate, sine, zimowe niebo...

Boże Narodzenie, tak, Boże Narodzenie...

DZIEŃ był słotny. Anders siedział w izbie i patrzył na krople deszczu spływające po szybach.

Jak często siadywał w oknie w deszczowy dzień i patrzył na krople spływające bez ustanku? Sam nie wiedział.

Czas uciekał od niego.

Za oknem widać podwórze. O, jak dobrze zna każdy kamień, każde źdźbło słomy na podwórzu.

W kącie za nim stoi zegar. Stoi spokojnie, a czas przez niego przepływa. Od czasu do czasu charczy z lekka, jakby chciał coś powiedzieć. Ale wydaje tylko jeden dźwięk: „Ach!” I znowu: „Ach!”

Aasa usiadła przy drugim oknie.

– Co robisz, Aasa?

– Liczę krople.

– Nudzisz się?

– Tak.

– To dlaczego tu siedzisz?

– A bo wszystko inne jest jeszcze nudniejsze.

Matka weszła w towarzystwie jakiejś kobiety.

– Więc to jest Anders!

Woda kapie z jej parasola.

– Ile masz lat?

Niezliczona ilość ludzi ciągle o to pyta. Przychodzi mu na myśl deseniowa tapeta, której przyglądał się nieustannie w czasie choroby, ciągle wodził wzrokiem po tym samym wzorze i nie mógł od niego oderwać oczu, jakby obserwował cząstkę własnej choroby.

„Ile masz lat?” – pytają głosy kobiet i mężczyzn, ciągle, ciągle to samo...

Osiem lat.

Drogą kuśtyka stara baba. A więc znowu nadeszła wiosna. Od czasu do czasu zatrzymuje się, przysiada na skraju drogi. Coś mówi do siebie, spogląda w górę:

– Hej, hej Marius, widzę cię! Ale się smażyysz! Cha, cha...!

Rok w rok to samo.

Anders ze zdumieniem sięga myślą w przeszłość – gdzie są te czasy, kiedy nic jeszcze nie powtarzało się na tym świecie?

Drogą idzie wysoki, chudy mężczyzna, trzyma za rękę małego chłopczyka. Domownicy siedzą w kuchni przy stole i rozmawiają. Nagle zaczynają szeptać:

– To ten człowiek z Miliom. – Pięć pogrzebów w ciągu pięciu lat. – Gruźlica.

Cedzą słowa i patrzą za nim.

Pewnego dnia w kuchni zjawił się tłum ludzi. Znajomych i nieznajomych. Jest Nils z Kleiva, Martin Teppen z płomienną brodą, Anton, ten co przychodzi na wszystkie sianokosy. Nieznajomy nazywa się Lars.

Zaczęła się orka.

Stanęli przy kupie nawozu za oborą, ładują wozy, śmieją się i gawędzą. Wyjechali w pole, rozrzucają nawóz i nawołują się ze śmiechem. Martin Teppen bronuje, ma narowistego karego konia. Mocno trzyma lejce i krzyczy:

– Wio, wišta! Wio, będziesz ty ciągnął, podłe bydle!

Na posiłki przychodzą z donośnym tupotem. Szurają nogami, wymachują potężnymi pięściami, jedzą mięso i kartofle. Śmieją się i rozmawiają. Kiedy Martin Teppen wybucha śmiechem, widać czarną szczerbę w szczęce.

Rozmawiają o głupiej Kari. Zwariowała po śmierci męża. Wierzy, że poszedł do piekła.

Pewnego dnia siedziała wpatrzona w ogień na kominie.

„Niech no ja zobaczę, jak to tam jest u mojego Mariusa!” – powiedziała, włożyła rękę w ogień i trzymała ją tak dobrą chwilę.

„Chciałam tylko wiedzieć, jak to jest u mojego Mariusa!” – tłumaczyła.

Wówczas zrozumieli, że zwariowała.

Siedzą wokół stołu i śmieją się. Martin Teppen szczerzy czarną szczerbę między zębami. Anton sapie: fffff! Mężczyzna imieniem Lars rzy na cały głos: hi hi hi! wszystko jak dawniej. Tylko Lars jest nowy.

Opowiadają sobie o Mari i o Kari. Kari z Moen jest wariatką, a Mari z Holen także.

Kari płacze i lamentuje, Mari śmieje się i cieszy.

Kari dowiedziała się, że Mari zwariowała, a Mari powiedziano, że Kari zwariowała.

Wtedy Kari zaczęła płakać i lamentować. „Ojoj, ojoj! Ta biedaczka z Holen zwariowała, ojoj! ojoj!”

Mari zaś zaczęła chichotać i cieszyć się. „O mój Boże, jakie to śmieszne. Ta biedaczka

z Moen zwariowała!”

Siedzą dokoła stołu i śmieją się. Martin pokazuje czarną szczerbę między zębami. Anton sapie: fffff! Nils chichocze złośliwie: he he he! Lars zaśmiewa się na cały głos: ho ho ho!

W kuchni znowu zaległa cisza. Nie słyhać rozmów ani tupania i śmiechu. Tylko echo tych dźwięków jakby zawisło w pustym, cichym pomieszczeniu.

Dziki wiśnie zakwitły, w powietrzu unosi się gorzka woń migdałów, każdy dzień jest tym zapachem przesycony.

Kukułka kuka: Ku-ku! Ku-ku! Gorina mówi:

Ze wschodu – pociechę kuka

Z zachodu – na szczęście kuka

Z południa – urodzaj kuka

Z północy – śmierć kuka.

Anders nie może sobie przypomnieć, kiedy to słyszał po raz pierwszy.

Jeżeli ktoś stanie pod drzewem, na którym kukułka kuka, każde jego życzenie się spełni.

Anders dobrze wie, czego by sobie życzył: takiej harmonijki, jaką ma Hans Teppen. Ile dźwięków mieści się w niej – a czasem jakby coś w środku płakało!

Nigdy jednak nie udało mu się stanąć pod drzewem, na którym kukułka kukała, zawsze odzywała się z bardzo daleka.

Wyrobnicy z sąsiedniej wioski idą drogą z kobiałkami w rękę. Zbierali jagody, niosą je do kupca. – Dzięki Bogu za te jagody, co rosną w lesie – tak mówią.

Wysoki, chudy Nils z Kleiva siedzi w kuchni, brodę ma podobną do poduszeczki na igły, z kącików ust spływają mu dwie strużki śliny poźółkłej od tytoniu. Kapelusz położył na ziemi obok stołka. Wślizguje się do ojca do kantorka i pozostaje tam dłuższą chwilę. Ale po wyjściu stamtąd jest zadowolony, dziękuje, bez końca dziękuje. I mówi drżącym od płaczu głosem: – Wiedziałem dobrze, że coś dla mnie znajdziecie!

– Siadaj i pożyw się trochę, Nilsie – mówi ojciec, a potem zwracając się do Goriny dodaje:

– Podaj Gorino coś do jedzenia Nilsowi.

Niedługo sianokosy, Nils przyszedł prosić o pracę.



Cała kuchnia pełna kosiarzy. Przyszli ci sami, którzy byli zatrudnieni przy orce, tylko Larsa brakuje, na jego miejsce zjawił się Ole Hagaen. Jedną nogę ma sztywną i trochę przykurczoną, toteż chodząc utyka. Na twarzy jest ciemniejszy od innych, szpakowaty zarost ma taki długi, że można by nazwać go brodą. Jednakże prawdziwej brody nigdy nie będzie miał; wszyscy stale pytają, co on robi, że stale zachowuje zarost jednakowej długości? Odpowiada na to śmiechem: ho ho ho!

Śmieją się i rozmawiają. Opowiadają różne historie. O Kari i Mariusie. O Kari i o Mari. Siedzą wokół stołu i śmieją się. Martin Teppen pokazuje czarną szczerbę między zębami. Anton sapie: ffffff. Ole rzy: hi hi hi!

Wszystko jest tak jak dawniej.

Szeregiem wychodzą w pole. Jeśli ojciec jest w domu, kroczy na czele. Jeżeli go nie ma, Embret staje pierwszy w szeregu. A w chwilach odpoczynku, gdy schodzą w cień, najchętniej rozmawiają o nieobecnym ojcu.

Nils z Kleiva mówi:

– Dobrze jest bogatemu. Jeździ sobie po całej gminie bryczką, a biedak musi dla niego harować, mało mu flaki na wierzch nie wyleżą.

– Hm! Już swoje zaczyna! – mruczy Embret.

Po tych słowach Nils odkłada kosę, sunie drogą, skręca w stronę domu i znika w ustępie.

W porze sianokosów Nils często choruje na żołądek.

Nieraz ktoś z przejeżdżających drogą zatrzymuje się obok kosiarzy i rozpoczyna pogawędkę.

– Ho, ho! Co ja widzę, ilu tu wybornych kosiarzy do pomocy! – mówi z figlarnym uśmiechem w oczach, bo wszyscy kosiarze są już mocno podeszli w latach.

Rok w rok przychodzą ci sami kosiarze. Ojciec nigdy nie odmawia, jeśli ktoś prosi o pracę.

Nils nikomu nie każe czekać długo na odpowiedź:

– Oho, gospodarz umie się urządzać! Staremu mało się płaci, a siły do kosy zawsze starczy każdemu do ostatka.

Wyrobnicy z sąsiedniej wioski idą drogą z dużymi koszami i z kobiałkami. Niosą jagody do kupca. Przystają, ocierają pot.

– Bogu dzięki za te jagody, co rosną w lesie! – mówią.

Słońce schodzi coraz niżej. Wieczór blisko.

– Chodź, Anders! – woła Emma. – Chodź. Idziemy się kąpać do jeziora.

Chłopi wracają z pola, kosy niosą na ramieniu, złociste słońce zaszło już nisko. Długie błękitne cienie kładą się na ziemi.

Emma, Anders i dziewczynki idą nad jezioro.

Plaża jest w dole za łąkami. Na brzegu leży kilka drewnianych bali nasiąkniętych wodą, pachnie tu świeżością, wilgocią i wikliną. Po balach chyżo biegają duże, czarne chrząszcze.

Rozbierają się i wchodzą do wody: duża i biała Emma, Tora, Kari i Aasa drobne i jasne. Kiedy Emma pływa, jej długie złote włosy kładą się pasmami na wodzie.

Później Anders, ubierając się przy kłodach drzewa obok Emmy, wdycha zapach jej mokrych włosów. Gdzieś w pobliżu rośnie dzika koniczyna. Anders nie widzi jej, ale woń poznaje, choć teraz, gdy rosa opada, powietrze wydaje się przesycone aromatem jagód. Emma ma złote włosy i orzechowe oczy – to ładnie. Anders nie może się na nią napatrzeć.

Wracają do domu miękką, zieloną ścieżką. Anders przez całą drogę czuje świeżość własnego ciała. Biegiem oddala się od gromadki, nie chce, żeby dorośli mężczyźni widzieli, że kąpał się z dziewczynkami, bo to znaczy, że jest jeszcze zupełnie mały.

Wszyscy siedzą na podwórzu, zjedli wieczerzę, odpoczywają.

Nils z Kleiva zerka na mokre włosy Andersa:

– Ja chyba też pójdę którego wieczora kąpać się w jeziorze. Muszę się umyć na poczęstunek po sianokosach!

Ole Hagaen słyszał, że niebezpiecznie jest kąpać się w jeziorze. Z tego dostaje się różnych chorób.

Za plecami Olego wszyscy kpią, że od czasu chrztu jego ciało nigdy nie zetknęło się z wodą. A Embret twierdzi, że i to nie jest pewne, bo podobno został ochrzczony w domu czarną kawą.

Anders siedzi na przyzbie. Wieczór nadchodzi, biała chmurka odpoczywa nad grzbietem błękitnych wzgórz, daleko, bardzo daleko. Od spodu jest niebieska, z wierzchu natomiast biała.

Nic się nie dzieje. Anders siedzi i czuje się zadowolony. Ptak zawodzi trele. Niżej, pod spichrzem, Embret rozmawia z Martinem Teppenem o jakichś pilnych robotach. Na łące pasie się Brona ze żrebakiem.

Chmurka odpoczywa nad łańcuchem wzgórz, jest biała, błękitna, daleka. Lato! Lato trwa wiecznie.

Jesień. Wiatr falami przeczesuje dojrzałe, złociste kłosa. Zboże kłania się, kłania się... Wszyscy chłopcy od sianokosów znają zboże. Za każdym z nich postępuje kobieta i podbiera – Gorina, Emma, Maria Teppen i Gina Moen. Nadeszła złota jesień, już ostatnie dni sierpnia. Ptaki krążą. To stado kosów. Może niedługo będą ciągnęły klucze dzikich kaczek?

Martin Teppen przyszedł ze swoim narowistym karym koniem do jesiennej orki. Szarpie za lejce: – Wio, ruszaj? Wio, a będziesz ty ciągnął, uparte bydlę!

Siedzą wokół stołu, sięgają po kartofle, mięso i sos.

– Wiecie, ta Kari, ta od Mariusa...

Martin śmieje się, pokazuje czarną szczerbę między zębami.

Deszcz pada dniem i nocą. Szaroczarne wrony obsiadły drzewa. Mokra, zimno i nieprzyjemnie. Ociekający wodą ludzie wchodzą do kuchni, jedzą, siedzą pod ścianami i grzeją się, znowu wychodzą w deszcz i szary mrok.

Anders nie ma nic do roboty. Siedzi na stołeczku pod ścianą, to znów na progu izby, czasem przy oknie, i wygląda na podwórzu zalane deszczem. Zupełnie mokry koń ciągnie wóz drogą. W dali widać las, przypomina ciemną chmurę wróżącą słońce. Wszystko zamieniło się w szare chmury. Andersa ogarnia gniewne zniecierpliwienie. Zegar stoi w kącie, wzdycha i odmierza czas.

„Ach!”

Na twarzach dorosłych maluje się wyraz jakby cierpliwego oczekiwania. Przypominają stojący w rogu zegar, przez który płyną sekundy: „Ach!” – i znowu martwo, cierpliwie powtarza: „Ach!”

Wszystko kręci się w koło. Wiosna, lato, jesień, zima. Ludzie jednakowym głosem powtarzają te same słowa: – Ech, jeszcze nie tak źle! – Muszę pójść do koni. – Aha, prawda! – Biedna, całe szczęście, że zdążyła uciec! – Co dzisiaj na obiad, Gorino? Mięso i zupa ryżowa?

Ludzie idą drogą. Niosą kobiałki lub worki na plecach. Jesień – idą do lasu. Deszczowa jesień – tak! Deszczowa jesień!

To samo! To samo!

Anders wszystko to zna, jest naprawdę stary.

Jakaś kobieta przyszła w odwiedzinach.

– A więc to jest Anders. Ile masz lat?

...dawny wzór na tapecie, ból w piersiach – leż spokojnie...

Dziewięć lat.

## Na szczupaki

JESZCZE się nie obudził, jeszcze pławił się w powierzchniowych, świetlistych warstwach snu; przez zamknięte powieki wyczuwał dzień, a więc nie spał, chociaż jeszcze się nie ocknął i wiedział, że dzisiaj jest niedziela.

Ot, po prostu wiedział. I to w sposób tak naturalny, jak się wie, że słońce świeci lub deszcz pada. Właściwie to już od wczorajszego wieczora wiedział, że dziś wypada niedziela i dlatego spał znacznie lepiej niż każdej innej nocy.

Niedziela stanowi dzień zupełnie wyjątkowy.

Tyle różnych rzeczy... Dzwony biją w kościele, na śniadanie dają jajka, czysta koszula przyjemnie pachnie lnem i praniem, odświętne ubranie, nic do roboty, wszyscy mają dzień wolny, wszyscy chodzą powoli, godnie, spokojnie – i trochę bardziej uroczyście niż zazwyczaj. Słońce świeci jaśniej, nawet w chmurną niedzielę jest mniej szaro, krople deszczu silniej błyszczą, wiatr jest przyjaźniejszy, ptaki swawolniejsze i wszystkie zwierzęta weselsze niż zwykle. Nic dziwnego – przecież to niedziela.

Czas to długa, długa droga. Rok to szeroki, szeroki krąg. Droga zatacza kręgi, zatacza koła, za każdym razem trochę wyżej; kręgi właściwie nie są kręgami, tworzą spiralę; z każdym rokiem wchodzimy trochę wyżej i widzimy trochę dalej; co roku mijamy nowe miejsca, dobre i złe miejsca; każdego roku można spojrzeć prosto w dół i zobaczyć punkt, w którym się było w roku ubiegłym. W ten sposób idzie się razem z czasem w górę i w dół, ale zawsze wyżej, i patrzy się coraz dalej, coraz dalej. W końcu dochodzi się na szczyt, z którego widać wszystko, cały świat, wszystko co było w czasie przeszłym i zaprzeszłym. Wszystko, wszystko...

A wzdłuż tej drogi, która idzie, idzie, idzie, leżą niedziele, każda trochę wyżej od dni powszednich. Ze wzniesienia jednej niedzieli można zobaczyć następną, a także tę ostatnią. Niektóre niedziele leżą wyżej od innych i te widać z bardzo daleka.

Anders pławił się w ostatniej świetlistej warstwie snu i wiedział, że dzisiaj jest niedziela!

Wypływał na powierzchnię niby z dna jeziora. Płynął kolejno przez pokłady głębszego i jaśniejszego mroku, dążył od warstwy najwyższej, ciemnoświatlanej, pełnej chybotliwych roślin i żywych barw migoczących za zamkniętymi powiekami. Cienie zielonych ryb migotały wśród zielonych wodorostów – był szczupakiem, wypływającym na powierzchnię pośród coraz wyższych i coraz silniej rozkołysanych łodyg. Był wodorostem, rozkołysanym i pnącym się ku jasności i blaskowi dnia. Już dosięgał powierzchni, dzieliła go od niej tylko błonka cieniutka jak powieki... I cały czas z głębokości snu płynęła narastająca radosna świadomość: dzisiaj jest niedziela! Nagle poczuł smugę blasku na powiekach, otworzył oczy, już nie spał.

Była to promienna, świetlana niedziela, choć słońce nie świeciło. Co za przedziwna biała, intensywna jasność, jakby powietrze przesycone było srebrem!

Poleżał jeszcze chwilę. Jak miło leniuchować w niedzielę, całe ciało ogarnia przyjemne uczucie – a jak dobrze z całym spokojem doceniać fakt, że dzisiaj jest niedziela. W powszedni dzień też miło się wylegiwać. Ale powszedni dzień, to tylko zwykły dzień...

Przyjemnie jest wstać w tym rześkim powietrzu, oblać się wodą, poskakać trochę i wiedzieć, że jest niedziela – długa, piękna, letnia niedziela – letnia niedziela w czerwcu.

Anders roześmiał się, po czym wstał.

Pogoda była mglista, bezwietrzna. Słońca nie widać, lecz skryło się niedaleko. Jest bowiem w srebrzystym zabarwieniu powietrza, trawy, liści. Dziewiąta godzina. W srebrzystobiałym powietrzu rozbrzmiewa metaliczny głos dzwonów. Powoli, spokojnie powtarzają: nie-dzie-la, nie-dzie-la. Przestały bić, lecz dźwięk ich zawisł w powietrzu niby srebrny szlak, jaki na spokojnych wodach jeziora pozostawia łódź.

W kuchni podłoga wyszorowana do białości, tylko brunatne sęki sterczą jak kości w podniszczonych deskach. Wczoraj oczyszczono komin i odświeżono go na lato, jest teraz kredowo biały i smolisto czarny, w rogu zieleni się gałąź jodłowa. Pachnie tu kawą, masłem, świeżym chlebem. Na środku czarnej płyty kuchennej błyszczy świeżo wyczyszczony dzban z kawą. Gorina także się wypucowała, aż błyszczy, choć jej twarz poorana zmarszczkami jest prawie tej samej brunatnej barwy co dzbanek do kawy. Po drugiej stronie komina leży kotka karmiąca małe. Wąskimi szparkami zielonych oczu wszystko widzi.

Jajko świeżutkie, chleb dopiero co upieczony. Masło zrobione wczoraj wygląda jak okryte rosą. Anders najadł się do syta, ale sięgnął po jeszcze jedną kromkę.

O, Hans już puka do okna! Obaj z Andersem mieli wypędzić krowy do lasu. W lesie trzeba zawsze pilnować krów. Są bowiem strasznie głupie – jeśli wypędzić je za ogrodzenie i wpuścić do lasu, cały czas chodzą pod żywoplotem i nie napasą się, a jeśli wygnać je trochę

za daleko, albo jeśli same zawędrują za daleko, przypomina im się hala, po której chodziły zeszłego roku i nie wracają wieczorem, a wtedy Anna musi iść po nie w czarną noc. Biedaczka! Dzięki Bogu, że Anders nie jest chłopcem na posyłki. Ale też głupie te krowy! O wiele, wiele głupsze od koni. Embret twierdzi, że są głupsze od kobiet. Embret często powtarza: – Jest tak źle, jak tylko być może, a jednak trzeba Bogu dziękować, że nie jest jeszcze gorzej. Choćby za to, że człowiek nie urodził się kobietą. – Embret utrzymuje, że kobiety są gorsze od siedmiu plag, o których mowa w siedmiu księgach Sybilli. Embret nigdy nie był żonaty, mógł je obserwować z dostatecznie dużej odległości. Kobiety są zarodkiem zła i powodem cierpienia; w nich mieszka sam diabeł i jego prapraprababka, nie mają ani rozumu, ani wstydu, stale przewracają oczami i myślą tylko o jednym – o jednym, a o co chodzi, łatwo sobie wyobrazić.

Embret twierdzi, że krowy są głupsze od kobiet.

Anders wybiegł z domu. Wypędzą z Hansem krowy do lasu, a potem pobiegną nad jezioro strzelać szczupaki. Hans pożyczył od swojego ojca fuzję i dwa naboje. Hans pochodził z Teppen, miał czternaście lat, na przyszły rok będzie się przygotowywał do konfirmacji. Jego brat Tösten wyjechał do Kanady i zarabiał mnóstwo pieniędzy. On to właśnie dał ojcu piękną, kosztowną fuzję, żeby strzelał ptaki i skończył z nielegalnym polowaniem na łosie, w przeciwnym razie mógł znowu dostać się do kozy. Tymczasem Martin Teppen strzelał teraz zarówno duże ptaki, jak i zakazane łosie; dużo czasu nie upłynie, a znowu dostanie się do więzienia. To wszystko Embret opowiadał pod nieobecność Hansa.

Teraz fuzja czekała na nich w czeladnej izbie, dwa naboje leżały w szafie; wypędzą krowy do lasu i pobiegną strzelać do szczupaków. Na początku lata ogromne szczupaki nieraz stały tuż przy brzegu, gdzie woda jest cieplejsza i gdzie ciągną ławice drobnych ryb.

Trawa na podwórzu srebrzyła się od rosy. Mleczna mgła spowijała cały świat. Drzewa rosnące opodal wydawały się zielononiebieskie, te które rosły znacznie dalej – błękitne, a jeszcze, jeszcze dalej wszystko było białe; srebrzystobiałe i lśniące.

Hans nasypał soli i mąki do woreczka, zarzucił rzemyk na ramię i wypuścił krowy. Anders stał koło bariery z witką w ręku i pilnował. Każda krowa dostała garść soli z mąką. Teraz posłusznie miną drogę, wejdą na ścieżkę dla bydła, wyjdą przez otwór w żywopłocie i zagłębią się w las. Brandros i Raina oglądały się trochę za młodą koniczyną, ale leciutkie uderzenie witką po zadach przypomina im o soli z mąką w woreczku Hansa.

W lesie mgła była gęściejsza, stała między sosnami jak kłęby waty, każde drzewo wydawało się niezwykle samotne, a trochę dalej i wyżej wszystko zlewało się w jednolitą ścianę. Rzadko spotykana, lecz piękna pogoda. Skalista droga wiodąca na hale była wilgotna i

gładka, krowy potykały się i ślizgały, spoglądały do tyłu dużymi, granatowymi, bezmyślnymi oczami, które wyglądały jakby w rzeczywistości myślały. Potem szły spokojnie wąską ścieżką jedna za drugą. Anders widział tylko ich iksowate nogi i kościste grzbiety. Las zacieśniał się, weszli w jar. Na czele szedł Hans niosący torbę z solą i mąką, za nim w równych odstępach krowy, a na końcu Anders z witką. Szli w milczeniu. Dokoła panowała absolutna cisza. Jodły nad drogą zwiesiły gałęzie przesiąknięte wodą. Tu zawsze panowała głęboka cisza...

Duży ptak poderwał się z krzaków jałowca i poszybował w wolną przestrzeń. Nagle z drzew spadły rześiste krople. Hans i Anders zaczęli się otrząsać. Krowy natomiast szły dalej, jakby nigdy nic. Krowy zawsze idą obojętnie, chyba że pokaże się pies.

Hans zeszedł na bok, przepuścił krowy, a potem ruszył naprzód obok Andersa. Krowy idąc wymachiwały ogonami, odpędzały muchy. Muchy odlatywały, ale znowu wracały i krowy dalej machały ogonami.

Dziwne!

Hans często dziwił się wielu rzeczom.

Na przykład uważał, że to dziwne być krową – bo krowa jakby miała ręce przyłączone do zadu. – o, choćby Kolla, odgania muchę końcem ogona zupełnie jak ręką. A zatem koniec ogona służy jej jako ręka. Czy Anders zastanowił się kiedykolwiek, jakby to było, gdyby człowiek miał jedną rękę uczepioną z tyłu?

Andersowi nigdy nic podobnego nie przychodziło do głowy. W ogóle nigdy nie wyobrażał sobie, że jest krową. Owszem, czasem wyobrażał sobie, że jest kotem, kogutem czy jastrzębiem. Ale krową – nigdy! Nawet nie dopuszczał myśli, że można wyobrazić sobie siebie jako krowę!

Hans stwierdził, że on także nigdy nie myślał o sobie jako o krowie. W ogóle czegoś podobnego nie można sobie wyobrazić.

Zagnali krowy dosyć daleko. Hans dogonił przewodniczkę z dzwonkiem i dał jej garść soli z mąką. Krowy mijaly go kolejno i każdej wydzielił jednakową garść przysmaku. Potem Hans z Andersem zawrócili z powrotem. Sól z mąką była smaczna, toteż krowy przystały i zbite w gromadę patrzyły za nimi. Muuu! – nawoływały.

Hans zatrzymał się i patrzył na krowy w zamyśleniu. „Dziwne...”

– Cóż też taka krowa może myśleć, kiedy stoi i patrzy? Nigdy nie zastanawiałaś się nad tym?

Anders nigdy nie zastanawiał się nad tym, ale krowa pewno myśli o soli.

Chyba. Tak. To możliwe.

Biegli w dół przeskakując z kamienia na kamień, z jednej strony ścieżki na drugą. Tego dnia woda sączyła się między głazami, bo nocą padał deszcz. Doszli na skraj urwiska, do miejsca skąd było widać jezioro. Nagle tu na wzniesieniu błysnęło słońce, mgła zniknęła, jakby odeszła w góry, albo jakby wchłonęły ją paprocie i igliwie. Natomiast wioska położona w dole wyglądała jak spowinięta w cienką, cieniutką warstwę wody. Wyłaniała się z niej tylko wieża kościelna oraz zabudowania dworu w Ramböl położonego na stoku po przeciwnej stronie jeziora. Inne dwory zaledwie można było rozpoznać po cienkich smugach dymu, który unosił się prostopadle z kominów. Koń zarżał w dole, kogut zapiał. Poszli dalej.

Obaj myśleli o dubeltówce, ale żaden z nich się nie odzywał. Hans pędził w dół po skałach, aż iskry sypały się spod jego podkutych obcasów, Anders biegł za nim. Raz, dwa, trzy – i już stali przy przejściu w żywopłocie. Przez łąki szli wolno. Tu już mógł ich ktoś zobaczyć.

W izbie czeladnej pusto. Rozchodziła się w niej, jak zawsze, ostra woń tytoniu, skóry, potu, kurzu, słomy i pasty do butów. W kącie stała dubeltówka, piękna, długa z dwoma ciemnymi, niebieskimi lufami. Hans zajrzał do szafy, wyjął naboje, usiadł i nabił fuzję.

Potem wyszli. Hans prowadził. Niósł dubeltówkę tak, jak należy nosić nabitą broń – kolbę trzymał pod pachą, a lufę skierował ku ziemi i do przodu.

Skrócili sobie drogę przez południowe pole; nie wolno było chodzić tamtędy, ale nikt ich nie widział. Brodzili w soczystej trawie. Przed nimi błyszczała rosa, za nimi pozostawała ciemna smuga. Minęli żywopłot i przekradali się dalej między krzakami przez łąkę schodzącą do jeziora. Z tego miejsca jeszcze go nie było widać, bo przysłoniły je opary. Wysoko w górze słońce prześwitywało przez mgłę.

Między pagórkami, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć, Hans pozwolił Andersowi nieść dubeltówkę, pod warunkiem, że będzie ją trzymał jak należy – kolbę trzeba wsunąć pod pachę, a lufę skierować ku ziemi i do przodu. W tej pozycji nie może się zdarzyć żaden wypadek. Ojciec Hansa zawsze tak trzyma karabinek lub fuzję, to samo robił Tösten, gdy przyjechał do domu z Kanady. Dubeltówkę kupił w Kanadzie i tam się nią posługiwał. Najlepsza dubeltówka w całej Kanadzie. W Kanadzie są przeróżne gatunki zwierząt, których tutaj nie ma – żyje tam łos o wiele większy od naszych łosi, a także ryś dużo większy od naszych rysi, niedźwiedź dużo większy i niebezpieczniejszy od naszych niedźwiedzi, cały szary, bardzo trudno go zabić, nazywa się gryźli. Tösten polował na wszystkie te zwierzęta, a szczególnie... szczególnie na szarego niedźwiedzia, który ma takie twarde życie, że jeżeli nie dostanie kulą w sam środek serca, to nawet jej nie poczuje i pójdzie sobie dalej. Z tej dubeltówki Tösten nieraz strzelał do szarego niedźwiedzia...



Anders był zdania, że Tösten nie mógł chodzić na niedźwiedzie z dubeltówką. Hans obstawał przy swoim. Jeśli chodzi o tę... niesie ogromnie daleko i pewnie, tak celnie, że chyba jedna śrucina zawsze trafi niedźwiedzia w sam środek serca...

Dubeltówka była ciężka, długa, niewygodna do niesienia. Ścieżka zaś wąska, wilgotna, kamienie wyślizgane, po obu stronach rosły wysokie, mokre rozmaryny, za każdym krokiem spadały z nich ciężkie krople, należało uważać, by nie zmoczyły dubeltówki. Na dole, w miejscu gdzie kończyły się zarośla, Hans odebrał Andersowi broń. Jezioro już blisko, już je widać.

Potok niby srebrzysta wstęga płynął w stronę jeziora. Wiosną, gdy woda przybierała, a czasem i jesienią, cały brzeg znajdował się pod wodą. Podczas prawdziwej powodzi długi cypel na przeciwnym brzegu potoku zamieniał się w wyspę – woda całkowicie zalewała wąski przesmyk. Kiedy Anders dorośnie i będzie bogaty, kupi tę wyspę – bo zrobi z niej wyspę, wykopie kanał w którym zawsze będzie woda, prawdziwą warowną fosę jak w „Engelbrektsson”, na wyspie wybuduje dom, duży dom, a może tylko murowaną wieżę i przystań dla łodzi... na razie jednak trzeba przerwać obmyślanie reszty, bo zaraz dojdą do potoku.

Przedzierali się przez wysokie, sztywne turzyce i sitowie. Szszsz – szeleściło sitowie przy każdym kroku.

Stanęli nad potokiem. Tu w dole było cicho. Główne koryto leżało nieco wyżej, w dawnych czasach zbudowano tam młyn i wodną zaporę. Ale to było dawno, bardzo dawno temu, przed wielu, wielu laty.

Poruszali się cicho jak koty, pochyleni ostrożnie stawiali każdy krok. Przemykali wzdłuż strumienia. Mech uginał się pod stopami. Zimna woda chlupała w butach.

Sitowie porastało częściowo potok w tym miejscu nieco szerszy. Tu sieje i okonie przyływały na tarło, tu drobne rybki szukały ikry służącej im za pożywienie i tu także pojawiał się zielony żarłoczny szczupak, który połykał wszystkie ryby: i te drobne, i te co składają ikrę. Nasycony usypiał i grzał się na płytkiej wodzie, często stał w jednym miejscu wiele godzin, jakby w zamyśleniu – z zieloną pręgą wzdłuż grzbietu, z nieruchomym wzrokiem, z wydłużonym żarłocznym pyskiem o brzydkiej okrutnej dolnej szczęce. Tutaj szczupaki najchętniej przyływały. – „O, widzisz!”

Obaj aż podskoczyli, gdy mignął im szary cień pośród sitowia. Musiał ich spostrzec, bo zanim zdążyli wycelować i strzelić, już dał nura i zniknął.

– Niech go wszyscy diabli porwą! – zaklął Hans zupełnie tak samo jak jego ojciec i spojrzał na Andersa gniewnym wzrokiem. Dubeltówka drżała mu w rękach.

– Widziałeś jaki był wielki? Oo najmniej taki! – Hans odmierzał długość na lufie. – Tak, co najmniej taki długi! – odmierzał nieco większy kawałek.

Andersowi nie wydawał się aż taki długi. Właściwie w ogóle nie bardzo dobrze go widział, bo szedł z tyłu, tylko cień mu mignął. Ale im dłużej rozmyślał, tym szczupak wydawał mu się większy.

Krok za krokiem posuwali się naprzód. Mech pod nogami kłaskał i ugiął się. Sitowie lekko szumiało. Doszli do ujścia potoku i skręcali wzdłuż brzegu jeziora. Trzciny tworzyły zwartą, nieprzebytą ścianę. Między nimi słała się jeszcze jakby resztką mgieł. Dalej na jeziorze wydawała się rzadsza. Tylko nieliczne kłębuszki srebrzystobiałego oparu snuły się na cichych wodach. Bliżej przeciwnego brzegu tworzyła jeszcze równy, biały pas. Na wodzie powstawały drobniutkie fale; to łódź, której już nie było ani widać, ani słyhać, pozostawiła na powierzchni kilka długich, zwolna falujących linii. Poza tym woda była całkowicie gładka, w powietrzu zupełna cisza. Tafla wodna przypominała szary jedwab.

– „Ciiiicho!”

Hans nagle podniósł broń, w mgnieniu oka wycelował – między sitowiem szarzał cień, – padł strzał, zabrzmiał donośnie i nieprzyjemnie, szczeknął jak żelazne złe psisko, które ujadaniem zamąciło przemożną srebrzystą ciszę! Szzzzzz! – zaszeleściło w sitowiu, kilka trzciny się poruszyło, na mgnienie oka woda zawrzała, jakby ławica drobnych rybek plusnęła pod samą powierzchnią – szary cień mignął niby strzała i zniknął. Hans nie mierząc strzelił ponownie, znowu rozległ się przykry huk, jakby rozsadzający świat na dwoje. Szzzz! – powtórnie wyszeptwały trzciny, potem wzgórze odbiły echo, najpierw raz, potem drugi, potem dało się słyszeć zwielokrotnione, jakby w całym lesie pełno było strzelb, które na dany sygnał spieszyły z pomocą. Potem znowu zapadła cisza, szczupak nie wypłynął, obłoczek dymu jeszcze wisiał w powietrzu – i to wszystko. Obie lufy dymiły, dokoła nich snuł się niemiły zapach prochu – słodkawa, dławiąca woń spalenizny, jak przy pocieraniu krzemieni, ale z dodatkiem czegoś nieczystego, jakby podziemnych gazów.

– Widziałeś, co?

Hans był podniecony, mówił szeptem.

Tak. Anders widział go. Długi, ciężki cień, tym razem nie mogło być wątpliwości, tym razem widzieli ogromnego szczupaka. Ale niestety – zniknął.

Rozglądali się po jeziorze, jakby oczekiwali, że nagle znowu wypłynie. Nie mieli więcej naboii...

Nie wyskoczył na nich. Powierzchnia jeziora pozostała zupełnie gładka. Nawet drobniutkie fale gdzieś zniknęły. Łódka na pewno dawno wylądowała. Strzępki mgły snujące

się po powierzchni rysowały się wyraźniej, oderwane od lekkiej i białej ławicy oparów, unoszących się teraz wyżej, jakby pędził je lekki powiew.

Nie ma na co czekać. Odwrócili się plecami do jeziora i zauważyli, że woda sięga im powyżej butów.

Brodzili po twardym dnie. Prawdę mówiąc – przyjemna zabawa. Nie upolowali szczupaka, chociaż prawdę tak jakby zastrzelili ogromnego szczupaka!

Spostrzegli odświętnie ubranego mężczyznę, który schodził ku nim z jednej z chat położonych wyżej obok drogi; szedł statecznie, spokojnie – jak przystoi w niedzielę. Po chwili ukazało się jeszcze dwóch, idących równie statecznie, spokojnie, z dwóch innych zagród. Hans i Anders znali ich od dawna: to Amund Inngjerdingen, Erik Braaten i stary Hans Grina. Z Haugen i z Nordby, czyli z dwóch najbliższych gospodarstw nikt nie wyszedł, chociaż musieli słyszeć strzały; jako ludzie nie mniej ciekawi oczywiście siedzieli z nosami przyklejonymi do szyby; ale to byli właściciele dworów i za to musieli cierpieć, nie mogli ujawnić, jak ogromnie byli ciekawi. Żaden z mieszkańców Haugen i Nordby nie pokaże się wcześniej jak za dziesięć ido piętnastu minut.

Pierwszy szedł Amund z fajką w zębach, z nożem i zwojem tytoniu w garści. Nie zatrzymując się ani na chwilę odkrajał trochę tytoniu, nabił fajkę, zapalił, ciągnął i pykał, znowu zapalił – nareszcie zakurzył! Ubrany był w czarne samodziałowe spodnie, w czarną dwurzędową kamizelkę i białą koszulę; świeżo ogolony miał duże zadrapanie na prawym policzku. Zanim zeszedł w dół od dawna wszystko odgadł.

Hm, to ci dwaj chłopcy wybrali się ze strzelbą!

Oczywiście! na szczupaka!

Niemożliwe, aż taki duży!

Zjawili się dwaj pozostali, odświętnie ubrani, w takich samych kamizelkach jak Amund. Oni też odgadli wszystko, co było do odgadnięcia, jak Amund. Jednakże chwila pogawędki w niedzielne przedpołudnie nikomu nie wadzi. Chwilę oglądali strzelbę.

– Ładna dubeltówka – orzekli.

– Rzeczywiście, dobra dubeltówka.

Hans i Anders od początku wiedzieli, że to jest dobra strzelba, teraz jednak uzyskali przeświadczenie, że to jest znakomita broń.

Trochę wyżej leżała kłoda drzewa, przed wielu laty wyciągnięta na ląd. Dotychczas jej nie spożytkowano a niedługo nie będzie co zbierać, bo zagrzebana w piasku i rozłupana na pół już zaczyna gnić. Rozsiedli się na niej.

Tak, woda mami. Do ryby w wodzie trzeba mierzyć dwa razy głębiej niż się wydaje,

że jest. W wodzie wszystko wygląda krótsze – patyk zanurzony wygląda złamany, a dopiero po wyjęciu go widać, że jest cały. Tak, tak.

Maleńki rudy kotek z Inngjerdingen zupełnie podobny do tygrysa czał się pośród krzaków, węszył w poszukiwaniu myszy i ptaków. Na widok ludzi zamiauczał, może go podrapia. Podszedł bliżej, ocierał się o nogi, trącał głową łydki, jakby bódł. Erik Braaten wyciągnął potężną rękę – łapę wielką jak łopata z kciukiem niczym róg wołu, z rowkowanymi w głębokie bruzdy paznokciami wielkości łyżeczki, za którymi brud będzie tkwił do samej śmierci; na dłoni miał bliznę, kilka głębokich szram i jeden palec ucięty w pierwszym stawie.

Palec ten odgryzł mu Sjönnne Skuggen podczas bójkki w święta Bożego Narodzenia, a choć sam stracił oko, opowiadał wszystkim, że palec Erika miał obrzydliwy smak i śmierdzał jak mięso starego capa. Pobili się o Mari Braaten, i to było najdziwniejsze w całej historii. Teraz Erik wyciągnął tę rękę przypominającą łapę trolla i głaskał kota po łebku. Kot mruczał i ocierał się o niego. Gdy drapał go po grzbiecie, wydawało się, jakby uschnięta gałąź szturchała maleńką, śliczną wiewiórkę.

Trzej mężczyźni rozmawiali między sobą. Hans i Anders przysłuchiwali się. Jako mali chłopcy mogli tylko cicho siedzieć i słuchać. Hans ścisnął w rękach dubeltówkę. Lufa jeszcze lekko dymiała, bił od niej ciepły, dławiący zapach – cień nocy i odór zgnilizny zdawały się mącić jasność dnia.

Słońce wyjrzało. W jednej chwili ukazało się niebo czyste i błękitne. Zerwał się lekki powiew. Resztki mgły zniknęły, rozpierzchły się niby białe, zaczarowane wojsko. Z białych kłębuszków frunęły w powietrze srebrne nici i rozwiały się, jakby je rozmotła i porwała w zaświaty niewidzialna ręka. Gdzieś tam powierzchnia wody falowała – pewno wzburzyły ją wystraszone duchy, które unikają dziennego światła.

Gdzie podział się lęk przed grobowym tchnieniem nocy? Amund Inngjerdingen wysoki, barczysty, siedział z rękami spokojnie zwisającymi między kolanami – a przecież to on pewnego jesienno wieczoru śmiertelnie przerażony umknął z hali, padł na progu domu i ani razu tej jesieni nie wrócił na pastwiska. Co widział? Nic. Absolutnie nic. Siedzi teraz zupełnie spokojnie. Słońce świeci, jest niedziela. I w tejże sekundzie dwa szczupaki żywe, nietknięte i radosne krążą gdzieś po wodach jeziora. A małe rybki... nie warto myśleć o małych rybkach.

Po raz drugi odezwały się dzwony kościelne. Pół do jedenastej, nabożeństwo się zaczyna. Jezioro wyglądało niby lustro, dzień był pełen blasku i woni. Górską ścieżką ludzie szli do kościoła gromadkami, po dwoje, troje, stare kobiety czarno ubrane, w białych

chustkach na głowach. Gromadziły się przed drzwiami kościoła jak czarne duchy, a potem znikwały w środku, jakby niewidoczna ręka wciągała je przez mroczne wrota. Środkiem jeziora płynęła samotna łódź, dulki skrzypiały, za nią ciągnął się dwoisty śnieżny szlak. Płynęła wolno, było dość czasu. Dobili do brzegu, pienista bruzda zamieniła się w ogromny wachlarz rozpostarty od brzegu do brzegu.

Trzej chłopcy rozmawiali.

– Do kościoła? Nie – powiedział Amund. – Nie. Do kąpieli i do kościoła chodzę dwa razy do roku. Kąpię się na Boże Narodzenie i przed ucztą po sianokosach, a do kościoła idę w Boże Narodzenie i na Wielkanoc. To wystarczy dla człowieka pracy.

Erik powoli wytrząsał fajkę. Z fajek dwóch pozostałych mężczyzn płynęła cienka, błękitna smuga dymu, silny kwaskowaty zapach tytoniu łączył się z wonią trawy, paproci, żywicy, butwiejących gałęzi i drewna, a także suchego igliwia, mrowiska, piasku, słodkiej wody i rosnącego na brzegu tysiącznika. Rudy kot śledził wzrokiem ptaka. Wrona ciężko szybowała nad jeziorem: Kra, kra! W dali plusnęła ryba. Fala ciągnąca się za łodzią dobiła do brzegu i coś szeptała pośród trzciny.

– Tak, tak, duże szczupaki – zaczął powoli opowiadać Amund – przypominam sobie...

Dzwony w kościele umilkły. Cisza dokoła, słychać tylko zadowolony głos Amunda.

Z góry szybkim krokiem schodzą dwaj odświętnie ubrani mężczyźni – jeden z Haugen, drugi z Nordby.

## Sierpniowa niedziela

ANDERS leży w ogrodzie na środku trawnika, wyciągnięty na brzuchu studiuje geografie.. Niedziela, ostatnia sierpniowa niedziela. Nazajutrz Anders pójdzie do szkoły – pierwszy dzień lekcji po wakacjach.

Słońce przypieka w plecy, stara jabłoń rzucająca tu cień od dawna została wycięta. Pozostał tylko gładki zielony trawnik otoczony rabatkami kwiatów. Nie wolno na niego wchodzić. Mimo to Anders położył się na samym środku i przeglądał geografie.

Czytał o Włoszech. Nauka łatwo mu dzisiaj przychodziła, zupełnie jakby poszczególne zdania wskakiwały przez oczy i lokowały się w głowie. Zabawne! Andersa cieszyło wrażenie, że to jest zabawne.

Tyle rzeczy go cieszyło. Obiad był doskonały, jeszcze czuł w ustach smak okonia. Rodzice wyjechali. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo cieszył się z tego – tak bardzo, aż nie mógł spokojnie uleżeć, zaczął więc machać nogami. Kochał rodziców i lubił, żeby byli w domu. Ale także bardzo lubił, żeby wyjeżdżali. Świat zdawał się wówczas większy, jakoś bardziej do niego należał, na więcej rzeczy zwracał uwagę i każda godzina była pełniejsza – ot, po prostu wszystkiego.

Na pewno cieszyło go wiele rzeczy jednocześnie, ale nie wszystkie mógł zapamiętać. Po prostu czuł radość.

Teraz można na chwilę odłożyć książkę, przewrócić się na plecy i popatrzeć w niebo.

Bardzo wysoko płynie chmura. Biała i daleka. Przypomina rycerza na koniu. Czarownicę na miotle. Teraz maszerujące wojsko. A teraz młodą kobietę na wysokiej górze – to księżniczka ze szklanej góry. Przypomina także łąd pełen zatok, półwyspów, niebotycznych gór – zaczarowany kraj.

Cisza dokoła. Cisza tak głęboka, że słycać najmniejszy szelest, słycać buczenie i mruczenie bąków, miłe brzęczenie maleńkich muszek, kiedy przelatują koło ucha, szept letniego wietrzyka, który budzi się, szeleści wśród trawy, dmucha na Andersa i znowu układa się na spoczynek. A każdy powiew przynosi zapach rozlicznych kwiatów, zapach kurzu, ciepła, a od czasu do czasu tłumiony dźwięk spokojnych głosów w oddali.

Od strony obory dolatuje z przerwami, ale niezbyt długimi, pianie koguta. Zupełnie jakby wołał: – Wszystko w porządku! – A po chwili: – Słońce świeci! – Po każdym kukuryku coś mu w gardle przeskakuje, jakby zamykał mechanizm. Woła: – Słońce świeci! – i klik! Potem jakaś kura odpowiada: – Ko ko ko! O, o, o dobrze jest, dobrze jest! – A potem słycać: Fr fr frrr!

Istnieją dwa rodzaje fr fr frrr. Jeden, kiedy kura kąpie się w piasku na słońcu, a potem wstaje i otrząsa pióra, i drugi rodzaj, gdy szara chmura wróbli zrywa się z karmnika dla kur.

Anders leży wprawdzie odwrócony plecami, ale dokładnie wie, co się tam dzieje, te wszystkie odgłosy są mu doskonale znane.

W ostatnim powiewie wiatru Anders wyczuł zapach dojrzałych czarnych porzeczek, trzeba skończyć z Italią i podejść sobie trochę. Ale nie kwapił się zanadto, bo porzeczkę mógł jadać także, gdy rodzice byli w domu. Po zjedzeniu niewielkiej ilości zęby cierpną, a jeśli zjeść trochę więcej i jeszcze trochę więcej, co musi nastąpić skoro się już raz zacznie, to brzuch boli. Zaraz będzie koniec z tymi Włochami, Anders pójdzie na porzeczkę, ale zje tylko troszkę...

Zdania przeskakiwały z książki do głowy i tam pozostawały. Włochy to kraj, który wygląda jak but, są tam miasta: Rzym, Genua i Wenecja, pełno słońca, wina, brzęczących trzmieli, kur, ciszy, niedzieli, lata.

Już prawie skończył z Włochami, już w ustach czuł smak porzeczek, gdy zauważył, że dziwna cisza zapanowała pod oborą. Absolutna cisza, jakby pojawił się lodowaty cień i wścibsko zajrzał w każdy kąt. Spojrzał w górę – jest, szybuje wysoko, wysoko, powoli i bezszelestnie poruszając skrzydłami. Teraz jest wprost nad oborą, zawrócił, zatoczył koło, krąży – zapewne nic nie zobaczył; wszelkie skrzydlate stworzenia ukryły się – to w kurniku, to pod spichlerzem, w stodole, w sianie.

Jeszcze dwa razy jastrząb zatoczył krąg nad oborą. Jego lodowaty cień przyćmił cały blask dnia.

Zrezygnował. Kilka razy mocniej załopotał skrzydłami i odleciał. Wysoko w powietrzu zabrzmiał jego głos niby wzdardliwe ostrzeżenie dla drobnych zwierzątek ukrytych w krzakach i pośród traw; wydał jeden jedyny jakby gwizd przypominający świst ostrego lodowatego wichru. Jeden jedyny groźny i gniewny ton: HUU!

Jeszcze raz: HUU!

Zniknął.

Po chwili znowu odezwały się z ukrycia miłe znajome dźwięki. Kogut oznajmiał: – Wszystko w porządku – klik! Odpowiedziały kury: – Ko ko ko! A potem – fr fr frrr! – stadko wróbla przysiadło nad paszą dla kur.

Co to? Nowy przeciągły, ostry gwizd, Anders zerwał się i zobaczył po drugiej stronie płotu roześmianą piegowatą twarz Olego.

Słońce odzyskało dawny blask. Ole był najweselszą istotą pod słońcem. Był zawsze wesoły, a raczej niemal zawsze; bo nawet jeśli się martwił, to martwił się okropnie – za dziesięciu, ale krótko; zupełnie jakby wrywał się smutkowi i z dziesięciokrotnym pośpiechem usiłował powrócić do świata radości.

Ole miał gęstą rudą czuprynę tak zmierzwioną, że żaden grzebień nie mógł jej ujarzmić, każdy włos na głowie sterczał w inną stronę. Kilku chłopców przezywało go „jeż”, ale przewisko to do niego nie przyłgnęło, bo do Olego nie pasowało. Ole był wesoły i miły. Jeżeli się śmiał, to jego niebieskie szeroko rozstawione oczy zamieniały się w dwie jasnoniebieskie wąskie szparki, usta rozciągały się według określenia chłopców „na całą miłą”, szerokie białe zęby lśniły, a na policzkach zaznaczały się dwa głębokie dołki. Ole miał także nos, ale o takim nosie trudno coś powiedzieć – malutki i trochę zadarty. Poza tym Ole był piegowaty. Żaden człowiek na świecie nie miał tylu piegów co on; nie schodziły ani zimą,

ani latem. Jak rok długi był wesoły i miły. Teraz stał po drugiej stronie płotu i śmiał się.

– Możemy pożyczyć łódkę od ojca! – szepnął zadyszany – Popłyniemy do Gundera, Erika i Pera! A potem do Landneset na dzikie wiśnie. Owoców co niemiara, a duże prawie jak czereśnie! Daj garść porzeczek!

Pobiegli przez pastwisko do miejsca, gdzie Ole zostawił łódź. Dulki miał w ręku, natomiast wiosła dobrze ukrył w krzakach jałowca. Poziom wody w jeziorze był niski, łódź osiadła daleko na łądzie, musieli zabrać się do niej wspólnymi siłami. Popychali ją nawołując: – O-ho! – Razem, równo – O-ho! – Jeszcze raz – O-ho! – a w końcu: – Ruszyła – O-ho! – Łódka zsunęła się, zaszurała po piasku, już była na wodzie, na dnie chlupnęło trochę wczorajszej deszczówki, wybrali ją starannie czerpakiem z kory. Wszystko należy robić rozważnie i statecznie, bo Gunder, Erik i Per czekają po drugiej stronie cypla i nie spuszczają z nich oczu.

Cała piątka siedziała w łódce. Była to duża, piękna łódź flisacka, bo ojciec Olego był retmanem. Czarna, pociągnięta smołowcem, ciężka do wiosłowania. Miała dwie pary długich wiosel. Teraz użyli tylko jednej, Ole i Anders wiosłowali każdy jednym wiosłem, należało im się to z prawa, gdyż Ole był właścicielem łódki. Ciężko im było wiosłować, jakby gładka tafła jeziora była ze smoły, a nie z wody. Zaparli się nogami o żebra łodzi, kierunek wyznaczyli sobie według jednego z przybrzeżnych drzew i zaczęli wiosłować na wyścigi, kto lepiej potrafi. Andersa bolały plecy, toteż rozmyślał, czy niedługo przyjdzie kolej na innych, właściwie wystarczyło powiedzieć do Olego: – Teraz ich kolej – odłożyć wiosło i wyprostować się. Można by też powiedzieć... tymczasem trzeba mocniej wiosłować, Ole silniej ciągnie, łódka skręca.

Ciężko i wolno sunęła łódź po jeziorze. Z boków woda pluskała, kapiała z wiosel, po każdym uderzeniu na powierzchni rysowały się koła przechodzące w piękny, skomplikowany wzór. Andersa bolały plecy i ramiona, już kolej na tamtych...

Łódka przybiła do brzegu. Gdyby Anders miał zrobić jeszcze pięć uderzeń wiosłami, nie dałby rady. Spojrzał na Olego, wyglądał nie mniej zmęczony. Wskoczyli na ląd jakby nigdy nic, odwróceni ciężko dyszeli, pozostawiając towarzyszom wyciągnięcie łódki na brzeg.

Rozrośnięta dzika wiśnia stała blisko nad jeziorem, sama jedna wystarczała za cały sad. Pnia nie można było objąć, lecz jedna z dolnych gałęzi zwisała niemal do ziemi, wystarczyło ucześcić się jej, aby wejść na drzewo niby po moście. Tak olbrzymia wiśnia nie rosła w żadnej z sąsiednich siedmiu parafii i żadna nie owocowała równie obficie.



Nie potrzebowali walczyć o miejsce na górze. Wystarczyło dla wszystkich. Od razu zniknęli sobie wzajemnie z oczu, tylko od czasu do czasu spotykali się przypadkiem, jak dzicy ludzie, którzy nagle w dżungli stają twarz w twarz. Wtedy przerzucali się jeden nad drugim, bo tak zrobiliby dzicy, zerkali na siebie, lecz ostrożnie odsuwali się każdy w inną stronę... Piętaszek w taki sposób przewinał się między lianami i krzakami na wyspie Robinsona. Oni zatem tak samo powinni robić.

Słyszeli się wzajemnie. Anders oparty o rozwidloną gałąź odpoczywał i zjadał zebrane wiśnie – z prawa i z lewa, z góry i z dołu dochodziło go trzeszczenie i szelest. To czterej koledzy wspinali się, przechylali sobie gałęzie i znowu je puszczali. A może to ktoś inny? Może wrogie plemię? Olbrzymia wiśnia tworzyła cały wielki, zielony świat, ogromny zamek z niezliczonymi przejściami i ukrytymi korytarzami, zakamarkami przysłoniętymi liśćmi ze wszystkich stron, gdzie łatwo się schować, ukryć przed innymi. Może wrogie plemię ukryło się tutaj?

Liście i owoce rozsiewały dokoła zapach gorzkich migdałów. Wiśnie były duże, błyszczące, ciemne, mięsiste w ustach rozpływały się, ale w gardle drapały. Przełyk wyraźnie zaciskał się z każdą chwilą, a język robił się suchy i obrzmiały – ale nie należało poddawać się ani przerywać jedzenia, nieміłe uczucie będzie się nasilało tylko przez pewien czas, później już wszystko jedno. W końcu gardło tak się zaciska, że niemal trudno odetchnąć.

Spotkali się przy pniu w połowie wysokości drzewa. Zbierali się w tym miejscu kolejno w niewielkich odstępach czasu. Nie mogli więcej jeść. Ostatni przyłączył się Gunder. Wytrzymał trochę dłużej, bo więcej bawiło go łażenie po drzewie aniżeli jedzenie. Widzieli, jak wchodził na sam szczyt, na sam czubek, cienkie gałęzie ugięły się pod nim, przerzucał się z jednej na drugą jak wiewiórka, w końcu oparty w rozwidleniu drzewa chwycił najwyższą gałąź i wyciągnięty poziomo sięgał po kiść ciemnych wiśni kołyszącą się na samym czubeczku, wysoko, wysoko nad ziemią. Nie dosięgnął jej, więc zaczął się huścić, raz, nic z tego, drugi raz trochę mocniej, aż rozległ się ostrzegawczy trzask. Chłopcy wstrzymali oddech. Nareszcie zszedł, lekki, szczupły ze wzrokiem rozplómiętym radością wspinaczki.

Siedzieli teraz, jakby w ogromnej niszy, w dużej dziupli, stanowiącej naturalne miejsce spotkań. Wyrastało stąd wiele gałęzi, rozchodziły się w różne strony, lecz ich splecione drobne rozgałęzienia tworzyły napowietrzny domek z zielonym nieprzepuszczalnym dachem, z zielonymi ścianami, z mnóstwem czarnych gałęzi wygodnych do siedzenia. Ilu chłopców tu siadywało! Oni sami wiele razy tu przychodzili, rok po roku, co

najmniej od dwóch albo i trzech lat, a ilu siedziało przed nimi! W zagłębieniu między dwoma konarami leżała fajka, w zeszłym roku już tu była. Kto wspinał się tutaj, żeby palić fajkę? A gdyby ten ktoś dostał mdłości i spadł na dół? Żaden z pięciu chłopców dotychczas nie palił.

Siedzieli ukryci wśród gałęzi i listowia, nie mogli dostrzec stąd ani nieba, ani ziemi, ani żadnej z okolicznych wiosek. Robinson siedział zupełnie tak samo... czy rzeczywiście Robinson tak siedział?

Wyobrażali sobie dalekie wyspy, okręt rozbity w tropikalnych krajach, dzikie plemiona i zwierzęta, piratów, srebrem okute pistolety, skrzynie złota, srebra i szlachetnych kamieni, żółwie, tropy pozostawione na piasku. Anders rozglądał się za dzikimi zwierzętami i węzami. A kiedy zwrócił głowę w drugą stronę, zauważył, że Ole również ukradkiem zerka, czy nie ma węży lub dzikich zwierząt...

Anders głośno krzyknął i omal nie puścił gałęzi, której się uczeplił. Coś przecinało powietrze z ukosa, mierząc prosto w jego twarz. Coś spadło mu na kolana. To trzmiel. Skąd się tutaj wziął, był trochę oszołomiony, może chory. Leżał na grzbiecie i przebierał łapkami w powietrzu.. Może źle znosił gorzką woń migdałów? Może ten zapach oszałamiał trzmiele jak trucizna?

Wszystkie głowy pochyliły się nad nim. Trzmiel prostował i kurczył łapki, znowu je prostował. Można by pomyśleć, że trudno mu oddychać. Anders nieraz już widział podobne objawy u owadów, które dłuższy czas fruwały po mieszkaniu.

Trzeba go ratować. Nie chciał zrzucić go na dół, bo trzmiel mógł się zabić o gałęzie. Trzeba wejść z nim wyżej, na wolną przestrzeń, i wtedy zobaczą, co on zrobi.

Gunder go zabrał. Ostrożnie położył trzmiela na liściu i zaczął wspinać się wyżej, a za nim pozostali chłopcy, uważnie wpatrzeni w listek. Gunder kierował się ku najwyższej gałęzi, ku dużej gałęzi na czubku. Gałąź ta rosła ukosem, sama prawie ogołocona z liści przebijała zieloną koronę. Chłopcy zatrzymali się trochę niżej i wyglądali zupełnie jak przez okno, tymczasem Gunder piął się dalej po czarnym sterczącym na zewnątrz maszcie. Widzieli błękit nieba, biały obłoczek i szczupłą, zwinną sylwetkę Gundera sunącą wzdłuż gałęzi, która się chwiała, kołysała...

– Odwrócił się! – zawołał Gunder z góry przez ramię. Zaledwie to powiedział, mała czarna kropka poderwała się z liścia, który trzymał na dłoni, frunęła w powietrze i zniknęła.

– O, tam leci! – Gunder, podniecony, palcem wskazywał kierunek.

Chłopcy oddychali szybko, byli zachwyceni i dumni. Potem spojrzeli po sobie z lekkim zażenowaniem. Trochę dziecinne zachowanie.

Gunder powoli zsuwał się w dół. Pozostali chłopcy siedzieli cicho i obserwowali go –

najwyższa gałąź mogła utrzymać najwyżej jednego. Gunder mówił bez przerwy:

– Najpierw poruszył odwłokiem. Potem machnął nogami. Potem obrócił się i stanął, przednimi łapami jakby pocierał głowę i poleciał! Poleciał prosto do Lauvberget!

Gunder nagle zamilkł, spojrzął na kolegów, zerknął w dół, po czym zwrócił oczy w kierunku Lauvberget. Następnie dodał półgłosem:

– Ciekaw jestem, co z Albertem. Powiedział, że po południu może przyjdzie tutaj.

Chłopcy spojrzeli na Gundera i szybko spuścili wzrok. Na drzewie zapadła cisza. Wszyscy zdawali się czekać na jakiś znak.

I wtedy usłyszeli sygnał. Krótki gwizd. Nie zauważyli, że Albert stał pod drzewem.

Szybko w milczeniu zeskakiwali na ziemię. Zupełnie jakby Albert każdego chwycił na arkan i przy jego pomocy ściągnął ich teraz ku sobie.

Albert stał w cieniu drzewa i czekał. Gdy wszyscy zebrali się na dole, nie ruszył się, tylko zmierzył ich wzrokiem. Oni także stali bez ruchu i pozwalali mierzyć się wzrokiem.

Roześmiał się krótko – Cha cha – wydał tylko ten jeden urwany, drwiący ton.

Śmiech Alberta nie świadczył o jego zadowoleniu. Miał oznaczać, że pominie sprawę milczeniem, nie będzie wymagał usprawiedliwienia, czemu się nie pośpieszyli. Poza tym śmiał się z ich dziecinady – łazili po drzewach i opychali się wiśniami jak smarkacze. Pojęli to wszystko od razu, podeszli więc bliżej z uczuciem ulgi, że na tym się skończyło, chociaż zachowali się jak małe dzieci.

Raz jeszcze rzucił na nich okiem, jakby ich liczył. Przewyższał ich o głowę. Był o dwa lata starszy, ale uczęszczał do tej samej klasy. W tej okolicy mieszkał dopiero od roku, a dawniej na pewno różnie bywało z chodzeniem do szkoły.

Odwrócił się i bez słowa poszedł w stronę jeziora. Chłopcy ruszyli za nim.

Rodzice Alberta przybyli z północy i zamieszkali pod Lauvberget przed rokiem. Albert pierwszego dnia po przyjsciu do szkoły zagarnął władzę. Był od nich starszy i wyższy. Ale nie tylko to było powodem. Był także silniejszy – o, na pewno był dużo silniejszy, o czym zresztą nigdy nie potrzebował ich przekonywać.

Albert był obcy. Ciemnowłosa, szczupły, a raczej chudy, o śniadej cerze. Ludzie mówili, że w jego ojcu płynie cygańska krew. Inni utrzymywali, że jest szwedzkiego pochodzenia. W każdym razie to byli obcy ludzie, którzy kiedyś, dawno temu skądś przywędrowali i osiedli w jednej z gmin leżących na północy, potem na pewien czas zniknęli, lecz znowu powrócili. Ojciec był rzemieślnikiem, umiał robić wszystko: pobielał dzbanki do kawy, kuł kosy i końskie podkowy, robił wszelkiego rodzaju zamki, naprawiał budziki i

zegarki kieszonkowe, słowem umiał wszystko. Lekarz powierzał mu do naprawy swoje najpiękniejsze aparaty. Poza tym ojciec Alberta był także szewcem, krawcem, weterynarzem, a nawet w razie potrzeby – znachorem. Miał różdżkę i wykrywał wodę, odnajdywał także zagubione przedmioty. Wyglądał nędznie i zaniedbanie. On sam, jego żona i Albert chodzili obdarci.

Ojciec mówił jakimś obcym narzeczem, jakim – nikt nie wiedział, w każdym razie nie po szwedzku. Albert także mówił trochę inaczej niż wszyscy mieszkańcy tej gminy. Pewno towarzyszył ojcu w niejednej wędrówce.

Ojciec był tu obcy, syn także pozostał obcy.

W szkole źle się uczył, nigdy nie umiał lekcji, nigdy nie dał właściwej odpowiedzi. Czasem można było sądzić, że odpowiada źle, bo chce zrobić na złość. Różnił się całkowicie od wszystkich. Inni chłopcy też bywali niezdolni, też źle odpowiadali, albo stali w milczeniu trochę wystraszeni, a na następnej pauzie długo i szeroko przechwalali się, że zrobili to dla kawału. Koledzy wysłuchujący tych przechwałek przez grzeczność udawali, że wierzą, z zażenowaniem jednak odwracali wzrok.

Zupełnie inaczej było z Albertem. Nigdy nie przechwalał się, że źle odpowiada dla kawału. Wiedzieli jednak, że tak było. Nauczyciel też o tym wiedział. Pewnego razu Albert najpierw milczał, w końcu odpowiedział straszne głupstwo, nauczyciel podszedł do niego i wymierzył mu policzek.

– Ja cię nauczę robienia małych sztuczek na moich lekcjach! – powiedział.

Albert stał spokojnie, póki nauczyciel nie wrócił na katedrę. Następnie oświadczył:

– Nie masz prawa mnie bić!

Nauczyciel znowu skoczył ku niemu:

– Coś ty sobie pozwolił powiedzieć?

– Nie masz prawa mnie bić! – powtórzył Albert.

Stał prosto, patrzył na nauczyciela bez zmruczenia oczu, spokojny, tylko trochę bledszy niż zawsze. Nauczyciel zaczerwienił się okropnie. Wszyscy oczekiwali, że powtórnie uderzy Alberta. Uderzył, ale w pulpit. Walił pięścią w pulpit, aż książki i kałamarz podskakiwały i krzychał, że jeśli Albert się odważy...

Jednakże Alberta nigdy więcej nie uderzył.

– Żeby nigdy więcej podobnych głupstw od ciebie nie słyszał! Tylko tyle ci powiem!  
– oświadczył wracając na katedrę. – Siadaj.

Albert usiadł. W klasie zapadła głucha cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, kto zwyciężył. I było rzeczą oczywistą, że nauczyciel też wiedział.

Albert nudził się. Rzucił kamień do jeziora, kijem ściął kępę wierzbówki, ziewał przeraźliwie, rozglądał się to w prawo, to w lewo! – nigdzie najmniejszej okazji do żadnej rozrywki, oprócz dziecinnych figli. Na nieśmiałe propozycje Gundera i Hansa odpowiedział jedynie lekceważącym gwizdnięciem.

Stali za nim zbici w gromadkę. Albert był niebezpieczny, jeśli się nudził.

Nagle twarz jakby mu się rozjaśniła. Zwrócił się do nich:

– Popłyniemy na Kozią Wyspę. Wyrąbimy dziurę w łódce i będziemy musieli tam zostać, póki starych nie obleci strach i nie zaczną szukać nas całą gromadą.

Początkowo nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Olego. Przecież to jego w pierwszym rzędzie dotyczyło, bo to on pożyczył łódź od ojca.

Ole z trudnością przełknął ślinę i odezwał się:

– Obiecałem, że odprowadzę łódkę do przystani po południu.

Albert spojrzał na niego mrużąc oczy:

– Milcz, ty! A jak nie, to ja ci gębę zatkam!

Roześmiał się, jak zawsze jednym krótkim: Cha, cha!

Ole nie odpowiedział.

Albert wsiadł do łodzi. Za nim pozostali chłopcy. Ole na końcu. Wahał się przez sekundę, ale wsiadł. Chłopcy zrozumieli, że Ole uważa za swój obowiązek nie opuszczać łodzi. Poza tym tak jak wszyscy pomyślał sobie, że nie mając siekiery, nie mogą wyrąbać dziury w łodzi. Lepiej jednak nie wspominać o tym głośno, bo Albert mógłby na przykład wpaść na pomysł nasypiania kamieni do łodzi i zepchnięcia jej na głębie, aby nabrała wody i zatonała. Albo na inny jeszcze gorszy pomysł, który na razie im do głowy nie przychodził...

Spojrzeni po sobie i od razu wiedzieli, że wszyscy są jednego zdania. Żaden się nie odezwał.

Albert stał na dziobie i rozmyślał. Może nowy pomysł już zaczynał go nudzić.

Chłopcy stali skupieni na środku łodzi, lekko przygarbieni, jakby przytłoczeni ciężarem. To on zaczynał im ciążyć, już dosyć mieli jego towarzystwa. Uświadomili sobie, że ilekroć odchodzi od nich, oddychają z ulgą, czują się wyzwoleni. Nie, nie, to nieprawda, oni zawsze są w niego wpatrzeni. Poszliby za nim w ogień. Tylko od czasu do czasu bardzo trudno...

W stosunku do Alberta nie byli szczerzy. W jego obecności przemilczali niejedno o czym opowiadali innym, a jednak jeśli któryś znalazł się z nim sam na sam, zwierzał mu różne sprawy, o których innym nie mówił. I wtedy Albert nie zawsze był ironiczny, nie śmiał się zwykłym nieprzyjemnym i bezradnym śmiechem. Czasem tak bywało i wówczas

poszliby za niego w ogień.

Natomiast w gromadzie Albert był taki jak zazwyczaj. Nietowarzyski i niebezpieczny.

Dawał im wiele do myślenia.

Nie rozumieli go.

– Ty Ole, i ty Anders możecie wiosłować! – oświadczył Albert. Sam usiadł na dziobie. Pozostali chłopcy także usiedli.

Wiosła ciążyły Andersowi. Więcej aniżeli poprzednio. Plecy też bardziej go bolały. Zaczął sobie powtarzać: Teraz, kiedy Albert przyszedł, będzie wesoło – zabawimy się teraz, kiedy Albert przyszedł, zabawimy się... Powtarzał sobie te słowa do chwili, kiedy zauważył, że jednocześnie myśli: Chciałbym wrócić już do domu, chciałbym wrócić już do domu.

Do Koziej Wyspy było daleko, leżała po przeciwnej stronie jeziora. Daleko, okropnie daleko... Anders stwierdził nagle, że jest zły na Olego: co za pomysł, czemu gwizdał pod płotem... Plecy go bolały, dulki skrzypiały, z wiosel kapało. Boli, skrzypi, kapie... przeklęty Ole... boli... skrzypi, kapie... przeklęty...

Łódź zaszurała po dnie, dobiła do brzegu, gdzie powitało ich stado kóz. Zawsze wychodziły naprzeciw każdemu, kto tu przyplynał. A ludzie często tu przyjeżdżali, Kozia Wyspa była miejscem wycieczek, licznie uczęszczanym. Kozy wychodziły na powitanie – bo źle się czuły na tej wyspie, dla nich za mało górzystej. Często z daleka słychać było jak meczą całymi godzinami z tęsknoty za stałym lądem. A może tęskniły do ludzi?

Stado kóz było duże – liczyło dwadzieścia pięć do trzydziestu sztuk. Czarne, szare i białe. Ani jednego kozła. Może dlatego meczały patrząc w kierunku lądu? Pośród dorosłych kóz uwijało się kilka starszych już kozłat. Kozłeta to niezwykle zabawne i dziwne stworzenia, dużo śmieszniejsze od szczupaków. Niewiarygodnie lekkie, skakały i tańczyły, przekrzywiały łebki, stawały na dwóch nogach i kręciły się w kółko dokoła własnych maleńkich różków jak bąki wokół osi. Miały drobne, figlarne pyszczki, zupełnie jak małe kotki albo maleńkie dziewczynki. Na wyspie było sporo kozłat, uradowane widokiem ludzi skakały, tańczyły, mocowały się. Szczególnie wesołe i ładne było jedno, całe bielusińkie. Tańczyło ładniej od pozostałych, z główką na bok przekrzywioną bieгло w podskokach ku łodzi. Cóż to byłaby za uciecha, gdyby można z nimi pobiegać i pobawić się – ale przecież nie wypada w obecności Alberta. Po prostu by ich wyśmiał: Cha cha! wykpił i nazwał gówniarzami!

Albert wyskoczył na brzeg. Oni za nim – zapomniał o wyrąbaniu dziury w łodzi! Odetchnęli, czuli się trochę, choć niezupełnie, uspokojeni.

Włóczyli się po wyspie. Puszczali kaczki, licząc ile razy kamień odbije się od wody,

szukali gniazd i ptasich jaj, ale nic nie znaleźli, po stromej skale stoczyli duży głaz, który z pluskiem wpadł do wody. Wszystko to było zabawne, ale prędko się skończyło. Ktoś rzucił pomysł, żeby się wykapać, propozycja jednak upadła, bo Albert nie lubił się kąpać, marzył w wodzie. Ludziom chudym jest zawsze zimno w wodzie. Pływać umiał, umiał też coś, czego chłopcy nie potrafili, czyli nurkować pod wodą z otwartymi oczami. Ale nie lubił się kąpać. A więc nic z tego.

Kraźyli dokoła w poszukiwaniu rozrywki. Nie było to łatwe. A stało się jeszcze trudniejsze z chwilą, gdy zauważyli znudzoną minę Alberta. Albert nudził się, nudził... Nie raczył zamienić słowa z żadnym z chłopców. Odwrócił się do nich plecami, żeby na nich nie patrzeć. Po prostu brakło mu słów na wyrażenie, jak mu obrzydli. Z nudów twarz mu się zrobiła odęta i wykrzywiona.

Poczuli lęk i niepokój. Rozglądali się za czymkolwiek, co mogłoby go zabawić. Erik szeptem zaproponował, żeby rozpalić ognisko na brzegu. Ech, głupi – jednej suchej gałązki nie ma na całej wyspie! Hans z rozpaczy podsunął myśl, żeby bawić się w Indian. Tym razem Albert nawet się nie roześmiał, a pozostali chłopcy uznali propozycję za idiotycznie dziecinną.

Obeszli wyspę dokoła i wrócili do łodzi. Albert odwrócony plecami ziewał. Twarz mu obwisła, oczy miał podsiniałe, zżerała go nuda.

Od czego się zaczęło? Trudno na to odpowiedzieć. Kto powiedział pierwsze słowo? Kiedy później omawiali całą sprawę, Gunder twierdził, że to nie on. Z kredowo bladą twarzą krzychał: „To nie ja!” A przecież on zaczął. Nikt inny, tylko on. A zresztą mniejsza z tym, przecież zaczęło się nie od słowa. Zaczęło się w chwili, gdy szli brzegiem wyspy od strony Lauvberget. Pas wody dzielący wyspę od Lauvberget nie był szeroki. Jeśliby ktoś miał ochotę, mógł go bez trudu przepłynąć. Erik był pewien, że zdołałby to zrobić i dziwił się czemu kozy nie popłyną na ląd, skoro źle czują się na wyspie. Wtedy Ole wyjaśnił, że kozy boją się wody; wiedział o tym doskonale, bo jego ojciec hodował te zwierzęta. Kozy nie znoszą wody. Nawet deszczu nie znoszą. Nie umieją pływać. Jeśli która wpadnie do wody, zaraz idzie na dno – twierdził Ole. Jego ojciec widział taki wypadek.

W takim razie Ole zaczął.

Gdyby łódź przycumował od strony Lauvberget, nigdy by się to nie zdarzyło. Zostawili ją jednak w ukryciu po drugiej stronie, bo tam nie było jej widać z okolicznych domów. A zatem ani ich, ani tego co robili, też nikt nie mógł dostrzec. Wobec tego winę ponosi łódź...

Właściwie z pewnego punktu widzenia koza sama zawiniła. Kiedy wrócili do łodzi,

wskoczyła do niej. Stała mocno zaparta czterema kopytami, przekrzywiła łebek i kiwała nim bez przerwy. Stado kóz przez jakiś czas szło za chłopcami wzdłuż brzegu. Następnie rozproszyło się. A później cała ich gromada stała na wzniesieniu i spoglądała na łódź. Może kozłatko to spostrzegło i chciało się popisać przed dorosłymi kozami. Może pod tym względem kozy niewiele różnią się od ludzi?

Pierwsze słowo powiedział Gunder – na pewno zaczął Gunder, daremnie jego wykrety.

– Oho, chcesz wypłynąć na jezioro i wrócić piechotą na brzeg? – zaczął Gunder.

Albert od razu przestał się nudzić. Nastawił ucha. Uśmiechnął się. Tak, Albert zaczął się śmiać, i to niemal naturalnym śmiechem:

– Cha cha! Cha cha!

Spojrzał pytająco na wesołe, śliczne kozę o jedwabisto białej sierści i oświadczył:

– Wypłyniemy z nim i puścimy je na wodę!

Chłopcy w milczeniu patrzyli na kózkę.

– Ale... nie – Ole i Gunder wymówili te słowa jednocześnie.

Albert zawołał:

– Przespaceruje się do brzegu! Odpłyniemy tylko kawałek. Niech się nauczy. Jak znalazł, kiedy dorośnie!

Znowu się roześmiał: Cha cha!

Nigdy nie widzieli Alberta do tego stopnia ożywionego.

Nikt się nie odezwał. Żaden nie spojrzał na towarzyszy.

– Anders, Gunder i ty Peter wsiadajcie do łodzi. Ty, Gunder, wrzucisz ją do wody. Ale musicie wypłynąć na głębszą wodę, inaczej nie będzie zabawy!

Żaden z nich nie odmówił. Na pewno żadnemu nie przyszło do głowy powiedzieć – nie. Trudno sobie wyobrazić coś równie niebezpiecznego! A zresztą to przecież Albert... Albert chyba nie wymyślił nic takiego... a właściwie warto zobaczyć, co będzie... co zrobi kozę...

Jakieś dziwne uczucie! Serce mocniej bije! W ustach dziwny smak!

Wsiadali do łodzi ostrożnie, by nie spłoszyć kozłęcia. Chciało wyskoczyć na brzeg, lecz zagrozdziło mu drogę. Wyjrzało za burtę i szybko cofnęło łebek – woda dokoła, wszędzie woda! Węszyło niespokojnie. A właściwie wszystko poszło łatwiej, niż sądzili. Kózka myślała, że chodzi o zabawę. Gdy wykrecali łódź, zachwiała się na nogach i o mało nie wyleciała – jaka śmieszna, zachwiała się, ale szybko odzyskała równowagę, znowu kiwała łebkiem i meczała radośnie.

Albert powiedział spokojnie i wyraźnie:



– Czekaj, nauczymy cię mezczeć!

Dno opadało tutaj łagodnie. Jeszcze kilka uderzeń wiosłami, już na pewno jest dosyć głęboko. Kózka okazała zaniepokojenie, uskoczyła na tył łodzi, oparła przednie kopytka na brzegu burty i wyjrzała. Bała się jednak wyskoczyć.

Gunder ujął ją jedną ręką za szyję drugą pod tylne nogi i podniósł do góry. Na wszelki wypadek wypuścił ją do jeziora głową w stronę łodzi. Ale zaledwie znalazła się w wodzie obróciła się i pomaszerowała po dnie do brzegu. Pod wodą miała tylko zad i trochę zamoczyła małą bródkę. Po dojściu do miejsca gdzie woda nie sięgała jej głowy, kózka znowu przy każdym kroku kiwała łebkiem jak stara, białowłosa niewiasta. Okropnie zabawna, śmiali się chórem i pokrzykiwali, dopóki Albert nie zawołał: – Sza! – wyraźnie nastawił ucha w kierunku Lauvberget.

Sądziłi, że już koniec zabawy. Anders i Per lekko, lekko poruszali wiosłami i cały czas towarzyszyli koźlęciu. Łódź zaszurała po dnie w chwili, gdy kózka wyszła na ląd i otrząsnęła się. Otrząsnęła się rozpryskując dokoła wodę, Albert i Erik uskoczyli krok w tył. Ale przestała mezczeć.

Kózka zamierzała uciec w głąb wyspy. Jednakże Albert zagroził jej drogę. Chwycił ją za szyję i za nogi i z powrotem wsadził do łodzi.

– Wypłyniecie teraz trochę dalej, na głębszą wodę! Niech się uczy biedactwo!

– Ona przestała mezczeć! – zauważył zgnębiony Gunder.

Albert tylko spojrzał na niego. A jaki w tej chwili był ładny! Policzki miał zarumienione, oczy błyszczące i ożywione. O, już się nie nudził.

– Ty, stul pysk! – rzucił nie spuszczając wzroku z Gundera. – Bo jak nie, to wiesz, co zrobię!

Per i Anders ujęli wiosła. Dwa uderzenia i jeszcze jedno, słabsze.

– Dalej!

Jeszcze jedno lekkie poruszenie wiosła.

Atmosfera pełna podniecenia! Jak wtedy, kiedy coś swędzi i człowiek musi się drapać, chociaż swędzi jeszcze gorzej, drapie się do zaczerwienienia ciała, i ciągle, i jeszcze...

Tym razem wypłynęli na głęboką wodę. Kózka zniknęła. Na sekundę wstrzymali oddech. Nareszcie malutkie różki wychyliły się nad powierzchnię. Kiwały się i kiwały. Strasznie komiczne! Ale głośno żaden nie miał odwagi się roześmiać. Rozmawiali szeptem: – Widzisz jak kiwa głową? Jak nerwowo węszy? – Anders wypuścił wiosło, złapał się na brzuch i zaczął chichotać. Ale prędko przestał, bo musiał ratować tonące wiosło. O, cała głowa nad wodą! Koźlę kiwało ciągle łebkiem, jakby bez przerwy czemuś potakiwało. Może

teraz stawiało drobniejsze kroki niż poprzednio, a może po prostu musiało przebyć dłuższą drogę. W każdym razie zaszła jakaś zmiana. Za pierwszym razem Anders zauważył, że wyraźnie widziało i łódkę, i jego też, gdy płynął tuż obok i ostrożnie manewrował wiosłem, by kózłęcia nie potraćić. Teraz również płynęli obok, Anders nie mniej uważał, żeby nie potraćić kózki, która trzymała oczy szeroko otwarte tak jak i przedtem, a miała oczy duże, jasnoniebieskie, jakby mleczne, z wyraźnie zarysowaną czarną źrenicą i otoczone czerwoną obwódka. Nie widziała jednak ani łódki, ani Andersa, w ogóle nic nie widziała. Zupełnie jakby szła na oślep, a wzrok miała skierowany do wewnątrz. Pyszczek trzymała zamknięty, nie meczała. Kierowała się prosto do brzegu i potakiwała głową, nieustannie potakiwała. Woda ściekała strugami z małej bródki i z sierści pod brzuchem, a w ogóle jakoś marnie wyglądała – od razu widać, że nie jest stworzona do pławienia się w wodzie.

Albert czekał na nią na brzegu. Pochylił się i zaczął ją wabić: – Mecia, mecia, chodź! Mecia, mecia, chodź!

Gdyby miała rozum, to może by uciekła. Tak, na pewno, na pewno mogła umknąć, gdyby skoczyła w bok, a nie prosto w ramiona Alberta. Oczywiście nic nie wiedziała i niczego już nie rozumiała.

– Dobra mecia, dobra! – mówił Albert klepiąc zwierzątko.

Nióśł ją do łodzi, nawet się nie wrywała.

– Nie, nie, nie!

To Ole krzyknął. Ole zupełnie stracił panowanie nad sobą, krzyczał jak wariat:

– Nie, nie, nie!

Twarz między piegami miał białą jak papier, rzucił się na Alberta i chciał mu wyrwać kózkę. Oszałał zupełnie, na oślep walił zaciśniętymi pięściami, łzy tryskały mu z oczu. – Nie, nie, nie! – krzyczał, jakby na świecie istniało tylko to jedno słowo. Kilku uderzeniami trafił Alberta w twarz. Bił, kopał, walił.

Albert z początku się spieszył, omal się nie pośliznął, jeden z ciosów trafił go w nos, zaczął krwawić. Ale już w następnej chwili z całym spokojem wziął górę. Zupełnie na zimno dał Olemu jednego szturchańca, po którym ten fiknął kozła. Potem odwrócił się, wsadził kózkę do łodzi.

– Wiosłuj – powiedział nie podnosząc głosu.

Potem zwrócił się do Olego, który zdążył wstać.

– To był twój pomysł, prawda? Ty powiedziałaś, że koza nie może chodzić po wodzie! Ty, ty to powiedziałaś!

– Nie, nie, nie! – Ole zanosił się od płaczu, łzy lały mu się ciurkiem z oczu. Nie

widział Alberta, tylko łódkę i w niej koźłę, skoczył w wodę, chciał je dogonić wpław.

Albert pobiegł za nim, złapał go za ramię i cofnął na brzeg.

– Ty wariacie! To był twój pomysł, może nie? – mówił to z całym spokojem, przyjaźnie, przekonywająco.

Ole nie odpowiedział. Usiadł skulony, trzymając się za brzuch obu rękami. Zaczął wymiotować. Odszedł parę kroków w tył i znowu zwymiotował.

Albert przyglądał mu się z wyrazem znużenia i dobrotliwej pogardy.

– Ech, takiego jak ty to nawet szturchnąć nie warto – oświadczył. Mówił jak do malca.

Potem zwrócił się w kierunku łodzi:

– Czego się gapicie! Ruszajcie!

Gunder nagle wybuchnął płaczem:

– Nie chcę więcej! Nie chcę więcej!

Szlochał i łkał. Chyba to było zaraźliwe, bo Peter od razu też się rozplakał, z samego strachu. Na brzegu został Erik blady i przerażony.

Albert stał chwilę w milczeniu – ale tylko chwileczkę. Potem skoczył do łodzi:

– No, w takim razie zostaliśmy tylko we dwóch, ty Anders i ja! Tamci to stare baby!

Wiosłuj!

Anders zabrał się do wiosł. Przez mgnienie oka miał wrażenie, że jest zupełnie gdzie indziej. Wprawdzie siedział w łodzi, widział Alberta i kózkę – ale jednocześnie widział co innego. Widział dwie drogi, wiedział, że może wybierać i niejasno zdawał sobie sprawę, że teraz dokonuje wyboru nie tylko na ten jeden raz, ale na wiele razy, na zawsze... trzeba wybierać... na zawsze...

Później przypomniał sobie coś dziwnego: widział Alberta martwego. Wyraźnie widział jego zgasłe otwarte oczy, widział je pod wodą; prawda, przecież Albert umiał pływać pod wodą z otwartymi oczami... I słyszał wewnętrzny głos: „Nie, nie, nie!...”

– ...ty i ja – powiedział Albert. Słyszał słowa jak przez mgłę. Był na wodzie daleko od lądu...

Nagle spostrzegł, że patrzy na brzeg, na Olego i usłyszał słowa:

– Tchórz, tchórz, tchórz!

Głos płynął z bardzo daleka. Ale to był jego własny głos. Z uczuciem zdziwienia i niezwykłego spokoju zastanowił się, dlaczego ten głos płynie z tak daleka? W następnej sekundzie aż wzdrygnął się ze złości i krzyknął:

– Tchórz! Ty jesteś tchórz, Ole! Ty tchórz, ty tchórz...!

– Cicho! – rozkazał surowo Albert. – Wiosłuj, idioto!

Anders odpłynął. Albert podniósł kózkę... Albert powiedział: – Płyn z powrotem, prędko! – Albert wyskoczył na brzeg, żeby ją złapać...

Mozna by pomyśleć, że szła pod górę, kiwała łebkiem i coś do siebie mówiła. Potakiwała i mówiła... nie słysząc, co mówi... z tak daleka... Na brzegu stoi Albert i woła: – Mecia, mecia, chodź! – Wyżej na pagórku, obok pierwszych drzew, Ole leży na brzuchu. Dalej stoi Erik, sztywny, jak wryty. W łodzi siedzi Gunder skurczony we dwoje i łka. Per siedzi wyprostowany, z nienaturalnym, martwym uśmiechem. Kolejno płyną do brzegu i odpływają od brzegu... Wszystko dzieje się gdzieś daleko, bardzo daleko. To wszystko działo się zawsze i zawsze będzie się działo. Taki już jest świat, ciągle to samo od nowa, to samo od nowa i za każdym razem przyjemne swędzenie w miejscu od dawna zaognionym... i przyjemne uczucie mdłości w żołądku, i coś chciałoby wydostać się z gardła, ale zdławione ciągle powraca do środka. To samo, to samo... „Mecia, mecia, chodź”!

Czy to było za czwartym, czy za piątym razem? W każdym razie trwało nieskończenie długo, wiele dni, wiele lat.

Kóзка nie wypłynęła.

Już powinna tu być.

Nie wypłynęła.

Albert stoi w tyle łodzi z bosakiem i komenderuje: – Wiosłujcie, dalej wiosłujcie! Lewym, silniej lewym – nie, nie, teraz prawym! Stop!

Zagłębił bosak, o coś zaczepił, ciągnął, lecz stracił punkt zaczepienia, upadł na dno łodzi, wstał, pochylił się i na nowo zaczepił bosak; posługując się burtą jak dźwignią napierał na drąg. Łebek i przednia część ciała kóзки wyłoniła się z wody, jej otwarte oczy były martwe – zsunęła się z bosaka i znowu zniknęła, drąg stuknął o brzeg łodzi, lecz Albert nie przewrócił się tym razem, bo podparł się na rękach.

– Nieżywa – stwierdził po chwili.

Nikt mu nie odpowiedział. Panowała absolutna cisza. Nie było najmniejszego powiewu, nie słysząc najślabszego dźwięku. Na wyspie kozy stały półkolem na pagórku, w miejscu gdzie zaczynały się krzaki i zarośla. Stały bez ruchu, w kompletnej ciszy, po prostu stały i patrzyły. Cała wyspa wydawała się jedną wielką, milczącą istotą, która tylko patrzyła. Słońce na zachodzie wyglądało jak nabiegłe krwią oko groźnie patrzące. Całe niebo było jednym wielkim okiem.

– Niech tu zostanie – powiedział Albert, po czym ostrym tonem rzucił Andersowi rozkaz: – Do brzegu!

Wyskoczył na brzeg, pobiegł ścieżką przez zagajnik na drugą stronę. Bardzo prędko

wrócił:

– Nie widać żadnej łodzi. Natychmiast odpływamy.

Po czym zwrócony w stronę wyspy zawołał:

– Ole, chodź, odpływamy.

Ole podniósł się, skulony, z obrzmiałą, wykrzywioną twarzą. Oczy miał zapadnięte. Poszedł wprost do łodzi, minął Andersa i usiadł w tyle. Gunder musiał wiosłować drugim wiosłem.

– Wyszadzicie mnie na brzeg koło wiśni! – powiedział Albert, który siadł obok Olego.

Ruszyli. Kozy stały nad wodą zbite w gromadkę. Nie ruszały się. Nie towarzyszyły im wzdłuż brzegu. Nie meczały.

Powierzchnia jeziora była gładka i lśniąca. Niebo czyste. Za łodzią ciągnął się równiutki wachlarz drobnej fali, srebrzysty, bezbłędnie narysowany.

Kiedy łódź dotknęła dna w pobliżu dzikiej wiśni, Albert w milczeniu wstał i wysiadł na ląd. Dopiero w cieniu drzewa obejrzał się na chłopców:

– Lepiej nie opowiadać o tym, co się stało. Chyba nie macie ochoty na dom poprawczy?

Uśmiechnął się. Na tle śniadej twarzy błysnęły białe zęby.

Chwilę stał i patrzył na nich. Cała piątka w łodzi milczała. Zdawało się, że Albert na coś czeka. Po chwili jednak zrezygnował. Włożył ręce do kieszeni, beztrosko wrzucił ramionami i odszedł. Zniknął w cieniu rozłożystego drzewa.

Czekali, dopóki nie odszedł daleko. Milczeli. Cały świat był pogrążony w głębokiej ciszy, jakby zamarł. Na zachodzie niebo płonęło niby ogarnięte pożogą.

Gunder i Anders wiosłowali. Obrócili łódź i popłynęli. Od czasu do czasu Gunder przerywał wiosłowanie, bo Anders nie mógł za nim nadążyć.

Dopłynęli do przylądka. Gunder odłożył wiosło. Gunder, Erik i Per wysiedli.

Odepchnęli łódź, Ole chwiejąc się na nogach zrobił kilka kroków, zajął dawne miejsce obok Andersa i Wziął się do wiosła.

Już tylko kilka uderzeń wiosłami i będą na miejscu, najwyżej dwadzieścia, albo dwadzieścia pięć... Anders liczył. Już jedno mniej, już dwa, już trzy...

Dziewięćdziesiąt pięć pociągnąć wiosłami!

Anders wyszedł na brzeg. Miał wrażenie, że siedział w tej łodzi od niepamiętnych czasów.

Wyprostował się, spojrział na swoje ręce, potem na Olego, ale natychmiast spuścił wzrok.

Ole starannie cumował łódź, odniósł wiosła na miejsce, wyjął dulki. Robił to wszystko bardzo powoli. Ani razu nie spojrzął na Andersa.

Nareszcie skończył. Teraz każdy z nich powinien pójść w swoją stronę. Jednakże Anders nie zdziwił się, gdy Ole bez słowa poszedł razem z nim przez pastwisko. Szli pod górę ramię w ramię w całkowitym milczeniu. Anders myślał: To on zaczął, po co przychodził i gwizdał na mnie.

Doszli mniej więcej do połowy drogi, do miejsca gdzie ścieżka prowadziła przez niewielkie zagłębienie terenu, stąd nie było widać ani jeziora, ani domu Andersa. Ole zatrzymał się, ostrożnie położył dulki na skraju ścieżki.

Anders czekał na niego.

A potem rzucili się na siebie.

Żaden z nich nie umiał się bić. Z takich czy innych powodów nigdy nie było między nimi najmniejszej bójkii. Nie umieli ani unikać, ani odparowywać ciosów, toteż Wkrótce obaj krwawili. Walki jednak nie przerywali. Nie zamienili ani słowa, tylko patrzyli sobie w oczy i walczyli. Raz jeden padał na ziemię, to znów drugi. Ubrania mieli zakrwawione i uwalane. W pewnej chwili obaj upadli ze zmęczenia i chwilę siedzieli naprzeciw siebie. Potem poderwali się jednocześnie i zaczęli od nowa. Ole trafił raz Andersa w żołądek; Anders skulony zwymiotował. Ole czekał. A kiedy się wyprostował, zobaczył uśmiech na twarzy Olego, więc chociaż czuł się chory, nie wytrzymał i rzucił się na przeciwnika.

Z początku bili się nieumiejętnie. Ale zanim skończyli walkę, dużo się nauczyli. Przez cały czas milczeli. Skończyli zaś dlatego, że ze zmęczenia nie mieli siły zadawać sobie ciosów, nie mogli złapać tchu, nawet na nogach nie mogli się utrzymać, toteż przewracali się po każdym niecelnym uderzeniu. Walka nie zakończyła się zawarciem zgody, siedzieli naprzeciwko siebie po dwóch stronach ścieżki. Gdyby Anders nie wiedział, że widzi przed sobą Olego, nie byłby go poznał. Po chwili Ole wstał, zabrał dulki i odszedł. Idąc potykał się i zataczał. Anders widział kiedyś pijaka, który szedł zupełnie tak samo – było to dawno temu, przed wielu laty, na Boże Narodzenie.

Podniósł się i poszedł ku domowi. On też potykał się i zataczał. Przeszedł przez żywopłot. Usłyszał, że matka i ojciec już wrócili; siedzieli przed domem. Wśliznął się do domu kuchennym wejściem. W kuchni pusto, niepostrzeżenie przemknął się przez sień i schodami na górę.

Na dole słychać było śmiechy i rozmowy.

Anders miał wrażenie, jakby wrócił z krańca świata, jakby zobaczył wszystko, co tylko było do zobaczenia i przeżył wszystko, co tylko można przeżyć. Widział wszystko, przeżył

wszystko, dowiedział się więcej, aniżeli kiedykolwiek sądził, że można się dowiedzieć i wiedział, że z tego wszystkiego ani jednego słowa nie może opowiedzieć innym. Poczł się samotny, jakby sam jeden dotarł do krańca świata.

Z dołu dolatywały śmiechy i rozmowy. Myślał o rodzicach, którzy teraz wydawali mu się dwojgiem dalekich mu niewinnych dzieci.

Od tej pory nigdy więcej nie rozmawiali z Albertem. W pierwszym okresie, póki wszyscy żyli w nieustającym lęku – po prostu go omijali. On również ich unikał; jeśli przypadkiem spojrział na któregoś z nich podczas pauzy, wzrok jego pozostawał bezgranicznie obojętny, obcy. Zupełnie jakby z nimi zerwał, jakby o nich całkowicie zapomniał. Patrzył poprzez nich w dal. Nie mogli znieść tego spojrzenia, usuwali się na bok, zajmowali się byle czym. Gunder chorował cały tydzień. A kiedy ten tydzień minął, było już po wszystkim. Nic się nie wydarzyło, tylko właściciel Lauvberget pomrukiwał, że ktoś mu ukradł jedno koźlątko. W kilka dni po owej niedzieli spędzonej na Koziej Wyspie Albert wyjechał. Wyniósł się razem z rodzicami nie wiadomo dokąd – może do Kristianii, może w inne okolice, gdzie budują drogi, bo jego ojciec był kiedyś robotnikiem drogowym.

Przed wyjazdem nie zamienił słowa z żadnym z nich Byli dla niego jak powietrze. To bolało. Ale ostatecznie wyjechał. Co za ulga. Co za ogromna ulga! Jednakże wskutek tego, że tak reagowali, czuli się podli i nieszczęśliwi, toteż przez pewien czas unikali wzajemnie swojego wzroku.

Nigdy o tym nie rozmawiali.

## Do lasu, do Møltemoen

NOC się skończyła. Dzień jeszcze nie wstał. Anders leżał, nie mógł zasnąć.

Coś się z nim działo, przewracał się na łóżku, mruczał sam do siebie:

– Pójdę do lasu, do Møltemoen, po krowy, masło i ser, pójdę do lasu do Møltemoen, do lasu daleko, daleko do lasu...

Cisza dokoła. Nikt jeszcze nie wstał. Wszyscy spali. Anders ubrał się i wymknął na dwór.

Słońce kryło się za wzgórzami, dzień jeszcze się nie narodził. Gdzieś śpiewał ptak.

Poza tym ani jednego dźwięku na całym świecie.

Stał na wilgotnym od rosy płaskim kamieniu przed drzwiami i patrzył ku wschodowi. Niebo poczerwieniało. Pojawił się pierwszy promień słońca, lekki powiew musnął trawę i kwiaty, na podwórzu, na drodze, a także pośród zielonych iskrzących się rosą wzgórz zaczęły się kłaść długie błękitne cienie.

Pójdę do lasu, do Møltemoen...

Greta i inni, Greta i ja!

Jakie te cienie długie i błękitne.

Embret głęboko wciągnął powietrze i rzekł:

– Dziś będzie piękna pogoda!

Najpierw szli drogą przez wioskę. Starą wiejską drogą przeznaczoną dla kóz. Wiła się między wzgórzami i zboczami, prowadziła przez wszystkie gospodarstwa.

Embret od czasu do czasu rozpoczynał opowiadanie.

Minęli podwórze w Rolstad, gdzie za dawnych czasów co drugi mieszkaniec był od urodzenia półgłówkiem. Na odmianę pogody wieczorami duchy tych ludzi zawodziły na dziedzińcu. Wróżyły pogodę dla całej gminy.

Minęli Svartbekken. Dawno, dawno temu utopiła się tutaj dziewczyna. Ukochana założyciela Møltemoen. Skoczyła na głowę w głębiną. O tam, zaraz za mostem, jest głębia...

Embret opowiadał w drodze. Opowiadał dla Greta. A od czasu do czasu zerkał na nią.

– Co za gaduła dzisiaj z Embreta! – mruczała ze złością Gorina, idąca na samym końcu.

Z głównym traktem łączyła się zarośnięta trawą, kręta polna droga, prowadząca przez gliniaste stoki prosto do lasu. Należała do drobnych gospodarzy. Kończyła się w Skuggen przy zagrodzie leżącej na szczycie Kleiva. Dalej na hale wiodła ścieżka. Do Møltemoen można było jechać tylko zimą saniami po śniegu, latem wożono wszystko na koniu albo noszono na plecach w skrzyni. Kerstaffer Møltemoen zniósł do wsi na własnych barkach nawet żonę w trumnie, kiedy mu umarła nagle w same sianokosy.

„Z byle powodu miałbym jucznego konia najmować?” – powiedział.

W dawnych czasach twardzi ludzie mieszkali w Møltemoen. Ród ich wywodził się od mordercy. Ów pradziad Keretaffer zabił swego gospodarza i wtedy to jego ukochana się utopiła. Potem ostro zabrał się do lasu. Pobudował dom w Møltemoen. Osiadł tam w spokoju. Znalazł sobie żonę, miał dzieci, karczował las i żył dobrze. Do wioski jednak nie schodził nigdy. „Piekielnie lękam się ludzkiej gadaniny” – mówił ów Kerstaffer.



Greta dziwowała się: ile ten Embret wie!

Chwilami, gdy Embret zamilkł, Hans wabił ptaki wzdłuż drogi, a one mu odpowiadały. Wtedy Greta patrzyła na niego z podziwem.

Andersowi przyszło na myśl, że po wejściu do lasu, gdy zatrzymają się na odpoczynek, on mógłby stanąć na głowie i zapać jak kogut. Hans tego nie potrafi...

– Co za gaduła z niego dzisiaj!... – mruzczała Gorina, idąca na końcu.

W tym czasie wypadła przerwa w polnych robotach. Ludzie siedzieli w zagrodach, wychodzili na przyzbę, mężczyźni w samych koszulach, kobiety w nocnych kaftanikach. Nocne kaftaniki w czerwone i białe pasy służyły gospodyniom z małych gospodarstw jako codzienne bluzki. Wszystkie były rozczochrane, we włosach miały żdzbla słomy. W te ciche, spokojne dni nie warto było się stroić.

Skąd szli? Dokąd? Wszyscy ich o to pytali. Odpowiadali i szli dalej.

Minęli zagrodę w Skuggen. Przed południem docierał tu promień słońca. Gospodarz stał w progu zapatrzony w jego blask. On też chciał wiedzieć, po co tu przyszli.

– Chodźcie z nami, a zobaczycie – odpowiedziała Greta.

O, nie! Cóż oni sobie myślą, że on ma czas włączyć się jak głupi po lesie?

Och, a któż by tęsknił do jego towarzystwa!

Podszedł do nich i rozmawiał, ale tylko z Gretą. Oczy mu rozbłysły. Ale Grecie też oczy błyszczały. Inni stanęli trochę na uboczu, nie mieszały się do rozmowy.

Kiedy dowiedział się, dokąd szli, towarzyszył im na górę i przez las. Coś tam mruzczał, że nie ma pewności czy znajdą drogę, to może lepiej... Zaledwie uszli pół drogi, zaczął zwalniać kroku, stanął, obejrzał się w tył, popatrzył w przód:

– Nie... chyba lepiej zawrócę do domu...

Nikt mu na to nie odpowiedział, zaczął schodzić w dół drobnym kroczeniem. Po jego plecach widać było, jak ogromnie jest przygnębiony.

– Idź, idź do domu! – powiedziała półgłosem Greta. Przez chwilę nikt się nie odezwał.

Greta naprawdę była osobliwa.

Odkąd przysła do służby, mężczyźni nie wychodzili z kuchni do czeladnej zaraz po skończonym posiłku. Przesiadali długo, gawędzili z nią. Ale nie rozmawiali spokojnie jak zwykle – wszyscy wyglądali dziwnie podnieceni, jakby złość ich brała, a mimo to uderzali się po udach i ryczeli ze śmiechu. Nie ruszali się z miejsca, lecz wrogo spoglądali na siebie spod oka, śmiali się głośno, gorączkowo, a jednocześnie jakby mieli ochotę walić pięścią w stół i

skakać sobie wzajemnie do oczu, co nieraz zdarzało się podczas przyjęć czy na tańcach, jak wtedy, gdy ogarnia ich nadmierna wesołość, gdy wielu jest lekko podpitych, a bójka i morderstwo czyhają za progiem.

Greta stale zachowywała się jak na tańcach. Kiedy oglądając się przez ramię rzuciła ciętą odpowiedź temu czy innemu pyskaczowi, krygowała się przy tym jak w tańcu i nieraz bywało, że dowcipniś, który przed chwilą chichotał z własnego konceptu, od razu poważniał, a obecni wybuchali śmiechem. I wówczas źle patrzyło z oczu takiemu człowiekowi... Najczęściej jednak tylko mizdrzyła się i robiła oko. Szczególnie jeśli Halvor ją zaczepiał.

Czasem któryś z mężczyzn próbował objąć ją wpół, podczas gdy podawała do stołu i krzątała się dokoła nich. Lepiej by jednak tego nie robili, bo biła, aż klaskało, choćby to był sam Halvor. Po czym pokazywała w uśmiechu lśniące zęby, a na jej policzkach zaznaczały się dwa głębokie dołki. Była to dziewczyna dosyć pełna, o jasnej cerze; głowę jej otaczała aureola złocistych włosów, jeśli ktoś opowiedział dowcip, rumieniła się, a jej błękitne oczy robiły się ciemniejsze – jakbyś zajrzał do studni.

Anders przyglądał się temu wszystkiemu. Dorośli nie brali go pod uwagę, z niczym nie kryli się przed nim, wszak był tylko chłopcem.

Że też dorośli mężczyźni nie wstydzą się tak kochać w dziewczynie! Że też nie wstydzą się tego okazywać! Nie, nie mają wstydu – szczerzą zęby, popisują się. Anders siedział w kuchni przy stole, patrzył i nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Wstydził się za nich wszystkich.

Oczywiście wielu nie zdawało sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje. I właśnie za tych, którzy sami niczego nie rozumieli, Anders wstydził się chyba najbardziej.

Najgorsze jednak było to, że okropnie wstydził się za Grete.

Mogłaby przynajmniej powstrzymać się od drażnienia ich. Mogłaby chociaż nie odcinać się ciągle i nie odpowiadać na zaczepki. Mogłaby nie chodzić po kuchni tanecznym krokiem, kiedy ludzie na nią patrzą. Mogłaby nie kręcić głową i nie śmiać się, gdy im odpowiada.

Dobrze, że chociaż bije po łapach, kiedy próbują ją obejmować. Ale powinna bić mocniej, po kilka razy – powinna walić, póki by nie piszczeli z przerażenia, że ośmielili się jej dotknąć. O, on by ich wybił, stłukłby ich... gdyby tylko był starszy...

Gdyby teraz zerwał się... Gdyby krzyknął: „Dosyć, bo...!” wybuchnęliby śmiechem, ryczeliby ze śmiechu, uderzaliby się po kolanach i kpili, kpili – Anders czuł, że mu uszy poczerwieniały, aż pałą.

Siedział cicho i patrzył. Siedział w kuchni za stołem, patrzył i śmiał się razem ze

wszystkimi. A uśmiech ten wydawał mu się upokarzającą maską na twarzy. Myślał: Poczekajcie, niech tylko dorosnę... Dam ja wtedy Halvorowi, dam Antonowi, dam Embretowi... będę bił, bił, bił tego Halvora, będę...

Ale do tego jeszcze bardzo daleko.

Śmiał się ze wszystkimi. Śmiał się odrętwiałą twarzą. I robił to bardzo dobrze. Czasami jednak nie dojadł, bo wywołanie uśmiechu kosztowało go niemało trudu.

Uszli kawał drogi. Wzgórza ciągnęły się nieprzerwanym pasmem, wszyscy umilkli. Bez słowa pięli się pod górę. Szli kolejno przez gąszcz jodłowego lasu i otwarte wrzosowiska, mijali wyschnięte łożyska potoków i podmokłe tereny, polany zarośnięte wysokimi paprociami. Niektóre stoki były długie i strome, gęsto zalesione, obfitowały w jagodowe krzaki obsypane ciemnogrnatowym owocem. Weszli głęboko w las, od czasu do czasu podrywał się ogromny ptak, zauważyli ślady łośi, pachniało czarnymi jagodami, igliwem i żywicą. Słońce prażyło. Mrówki biegały po ścieżce.

– Dochodzimy do Vardberget! – obwieścił Embret.

W tej samej chwili las się skończył, stanęli na otwartym, prawie zupełnie pozbawionym drzew, skalistym terenie, gdzie rosło tylko trochę mchu i pojedyncze karłowate sosny. W którą stronę spojrzysz – widać niebo. Na wprost ciągnęły się moczary oraz wrzosowisko i kępy moroszki. Zniekształcone karłowate sosny na wpół uschnięte spoczywały na torfowiskach niby zwłoki. A wszędzie dokoła góry, góry, łańcuchy szczytów. A nisko w dali, bardzo daleko, błękitniała dolina, w której leżała ich wioska.

W znacznej odległości na ciemnym tle grzbietów rysował się jasnozielony prostokąt. To Møltemoen. Małutka zagroda wyglądała jak dziecko zagubione w boru.

– No, jesteśmy w połowie drogi do Møltemoen! – rzekł Embret.

Usiedli na spoczynek.

Hans naśladował gwizdanie kosa i pianie spłoszonego cietrzewia.

Anders namyślał się chwilę, potem stanął na głowie i zapiał jak kogut.

Wszyscy ucichli.

Następnie Embret znowu podjął opowiadanie.

– Møltemoen, tak, tak... Była tam kiedyś służąca, nazywała się Berta. A taką miała naturę, że nigdy nie potrafiła odmówić. Kiedy się o tym dowiedzieli, ten i ów zaczął chadzać do Murusetra w sobotnie wieczory, a nieraz i w tygodniu, bo dziewczyna była ładna, swawolna i dała się lubić.

...Aż pewnego wieczoru jesienią, kiedy zmrok wcześniej zapada – tak, tak na jesieni to

się działo – Berta poszła spać i druga dziewczyna do krów też się już położyła. Każda w oddzielnym łóżku sypiała – he he! – Berta się o to postarała! Przyszedł chłopak i zakradł się do Berty.

Ciemno było na dworze, a jeszcze ciemniej w chacie, bo ogień wygasł na kominie.

...Berta nikomu nie odmawiała. Tym razem też nie pisnęła ani słowa. A obcy chłopak też się nie odzywał.

...Sporo czasu u niej spędził, ale nie całą noc – kiedy wstał i zabierał się do wyjścia, jeszcze było ciemno.

...Dopiero gdy znalazł się w progu, zamienili pierwsze słowa; Berta zapytała: „A skąd to jesteś, żebym wiedziała... w razie czego?”

A chłopak na to:

W ciemności przychodzę, w ciemności odchodzę.

Tjöstöl imię moje, z Möltemoen pochodzę.

– Ojoj, ale uczciwy!

To Greta wybuchnęła śmiechem, klasnęła w ręce i wołała z podziwem:

– Ojoj, ale uczciwy!

Embret przerwał i patrząc na nią przymrużonymi oczami powiedział:

– Barana nie obwiniaj za to, że ma wełnę, a mężczyzny za to, że uczciwy!

– Hi hi hi! – chichotała Gorina.

Embret ciągnął dalej:

– Nic dobrego z tego nie wynikło, dziecko przyszło na świat. Tjöstöl ożenił się z dziewczyną. Ale ile razy szedł do wsi, zamykał drzwi na klucz. Okna na mur zabił. Kobieta musiała czekać w zamknięciu, póki nie wrócił. Dawniej tu w lasach nigdy nie było zamków u drzwi.

...Ludzie dla żartów mówili, że jej dzieci nie są podobne ani jedno do drugiego, ani do rzekomego ojca. Z wyjątkiem pierwszego. Ale i to – jak wszyscy twierdzili – podobne do całej gminy.

– A wstrętni! Jak można tak mówić! – Gorina smętnie westchnęła.

Embret opowiadał dalej:

– Pytano Tjöstöla, czemu zamyka drzwi, ilekroć schodzi do wsi, bo Tjöstöl był łagodny, o wszystko można było go zapytać. Odpowiadał, że to na wypadek, gdyby niedźwiedź przyszedł.

...W tamtych czasach niedźwiedzie spotykano tu w górach; ojciec Tjöstöla, ów Kerstaffer, który zniósł żonę w trumnie do wsi, napotkał raz niedźwiedzia...

Embret wskazał na miejsce położone niżej na zboczu:

...O, tam. Rosła tam jodła, wysokopienna. Prawdziwe masztowe drzewo. Tak, to tam. A kiedy to było? – po tym jak Kerstaffer zaniósł kobietą na cmentarz. Ale zanim Tjöstöl się ożenił. Co prawda Kerstaffer posuwał się w latach, ale nadal pozostał rosły a silny. Często chodził na ptaki, czasem ze strzelbą, czasem zastawiał sidła.

...Ostatnio zauważył, że ktoś mu kradnie ptaki. Złość go porwała i postanowił, że jak chwyci złodzieja, drogo mu za to każe zapłacić – bo Kerstaffer był ogromnie porywczy.

...Aż tu pewnego dnia na jesieni, pora była trochę późniejsza niż teraz, Kerstaffer obchodził sidła. Jednego ptaka znalazł, ale w innym miejscu zauważył, że drugiego ktoś zabrał. Wściekły był. Doszedł w końcu do sideł zastawionych pod jodłą, patrzy, a tu chłop jakiś stoi pochylony nad wnykami. Nie posiadał się z gniewu, chwycił tego ptaka, co go znalazł, i z całej siły grzmotnął nim złodzieja w plecy. „Ja cię nauczę kraść moje ptaki!” – zawołał. Na to złodziej się obrócił, a nie był to żaden chłop, tylko niedźwiedź z ptakiem w łapie. Kerstaffer miał przy sobie siekiere, więc się nią zasłonił. Niedźwiedź następował, a Kerstaffer się cofał. Usiłował zachodzić tak, by go jodła odgradzała. Krył się za nią, ale niedźwiedź gonił za nim i łapę wyciągał. Kerstaffer ciął siekiere, niedźwiedź cofnął się trochę i znowu ruszył do przodu. Kerstaffer musiał uciekać. Pół godziny krążyli dokoła jodły – a może i parę godzin, kto tam wie. Kerstaffer uchodził, a niedźwiedź za nim. Wydeptali ziemię dokoła drzewa tak, że jeszcze po kilku latach widać było głęboką bruzdę. Zwierz nie nacierał ostro, bał się ostrza siekiery, a Kerstaffer bał się uderzyć, bo zanim by się zamachnął, niedźwiedź by go dosięgnął. Niedźwiedź jest szybki w ruchach, najszybszy ze wszystkich zwierząt, podobno dziesięć razy zwinniejszy od najzwinniejszego mężczyzny. W końcu Kerstaffer, nie widząc innej rady, odskoczył od jodły i ruszył ścieżką przez halę, a znał ją jak własną kieszeń. Niedźwiedź za nim. Tak przeszli całą drogę – Kerstaffer bez przerwy wywijał a wywijał siekiere, za nim niedźwiedź, który co chwilę wyciągał po niego łapę. Musieli minąć cztery wzgórza, co niełatwo zrobić idąc tyłem – ale Kerstaffer znał drogę jak własne klepisko, to i poradził sobie. Od czasu do czasu niedźwiedź stawał na czterech łapach i usiłował chwycić Kerstaffera za nogi. Wtedy Kerstaffer trącał niedźwiedzia ostrzem siekiery w nos i miś cofał się trochę. Nareszcie doszli do ogrodzenia w Møltemoen. Kerstaffer pomyślał: „Teraz koniec ze mną”. Jak tu przejść przez płot. Ale w tej samej chwili niedźwiedź zaczął węszyć; węszył i węszył – pewno dym z komina mu się nie podobał. Przystanął, jakby się namyślał, a potem zawrócił i umknął cicho niby kot. Kerstaffer ledwo trzymał się na nogach;

tak go z nóg ścięło, że długie lata z domu nie wychodził. I od tego dnia bał się śmiertelnie, wolałby nosa za próg nie wystawiać. Do lasu i w sto koni by go nie wyciągnął. Ale każdemu, kto go odwiedził, chętnie opowiadał o spotkaniu z niedźwiedziem. „Bać się to nie bałem – mówił – nie więcej jak w tej chwili.” I płakał; bo od tamtego dnia nauczył się płakać.

...Później nikt ani razu nie widział w tym lesie niedźwiedzia.

W Møltemoen zastali samą gospodynię i syna wyrostka. Tjöstöl miał na imię Kerstaffer i najmłodszy Sjönnie poszli do sąsiedniej gminy z jagodami i...

Chłopak bez słowa nanosił drzewa i wody, dołożył do pieca, usiadł pod ścianą na stołku wyciosanym z pnia i siedział. Strugał stylisko do siekiery i patrzył szeroko otwartymi oczami. Potem poszedł do lasu po krowy. Kobieta podała kwaśne mleko i śmietanę. Chłopak wrócił, usiadł w milczeniu na pniaku, kobieta rozmawiała, zadawała pytania, Embret, Gorina i Greta odpowiadali, jedli i odpowiadali. Chłopak ciągle strugał stylisko i patrzył, patrzył na Gretę. Najpierw oczy robiły mu się coraz większe, większe, a potem coraz mniejsze, niniejsze i znowu się rozszerzały. A przy tym strugał i strugał.

Zanim skończyli jeść, prawie nic nie zostało ze styliska.

Greta zerkąła na chłopaka od czasu do czasu. Przekrzywiła głowę i kącikiem oka zerkąła na niego.

Kobieta zaprowadziła ich do letniej obory.

Obora była otoczona płotem, wrota znajdowały się od strony lasu. Nieco wyżej, na ogrodzonym skrawku łąki, pasł się byk.

– Ostatnio tutaj trzymamy byka – rzekła gospodyni – bo okropnie wariował za krowami. A dla ludzi też jest trochę niebezpieczny, więc lepiej, żeby nie chodził na swobodzie – określiła się, zafurkała spódnicą i pogroziła bykowi.

Krowy były piękne.

– Pójdziemy tędy prosto w las – powiedziała kobieta. – Przynajmniej nie będziemy drażnili byka.

Zawrócili na ścieżkę. Przedtem jednak Greta poszła do obory razem z chłopakiem, chciała dać krowom trochę soli z mąką. Prawie natychmiast wyskoczyła z powrotem, lekko zdyszana, z włosami w nieładzie. Za nią wyszedł chłopak z nieco dziwnym wyrazem twarzy. Oddalił się wzdłuż ogrodzenia z głową do góry zadartą – nawet z tyłu było widać, że jest niezadowolony.

Odwiązali krowy i wygnali je na dwór.

Wszystkie już wyszły i ruszyły w drogę, gdy nagle przekłęta głupia Raina zatrzymała

się, zawróciła łeb w stronę pastwiska i zamruczała, zupełnie jakby wołała. Nie potrzebowała wołać dwa razy – w zaroślach coś zatrzeszczało, zadudniło, i byk ciężko dysząc i porykując rzucił się prosto na ogrodzenie.

– Muuuuuu! – wołała Raina.

Ogrodzenie trzeszczało, ale niełatwo było je obalić, gdyż tworzył je żywy las: mocno powiązane młode sosenki. Byk odsądził się, jeszcze raz natarł na płot, aż ziemia jęczała.

– Muuuuuu! – nawoływała Raina oglądając się, lecz jednocześnie biegła naprzód drogą to truchcikiem, to znów w podskokach. Hans pochylił się, chwycił kół leżący pośród paproci, pobiegł do palisady i zanim byk trzeci raz zdążył natrzeć na płot, przywitał go mocnym uderzeniem w kark. Byk ryczał, Raina zmykając muczała, a Hans zza ogrodzenia okładał byka. Greta gonila Rainę, za nimi biegł Anders z kijem. Dosięgnął krowę i stwierdził, że bije ją z przyjemnością. Zupełnie jakby jednocześnie bił kogo innego i za co innego.

– A masz! A masz! Należy ci się, należy ci się, masz! – Bił Rainę, a krowa podkuiliła ogon między nogi i uciekała.

Greta biegła obok, trzymając krowę za postronek.

– Biedna krówka! – Greta nie zatrzymując się poklepywała krowę. – Biedna krówka! Nie bój się już teraz, nie! Wstrętny byk! Nie bój się! Wstrętne, obrzydliwe byczysko!

Uwieszona u postronka biegła żwawo, lekko roztrącając paprocie i poklepywała Rainę, łagodnie do niej przemawiała, niewiele brakowało, by objęła za szyję głupią czerwoną krowę. Mało brakowało, a chwyciłaby także za szyję Hansa, który przebiegł obok nich spocony, przejęty... Ze złością zwróciła się do Andersa, który właśnie skradał się w zamarzę uderzenia raz jeszcze Rainy po zadzie.

– Jak możesz bić biedną, pocziwą Rainę!

– To czemu muczała!

Greta zdawała się nie słyszeć słów Andersa.

– Biedna krówka! Jaki niedobry dla biednej krówki?

Nikt nie słuchał, co Anders mówił.

Powrót do domu trwał długo. Wracali w milczeniu.

Zanim doszli do domu, zaczynało się ściemniać. Jakiś cień oderwał się od ściany obory, to Halvor na nią czekał. Pomógł zagonić krowy do przegród. W oborze było ciepło, zacisznie. Odzywały się tutaj znajome przyjazne głosy innych krów. Raina tęsknie muczała: – Muuuuuu!

Po wyjściu na dwór zauważyli, że w oborze została Greta i Halvor. Greta kończyła

wieczorny obrząd koło bydła, Halvor jej pomagał. Słyszeli jego niski, stłumiony głos. Jej głos także dawał się słyszeć, lecz nie brzmiał ani wesoło; ani zaczepnie, jak nieraz dawniej, a raczej trochę lękliwie i niepewnie.

Hans stał najbliżej wrót obory. Pochylił się, wziął kamień leżący u jego stóp i podniósł go w górę, jakby chciał w kogoś cisnąć – po chwili rzucił go na ziemię. W półmroku wydawał się bardzo blady. Embret i Gorina ociągali się z odejściem. Czekali na Grete – należało już wracać na wieczerzę. Bardzo dużo czasu zajmuje jej ten wieczorny obrządek. Okazywali coraz większe zniecierpliwienie.

– Ciekawym, jakie uczucie ma się w takich razach? – głos Goriny brzmiał niezwykle gniewnie.

Embret odpowiedział nieco spokojniejszym tonem:

– O, wiesz, to jakby... klucie w bolącym palcu.

Trzej ludzie, którzy cały dzień starali się przypodobać Grecie stali w oczekiwaniu, a w oborze został z nią ten, który po prostu przyszedł i narzucił się jej.

Anders czekał jeszcze chwilę, po czym pędem uciekł. Uciekał, jakby chciał ratować życie – okrążył spichrz, pobiegł przez łąki i rzucił się na trawę, ale poderwał się natychmiast i biegł dalej. Nie wiedział, co go tak gna. Natomiast nieustannie powracała myśl:

„Kiedy ja dorosnę! Kiedy ja dorosnę! Kiedy ja dorosnę!”

Pędził przez świeżo skoszone łąki, wzdłuż żółtych ściernisk. W końcu zbrakło mu sił, padł na trawę.

Nie wiedział, co się z nim dzieje, czuł się nieszczęśliwy, rozpaczliwie nieszczęśliwy. Był zupełnie sam, nie, jeszcze nie czuł się dość samotny... Musiał się zerwać i biec dalej...

Noc nadchodziła. Rosa opadła. Dzień miał się ku końcowi, noc jeszcze nie nadeszła. Niebo pozostało błękitne.

## Ta pierwsza

JAKIŚ ty głupi! – powiedziała.

Milczał.

– O, Boże! Jakiś ty głupi! Powinieneś powiedzieć: Kocham cię! Na to ja ci odpowiem: Kocham cię! i wtedy ty powinieneś mnie pocałować. Po prostu musisz to zrobić. Tak jest



napisane we wszystkich książkach.

Przyglądała mu się.

Nic nie odpowiadał.

– Powiedz: Kocham cię!

– Ko... – zaczął. Ani sposób wymówić tych słów. Niemożliwe.

– Ojjoj! Prawdziwy wiejski chłopak z ciebie. Prawdziwe wiejskie dziecko!

Zrobiła naburmuszoną minkę. Ale coś jej przyszło do głowy:

– Powiedz: Kocham się w tobie!

– Kocham się w tobie! – powtórzył tym razem bez trudu.

– No, już lepiej! – oświadczyła. – Jeszcze niezupełnie dobrze, ale już lepiej. Teraz możesz mnie pocałować.

– ...

– Jak to? Nie chcesz? A może nie potrafisz? Nie, coś podobnego, a matki nie całujesz?

– U nas nie ma zwyczaju całowania się. – Policzki mu płonęły, miał ochotę płakać.

Była ogromnie podniecona.

– O Boże, ci wieśniacy! – Przecież to należy do zwykłego dobrego wychowania. Ja cię nauczę.

Niezwykłe wrażenie. To dziwne uczucie pozostało mu na długo.

Ona także trochę przycichła. Patrzyła teraz w ziemię

– Czy jestem pierwszą, w której się zakochałeś? – spytała.

– Tak – odpowiedział.

To było kłamstwo.

– Ho ho! Anders chodzi z dziewczętami! – woła Ole, uderzając się po kolanach i ruszając nosem jak królik. Gunder, Erik i Per też uderzają się po kolanach:

– Ho ho! Anders chodzi z dziewczętami! Z pannami z miasta! – Erik rusza nosem jak królik. Gunder i Per tego nie potrafią.

Krążą dokoła i węszą; a może zaczęli się i podsłuchiwać ich rozmowy?

Zaledwie przyszło mu to do głowy, Skoczył Olemiu do oczu.

Gunder, Erik i Per przyglądali się. Erik głośno ryczał: Cha cha cha! – I oberwał – za każdym razem każdy z nich oberwał.

– Czy jestem pierwszą, w której się zakochałeś? – spytała.

– Tak, oczywiście – odpowiedział.

Ciągle zadawała to pytanie, chociaż o tym w książkach prawie nic nie piszą.

Chciał jej na to odpowiedzieć, ale przerwała mu.

– Nie. Nie wierzę ci. Zastanów się. Masz pięć minut do namysłu, dopiero potem mi odpowiesz. Ja tymczasem posiedzę nad wodą. Masz pięć minut.

Spojrzała na zegarek. Ona bowiem, chociaż nie była od niego starsza, miała nawet zegarek na długim łańcuszku zawieszonym na szyi.

Pierwsza...

Dobrze pamiętał pierwszą, chociaż wypierał się wszystkiego, jeśli Tora i Kari o niej wspominały, żeby go drażnić – a robiły to przez długie lata. Pamiętał ją dobrze.

Było to bardzo dawno temu, na Boże Narodzenie, na imię miała Anna.

Wszyscy razem siedzieli w izbie, zapalono wiszącą lampę, ogień płonął na kominku. Światło lampy padało na Annę. Podobała mu się, bo miała orzechowe oczy i gładkie krągłe policzki, rumiane jak jabłuszka. Ktoś trzymał go na ręku, pewno matka, on jednak chciał koniecznie, żeby ona wzięła go na ręce. Lubiał go, ale wyśmiewali się z niej – może jego siostry, może ktoś inny. Chyba jednak dorośli kpili z niej, bo pamiętał, że Tora i Kari siedziały sztywno na kanapie, gdy pozwolono im przyłączyć się do towarzystwa. Wobec ogólnych drwin przestawała go lubić i nie chciała brać na ręce. On tymczasem wydierał się do niej, a gdy usuwała się, krzyczał i płakał, koniecznie chciał ją dosięgnąć. Wszyscy wybuchali śmiechem, a wtedy ona mniej go lubiała, chociaż z płaczem wyciągał ręce.

Zdradziła go, ponieważ ludzie się śmieli.

Ona była pierwsza.

Druga – druga była dużo później. Co najmniej rok, może dwa. Także na Boże Narodzenie. Do Tora przyjechała w odwiedziny przyjaciółka, na imię miała Guri. Tora, Kari i Guri poszły do sypialni, żeby się przebrać w kostiumy, bo miały jechać kuligiem do sąsiednich dworów.

Wdrapał się za nimi na górę. Guri mu się podobała, bo miała wydatne kości policzkowe i skośne oczy – chciał zobaczyć, jak będzie się rozbierała.

Zakradł się do drzwi, wspiał się na palce i zajrzał przez dziurkę od klucza. Niestety, Tora go usłyszała. Sylwetka Guri zaledwie mu mignęła, a już Tora z trzaskiem otworzyła drzwi.

Grały mu na nosie i wołały: „Wstrętny smarkaczu, to ty podglądasz przez dziurkę od klucza!”

Wszystkie trzy go wyśmiały.

Ta była druga. Serce długi czas bolało Andersa.

Trzecia – trzecią on sam zdradził dlatego, że wszyscy z niego kpili.

Działo się to dużo później, wtedy już chodził do szkoły.

Na imię miała Ewa i była bardzo ładna.

Tora i Kari utrzymywały, że jest nieznośna. On jednak wiedział, że powoduje nimi tylko zazdrość; przecież Ewa nie mogła być nieznośna, skoro była bardzo ładna.

Ewa często pytała go o coś szeptem, jeśli nie umiała lekcji. Siedziała w tym samym rzędzie, po drugiej stronie przejścia. Nie śmiał jej podpowiadać, ale jednocześnie nie mógł tego nie robić.

Codziennie dzwoniła i pytała o lekcje; Anders stopniowo doszedł do przekonania, że ona kocha się w nim. To znaczy nie był całkiem pewien, bo była dosyć głupiutka – właściwie potwornie głupia – więc może naprawdę nic z lekcji nie zapamiętała.

Natomiast Tora i Kari nie miały wątpliwości, szczególnie Tora. Wyśmiewała się z niego, ilekroć Ewa dzwoniła, drażniła się z nim, opowiadała jaka ta Ewa nieznośna.

A jej brat był tak okropny, że rodzice nie wiedzieli, co z nim począć, włóczył się po drogach i przezywał ludzi...

Ewa zaczęła dzwonić do niego codziennie! Cha cha cha cha!

Kari pod każdym względem wierzyła Torze i też się śmiała: Cha cha cha cha!

Tańczyły dokoła niego: „Cha cha cha cha! Ewa dzwoni codziennie! Cha cha cha cha!”

Wstydział się. Wyśmiewały się z niego, więc się wstydział i było mu wstyd, że się wstydzi. Z tonu jakim Ewa rozmawiała z nim przez telefon, odgadywał, że miała ochotę zaproponować, aby się spotkali i poszli razem na ślizgawkę. On też miał na to ochotę, lecz obok stała Tora oraz Kari i drwiły z cudzego nieszczęścia, więc złość go brała na Ewę i nic nie mówił.

– Moim zdaniem powinieneś jej powiedzieć, żeby przestała do ciebie dzwonić – oświadczyła Tora pewnego dnia.

I zaczęła powtarzać to codziennie, po zwykłej porcji drwin.

Matka podzielała jej zdanie. Tora naplotkowała!

Anders wiedział, że coś musi wymyślić. W końcu pewnego dnia, gdy Ewa zadzwoniła, a Tora i Kari stały obok niego, powiedział:

– Myślę, że powinnaś przestać dzwonić do mnie!

Ewa nic na to nie odpowiedziała. Usłyszał w telefonie „Ach!” – i nic więcej.

Czekał ze słuchawką w ręku.

Tora i Kari milczały.

– Powieś słuchawkę! – rzekła Tora nie patrząc na niego. A potem dodała: – Dobrze jej tak! Jak można codziennie dzwonić...

Unikali się wzajemnie aż do wieczora.

Od tej pory Ewa nigdy o nic nie pytała szeptem. Ani razu na niego nie spojrzała. Ani razu nie zatelefonowała.

Później jej rodzice wynieśli się z tych okolic i nigdy więcej jej nie spotkał. Jednakże nie mógł jej zapomnieć.

Ilekcóż postąpił niewłaściwie, powracało wspomnienie o Ewie.

Czy to nie Gunvor była czwarta? Nie, na pewno nie; przed nią były inne. Ale kto potrafi wszystkie zapamiętać? Anders w żadnym razie. Od czasu do czasu coś sobie przypominał i znowu zapominał. Zresztą nie można ciągle myśleć o dziewczętach.

Gunvor nie była czwarta ani piąta. Ale dopóki była, była jedyna. A w każdym razie była jego największą miłością.

Nigdy nie dowiedziała się o tym!

A może wiedziała?

Bardzo pragnął, żeby wiedziała – nie! Pragnął, żeby nie wiedziała.

Czemu jej tego nigdy nie powiedział, albo nie okazał... To było niemożliwe. Była od niego starsza więcej niż o rok – w szkole siedziała bardzo daleko – trzy miejsca w lewo i dwa rzędy bliżej katedry. Zawsze pamiętał ją z tyłu i trochę z boku – widział jej policzki i szyję. Od czasu do czasu dostrzegł orli nosek, jeśli oglądała się podczas lekcji lub wywołana do odpowiedzi kręciła się, bo nic nie umiała, co często się zdarzało. Nie była zbyt mądra.

Prawdę mówiąc, niczym się nie odznaczała – wiedział o tym dobrze. Cały czas o tym wiedział, ale to w niczym nie ułatwiało sytuacji. Przeciwnie – jeszcze ją komplikowało.

Właściwie trudno było cokolwiek o niej powiedzieć. Po prostu nie była ani mądra, ani wyjątkowa. Nawet nie nieznośna. Nigdy nie powiedziała nic nieoczekiwanego. Jeśli zaczynała zdanie, od razu było wiadomo, jak je zakończy, a nawet jak będzie brzmiało następne – zupełnie jakby ciągle te same zdania powtarzała w kółko.

Głos jednak miała piękny.

Fakt, że była głupia, nie miał znaczenia. Ani nie pomagał, ani nie przeszkadzał.

Anders zaczął czytać powieści, wiedział zatem, że to jest przeznaczenie.

Inni też kochali się w niej. Czasem bili się o nią, aż do krwi. Kilku chłopców mieszkało w tej samej stronie co i ona, chodzili więc razem do szkoły. Ta myśl ogromnie

bolała Andersa. Mogli jej towarzyszyć codziennie.

O czym z nią rozmawiali? O czym u licha w ogóle z nią rozmawiali?

Zimno mu się robiło, gdy wyobrażał sobie, że idzie obok niej i ma znaleźć temat do rozmowy.

A ona? W takim wypadku ona po prostu patrzyłaby na niego pięknymi, głupimi oczami i czekała, póki on nie zacznie rozmowy.

Świadomość, że taka sytuacja nigdy zajść nie może, była niemal pocieszająca. Nigdy nie miał sposobności do nawiązania z nią rozmowy. Siedziała bardzo daleko: trzy miejsca w lewo i dwa rzędy w przód – a do szkoły przychodzili każde z innej strony.

Jeśli od czasu do czasu podczas pauzy znalazł się w jej pobliżu – nie mógł słowa wymówić. To było niemożliwością. Pocił się, pragnął umrzeć. A potem, niby to czymś zajęty, odchodził lub uciekał. Zdarzało się, że uciekał pędem...

Aż nareszcie tego lata poszli z wycieczką na halę.

Jakim sposobem ojciec wpadł na pomysł zaproponowania, aby szkolne wycieczki chodziły na jego halę...

Anders zapamiętał dokładnie cały dzień. Zapamiętał, jak wszyscy chłopcy jej nadskakiwali.

W drodze powrotnej nagle znalazła się obok niego. Był od niej wyższy, z czego przedtem nie zdawał sobie sprawy. Cały czas na niego patrzyła. A on pomyślał sobie, że jej piękne oczy chyba nie mają głupiego wyrazu.

Uśmiechnęła się: – Taki jesteś milczący.

Przeraźliwie zmieszany zawołał: – Oj, zapomniałem czegoś! – zawrócił i pobiegł pod górę. Wrócił stromą halną ścieżką aż na pastwisko.

Niczego nie zapomniał.

Biegł przekonany, że musi pędzić do upadłego.

Przeskoczył ogrodzenie, rzucił się na trawę pod zboczem. Miał wrażenie, że znalazł wyjście, a w każdym razie, że dał czemuś upust. W ustach czuł słony smak krwi. Poleżał, uspokoił się, usiadł i żuł listki szczawiu.

Wtem powróciło to samo co zawsze przykre wrażenie – wrażenie, że to wszystko już miało miejsce, że to wszystko wydarzyło się kiedyś, dawno temu... leżał w tym samym miejscu, ona schodziła w dół, uśmiechnęła się, gdy zawrócił i uciekł, odeszła z innymi... Widział ten obraz. Już kiedyś widział taki sam obraz.

Siedział, póki znowu nie zaczął spokojnie oddychać. A potem co sił pobiegł tą samą drogą w dół.

Z uczuciem ulgi, zawstydzienia i zmieszania patrzył, kto jej teraz towarzyszy. Ach tak, to on – wiedział o tym od dawna.

Ozy wiedział? A może po prostu tego pragnął...

Od owego dnia upłynęły dwa tygodnie.

– No i co? – spytała. – Namysliłeś się?

Zupełnie o niej zapomniał.

A więc minęło już pięć minut!

– Tak – odpowiedział – zastanowiłem się.

– No i co? – powtórzyła pytanie.

Jeżeli jej odpowie, że jest pierwsza, zarzuci mu ręce na szyję, przytuli się do niego i pocałuje go.

Patrzyła na niego dużymi oczami pełnymi spokoju.

– Ty jesteś pierwsza – powiedział.

Jest jej rycerzem. Wybuduje dla niej zamek, kupi jej wierzchowca. A także sokoła, sokoła do polowania.

Ogromnie się zapaliła do tego wierzchowca. Musi mieć czarną rozwianą grzywę i pędzić cienistymi ścieżkami przez wielkie bory. Potem jednak namysliła się – on nie może być jej rycerzem, ponieważ matka powiedziała, że nie można wychodzić za mąż za kogoś, kto nie ma ośmiu tysięcy, bo przecież musi starczyć co najmniej na trzy pokoje z kuchnią i służbowym. A wiejski chłopak, taki jak on, nie wie, co to jest pokój służbowy. No i nie ma ośmiu tysięcy.

Często coś napomykała na temat wieśniaków, a była tak głupia, że miał ochotę ją wytłuc.

– Ci goście z miasta, którzy mieszkali w Berg, wyjechali wczoraj! – powiedział ktoś w kuchni.

Wyjechali wczoraj!

Nie pokazała się. Ani słowem nie uprzedziła.

Kuchnia wydała mu się nagle ogromna. Długo szedł, zanim z niej wyszedł.

Tego samego dnia dostał od niej list.

*Kochany Andersie!*

*Już wyjeżdżamy. Znowu zacznę chodzić do szkoły i bardzo się tego obawiam. Idę do trzeciej klasy szkoły średniej, będę miała mnóstwo lekcji niemieckiego, ale ty tego języka nie znasz. Będę o Tobie myślała. Ty musisz ciągle myśleć o mnie i o nikim innym.*

*Twoja*

*Alfhilda*

Pierwszy list, jaki dostał przez pocztę! Trzymał go w zaciśniętej pięści w kieszeni, co chwila wyjmował go, czytał, znowu miał w ręku, aż w końcu list zamienił się w brudny, cienki zwitek papieru.

Potem zginął, Anders nie wiedział, co się z nim stało.

## Żmija

ŻYCZE ci powodzenia! – powiedział ojciec wesoło.

Ojciec gdzieś wyjeżdżał, koń zaprzęzony do kariolki już czekał. Przed wyjazdem obejrzał się jeszcze raz w stronę Andersa i dodał:

– Jeżeli potrafisz, możesz zabić wronę. Wiesz, że wrony kradną nam jajka i kurczęta. Bądź jednak ostrożny podczas naszej nieobecności.

Kariolka zaturkotała na szosie. Anders został sam za izbą czeladną. Sam z nową strzelbą. Dopiero teraz uświadamiał sobie, że to jest prawda: dostał prawdziwy flower, śliczny flower. Na własność. A do tego jeszcze była niedziela, piękna słoneczna pogoda i jego urodziny! Cieszył się! Ach, jak się cieszył!

Ważył flower w ręku. Oglądał brązową kolbę. Prawdziwy hikor, najpiękniejszy gatunek drzewa na całym świecie. Najstynniejsi narciarze z niego mają narty.

Obejrzał lufę. Lśniąca, błękitnawa stal. Ojciec powiedział, że to jest stal oksydowana. Wygląd ma zimny i niebezpieczny – Anders wspomniał żmiję zabita przed wielu laty koło pralni. Cały wieczór przeleżała na pagórku lśniąca, ciemnobłękitna, niebezpieczna. W końcu wrona porwała ją i uniosła, ciężko łopocząc skrzydłami. Żmija zwisała jej z dzioba wstrętą, trójkątną głową ku ziemi.

Zajrzał do lufy. Zdawała się patrzeć na niego czarnym okiem.

Strzelba... Ktoś o niej powiedział: mordercza broń.

Anders nie zamierzał zabijać żywych stworzeń. Ani wron. Ani żadnego zwierzęcia. Pamiętał dobrze wydarzenie, jakie miało miejsce ubiegłego lata w spichrzu. Przyglądał się, jak Embret przerzucał zeszłoroczne siano długimi widłami. Wtem usłyszał cienki pisk, niewiele głośniejszy od cichego gwizdnięcia, a mimo to wyjątkowo bolesny i przeszywający. Embret przebił widłami mysz siedzącą w sianie. Nadziała się jak na rożen, cienko piszczała konającym głosem, a tymczasem małe łapki szybko przebierały w powietrzu. Na ten widok Andersowi zrobiło się niedobrze.

Nigdy nie będzie zabijał zwierząt.

Można natomiast strzelać do celu. W kieszeni miał dwadzieścia pięć naboí.

Dwadzieścia pięć naboí. Pięć wystrzela w ścianę czeladnej. A może dziesięć? Tak, dziesięć. Pięć do starych kartofli, które ponabija na sztachety. Pięć przeznaczona na szyszki na wysokiej jodle nad rzeką. Pozostanie jeszcze pięć. Później coś się wymyśli.

Powiesił na ścianie czeladnej izby nową tarczę z tektury z polami punktowymi i czarnym środkiem. Potem cofnął się na odległość dwudziestu metrów.

Wycelował i nacisnął cyngiel. Lekkie uderzenie w ramię, zapach prochu, dziurka od kulki w tarczy, a gdy podszedł, by obejrzeć ją z bliska, poczuł woń nagranych w słońcu drewnianych bali i smoły, którą były pociągnięte. Ach, jak przyjemnie: słońce, urodziny, niedziela – tyle miłych rzeczy naraz, a do tego jeszcze dostał flower – był uradowany. Wystrzelił trzykrotnie, odrzucił łuski – leżały u jego stóp w trawie, smuga błękitnego dymku snuła się w powietrzu. Nagle usłyszał za sobą kroki. Szybko załadował nowy nabój, potem dopiero się obejrzał.

Amund!

Od pamiętnego dnia na łące Anders nieraz spotykał Amunda. Nigdy jednak z nim nie rozmawiał.

Amund zmężniał od tej pory i stał się jeszcze urodziwszy. Wysoki, barczysty, przerósł własnego ojca. Wzrostem przewyższał wszystkich mężczyzn w całej gminie. Na pewno był też najsilniejszy.

I nie tylko to!

Grał na skrzypcach. Poza tym miał w sobie coś... Kiedy szedł drogą, właściwym sobie niedbałym i dumnym krokiem, można było poznać go z odległości tysiąca metrów.

Anders stawał się niezgrabny, sztywny i milczący, jeśli Amund znajdował się w pobliżu. Później natomiast ogarniało go podniecenie, czuł się nieszczęśliwy.

Teraz Amund tu przyszedł!



– Aha, to ty strzelasz – powiedział. W jego słowach brzmiało jak gdyby zdziwienie.

Podszedł do tarczy i rzucił na nią okiem: Anders jednym strzałem trafił prawie w samo centrum. Potem wrócił znowu do Andersa.

– Strzel jeszcze raz, zobaczę co potrafisz.

Anders strzelił, ale ręka mu drżała, toteż kula przeszła mimo tarczy. Amund roześmiał się.

– Daj mi ten flower, ja ci pokażę, jak się strzela. Ile masz naboii?

– Dwadzieścia – odpowiedział Anders.

Miał dwadzieścia jeden, dobrze o tym wiedział, ale powiedział dwadzieścia.

– No to daj ze dwa, trzy – rzekł Amund.

Anders wyjął naboje z kieszeni. Jeden, dwa, trzy... Szkoda. Ale skoro Amund tu przyszedł i chce razem z nim strzelać... Odliczył pięć naboii i podał je Amundowi.

Amund nabił i strzelił, jeszcze raz nabił i strzelił. Trafił bliżej lub dalej między koła, lecz ani razu w czarny punkt centralny.

Zużył pięć naboii.

– Daj jeszcze pięć.

Anders dał mu znowu pięć naboii. A przy tym myślał: Jutro dostanę nowe, jutro... wszystko jutro. To nie ma znaczenia...

Amund nabijał i strzelał. Anders nigdy nie przypuszczał, że można tak prędko wystrzelać tyle naboii.

Już poszło dziesięć, a Amund jeszcze nie trafił w centrum. Zastanowił się chwilę, tymczasem Anders myślał: To niemożliwe, a jednak nie trafił, coś nieprawdopodobnego...

– Musisz mi dać jeszcze pięć naboii – oświadczył Amund. – No i załóż nową tarczę. Ta musi być jakaś niedobra.

Anders dał mu pięć naboii. Powiesił nową tarczę. Amund nabijał i strzelał. Raz za razem. Głośny huk, chmurka dymu z lufy, lekki zapach prochu i ślad na tarczy.

Ani razu nie trafił w centrum! Jeden strzał wyszedł poza obręb tarczy. Amund nie umiał strzelać. Strzelał gorzej niż Anders.

Naboje mu się skończyły.

Amund stał chwilę w milczeniu.

– W domu masz jeszcze dużo naboii? – spytał Amund.

– Tak... to znaczy... – Anders nie chciał wyznać, że ojciec schował je pod kluczem.

– A no jak tak, to daj mi jeszcze pięć. Teraz spróbuję strzelać w centrum.

Amund strzelał dalej. Po każdym strzale czerwienił się coraz silniej, ale w centrum nie

trafił.

Piąty strzał przeszedł obok tarczy, Amund cisnął flower na ziemię.

– Masz tę twoją pukawkę! – powiedział. Anders schylił się po flower.

– Jutro odkupię ci naboje – mruknął Amund i poszedł. Anders powiódł za nim wzrokiem.

Gdyby chociaż nie nazwał floweru pukawką. Nieładnie, aż przykro!

Anders przez całe popołudnie krążył dokoła i nie mógł się zdecydować. Został mu jeden nabój. Włożył rękę do kieszeni i trzymał go kurczowo. Bał się wyjąć rękę. A gdyby nabój wyleciał, a gdyby w kieszeni była dziura...

Krążył dokoła z flowerem zarzuconym na ramię, z ręką w kieszeni mocno zaciśniętą. Ani rusz nie mógł znaleźć celu, który byłby wart ostatniego naboju.

Wrócił do domu, nabój położył na stole i zabrał się do czyszczenia broni. Może podczas tej czynności jakiś pomysł przyjdzie mu do głowy. Jednakże nic nie wymyślił.

Czas płynął. Wieczór niebawem nadejdzie. Niedługo zacnie się zmierzchać. A jak zrobi się ciemno, będzie za późno. Gdyby chociaż rodzice wrócili! Ale skoro pojechali na przyjęcie, na pewno wrócą dopiero późnym wieczorem.

Gorączkowo chodził po ogrodzie, po polach, po łąkach. Nic nie znalazł. Sucha szyszka wisiała na jakimś drzewie. Cel dobry, ale trudny. Szkoda ryzykować!

Słońce zachodziło. Na dworze już troszeczkę szarzało.

Anders stał w izbie z flowerem na ramieniu, okno było otwarte. Zdecydował się. Mimo wszystko pójdzie i strzeli do szyszki.

I wtedy zobaczył wronę siedzącą na płocie. Głową zwrócona była w jego stronę. Trudno jednak stwierdzić czy go widziała, czy nie. Raczej nie, bo stał ukryty za firanką.

„Jeśli potrafisz, możesz zastrzelić wronę” – powiedział ojciec.

Wcale nie zamierzał zbijać zwierząt. Poza tym dzieliła go duża odległość, co najmniej pięćdziesiąt metrów. Na pewno nie trafi.

Włożył nabój, ostrożnie pochylił się, oparł flower na parapecie okna i wycelował.

Na pewno nie trafi.

Muszkę skierował wprost na piersi wrony. Nacisnął cyngiel.

Niezbyt głośny, lecz ostry odgłos strzału, uderzenie w ramię. Wrona zniknęła. Ale nie odleciała, więc musiała leżeć za płotem.

Wyszedł na dwór. Pobiegł do ogrodzenia. Flower trzymał w ręku.

Wrona siedziała w trawie. Nie ruszała się.

Anders również stał bez ruchu.

Widział tylko jedno oko ptaka. Czarne oko wpatrzone w niego.

Wrona stała na jednej nodze, podpierając się skrzydłem. Druga noga i drugie skrzydło zwisały bezwładnie.

Nie spuszczała z niego oka.

Nie wiedział, jak długo tak stał. Chyba długo; w końcu oburącz ujął flower za lufę. Trzeba z tym skończyć. Czuł coraz silniejsze tętnienie krwi w żyłach, pulsowanie na szyi odczuwał jak uderzenia. Podniósł flower i rzucił się naprzód.

Wrona uskoczyła. Podpierając się jednym skrzydłem, kuśtykała na jednej nodze drogą w kierunku jeziora. Nie do wiary, jak szybko się poruszała. Anders biegł za nią co sił, lecz nie mógł jej dogonić.

Biegł, biegł. Serce waliło, coś dławiło w gardle. Oburącz ścisnął lufę. Kolbę oparł na ramieniu, każdej chwili gotów do uderzenia. Okaleczała wrona skakała dalej.

Już była blisko jeziora.

Dogonił ją na brzegu. Zamachnął się kolbą.

Wrona skoczyła prosto do wody. I wtedy po raz pierwszy zakrakała – rozpaczliwie, przejmująco.

W mgnieniu oka zniknęła pod wodą.

Odpowiedział jej głos z pobliskiej gałęzi. Potem drugi, z jodły rosnącej nieco dalej. Dwa czarnoszare ptaki wyfrunęły z lasu kracząc przeraźliwie, groźnie, rozpaczliwie. Z dala nadlatywały dwie dalsze wrony. Czarne ptaki wyłaniały się z czarnego lasu. Daleko, daleko, pośród szarówki załopotał szereg niewyraźnych cieni. Wszystkie zbliżały się i wszystkie krzyczały, groziły, krakały.

Wypuścił z rąk flower i usiadł na skraju drogi.

Nie podnosił wzroku, mimo to wiedział, że krążą nad nim. Widział ich cienie w półmroku, słyszał okrutne, żarłoczne krakanie.

Zerwał się na równe nogi. Jeden z ptaków przeleciał mu tuż nad głową. Gromadzą się coraz bliżej. Osłaniając głowę ramieniem uciekał. Skrzydło musnęło mu rękę. Przeskoczył żywopłot, był uratowany. Stado ptaków przysiadło na płocie.

Wbiegł do domu i upadł na podłogę.

Przez chwilę leżał, nie mając sił wstać. Zresztą bał się podnieść – to mogło być niebezpieczne.

W końcu jednak uniósł się i ostrożnie podpełznął do okna.

Zniknęły. Nigdzie nie widać ani jednej wrony. Usiadł i długo siedział bez ruchu.

Usłyszał turkot na drodze. Bryczka! Od razu zdał sobie sprawę, na co czekał. Teraz nie mógł zwlekać, musiał pobiec przez łąkę i las do jeziora po flower.

W sieni chwycił starą żółtą pelerynę od deszczu i zarzucił ją na siebie – może go dzięki temu nie poznają, jeśli się zaczęły i czekają.

Było prawie zupełnie ciemno. Nie widać nikogo. Wzdłuż drogi ciągnęły się zarośla, między nimi liściaste drzewa i młode jodełki. Tam mogły czyhać.

Nie miał odwagi się rozejrzeć.

Patrzył prosto przed siebie.

W pobliżu jeziora zwolnił kroku, zmusił się do przystąpienia i popatrzenia dokoła. A może ona wypłynęła, siedzi i czeka na niego? Głupstwo! Nic podobnego nie mogło się zdarzyć! Gdzie flower!

Nagle wrona poderwała się z jodły rosnącej tuż obok i pofrunęła do lasu. Podskoczył do góry, a potem zaczął biegać w kółko, gdzie ten flower?

Leżał nad brzegiem wody. Dostrzegł tylko lufę. Pochylił się i mocno ją chwycił.

Nie wiedział, co mu podsunęło tę myśl. Może dotknięcie zimnej stali?

„Żmija” – przeleciało mu przez głowę. I zanim zastanowił się co robi, cisnął flower do jeziora. Plusnął w wodę i zniknął.

Od razu się uspokoił. Stało się! Pozostaje tylko wrócić do domu i o wszystkim opowiedzieć.

Opowiedzieć – nie mógł o tym opowiadać! Nie miał nic do opowiadania.

Powie, że flower wpadł mu do wody.

Ojciec zerwie się i zapyta:

„Jakim sposobem, u licha, mogłeś to zrobić – wytłumacz się!”

Nie miał nic do wyjaśnienia.

Nie mógł, nie mógł nic wyjaśnić!

Kukułka

NIE cudzołów!

Mówiąc to przeciągał literę o. „Nie cudzoowoołów!”

Siedzieli w dawnej sali sądowej. Trzy rzędy chłopców pod jedną ścianą, trzy rzędy

dziewcząt wzdłuż drugiej. Pastor biegał środkiem, tam i z powrotem. Nigdy nie wiadomo, na kogo spojrzy.

Ściemniało się, z daleka dolatywał groźny pomruk grzmotu, pierwsza wiosenna burza toczyła się nad wzgórzami.

Pastor biegał tam i z powrotem, raz wzdłuż szeregu chłopców, to znów wzdłuż szeregu dziewcząt, od stołu na jednym końcu, do katedry na przeciwnym końcu. Rzucił okiem to na jednych, to na drugich. Walił w stół, aż grzmiało. Karafka i szklanka podskakiwały, głośno szcękając. A na dworze słychać jakby echo tego grzmotu.

– Nie będziesz cudzoooooołożył!

A potem, z szybkością błyskawicy:

– Co to znaczy? Gunder Holtet – co to znaczy?

Gunder wstaje, blady.

– Boga mamy kochać i lękać się, aby... aby...

Ilekroć Gundera ogarniał lęk, zawsze mu się w głowie wszystko pomieszało.

Błysnęło na dworze. Iskry zapaliły się w okularach pastora. Jego blada twarz i czarna jak smoła broda, zdawały się fosforyzować. Grzmot wstrząsnął domem.

– Wstydz się, siadaj!

W półmroku widać pobladłe twarze i szeroko otwarte oczy dziewcząt.

Od dawna wiedzieli, że ten dzień nadejdzie. Z roku na rok o nim szeptali. Przed dwoma laty jedna z dziewcząt zemdląła, upadła na podłogę.

Anders dostrzegł twarz i złote włosy Marty, tam, w drugim rzędzie. Jaka blada i jak jej oczy błyszczą. Zawsze była ogromnie płochliwa. A nuż zemdleje. W wieku lat trzynastu ledwo ją odratowano. A w omdleniu mówiła...

Podobno ten pastor bardzo ożywił życie religijne parafii, którą kierował ostatnio. Tu jednak, jak dotąd, niewiele zdziałał.

Nagle pastor jakby się uspokoił. Wytarł nos i zaintonował psalm. Wszyscy wstali i śpiewali chórem. Na dziś koniec.

Dłuższą chwilę zatrzymali się przed domem. Chłopcy oddzielnie i dziewczęta oddzielnie. Nie odzywali się do siebie. Nawet największe urwisy milczały.

Grzech rozpusty. Nurzanie się w rozpuście. Grzesznicy wiją się w piekielnych mękach. Udreka zmysłów, które oddawały się rozpuście.

Co za ciężkie powietrze. Całe ciało płonie suchym zarem. Burza przetacza się nad wzgórzami, ale nie nadchodzi. Upalny, duszny letni skwar, i to już w pierwszych dniach czerwca!

Jasno ubrane dziewczęta. Ciała dziewcząt w cieniutkich sukniach. Okazja do grzechu. Stoją i krygują się. Zerkają na chłopców i znów patrzą w przeciwną stronę.

Rozpustne myśli, grzeszne myśli, diabelska sprawka!

Nikt się nie odzywał.

Zazwyczaj ci wszyscy, którzy mieszkali w jednej gminie, wracali do domu gromadką. Dziś jednak jakoś się ociągali. W końcu dziewczęta odeszły pierwsze. Chłopcy z wolna postępowali za nimi.

Z początku milczeli.

– Ale był dzisiaj zły! – zauważył Gunder przybierając beztroski ton.

Nikt mu nie odpowiedział.

Gromadka jasno ubranych dziewcząt szła przodem. Nad wzgórzami zawisła czarna burzowa chmura.

Okropnie duszne powietrze.

Dziewczęta oglądały się za siebie. Śmiały się, chichotały.

Skręciły z drogi w stronę jeziora. Idą się kąpać.

Zanim zniknęły między zaroślami, raz jeszcze się obejrzały.

– Chodźcie, zakradniemy się i będziemy podglądać dziewczyny! – szepnął Erik.

Żaden mu nie odpowiedział. Rozejrzeli się. Za nimi nikt nie szedł. I z żadnego dworu nikt ich zobaczyć nie mógł.

Przeskoczyli rów i żywopłot.

W tym miejscu gęsty liściasty las schodził prawie do samego jeziora. Nikt ich nie mógł zobaczyć. Skradali się ku brzegowi.

Anders przypomniał sobie coś, co właściwie nie schodziło mu z myśli. Poprzedniego dnia matka zaniemogła, musiała położyć się do łóżka. Dziś też leżała. Nawet trochę gorzej się czuła. Chciał wrócić prosto do domu, nie zamierzał ani marudzić w drodze, ani iść na łódki, jak to robili często w te dni, w które uczęszczali na naukę do pastora.

Właściwie tutaj powinien skrócić w olchowy lasek.

Szli na palcach. Uważali, by nie nadepnąć na uschniętą gałąź.

Upominali się wzajemnie:

– Ciiiiiiicho!

– Ciiiiiiücho!

Sucha gałąź trzasnęła pod nogami Olego. Wszyscy od razu się zatrzymali.

– Ciiii... ciiiiicho!

Już widać jezioro. Znali miejsce, gdzie można było się kąpać. Zboczyli w lewo. Przy

żywopłocie rosło kilka rozłożystych olch, wystarczy tam dotrzeć...

Gunder ponownie nadepnął na suchą gałąź. Znowu stanęli, wstrzymując oddech. Stąd mogli już dostrzec dziewczęta, pewno się rozbierają.

Od skradania się zabrakło im tchu.

Trudno stać spokojnie. Całe ciało drży.

– Ciiiiicho!

„Powiniennem wrócić do domu, do matki...”

Kucnęli w krzakach. Usłyszeli głos Oliny – ona zawsze głośno mówiła.

– Jak myślicie, gdzie są chłopcy?

– Cicho! – odpowiedziała inna – słyszę jakiś szelest!

Erik prędko oddychał, zupełnie jakby spał zwinięty w kłębek.

Jeszcze kilka metrów pełzli w trawie. Per, niezdara, zaczepił o gałąź.

– Ciiiiicho!

Nawet szeptem bali się rozmawiać, ciągle tylko powtarzali „ciiiicho!” – ledwo poruszając wargami i wygrażając sobie pięściami.

Widać białe postacie dziewcząt. Kończą się rozbierać. Olina ściąga koszulę przez głowę.

Przywarli silniej do ziemi.

Olina była niemal dorosłą kobietą. Marta rozpuściła warkocze, potrząsnęła głową, włosy rozsypały się jej na plecach, przysłoniły łopatki... przerzuciła je na piersi... obraca się... okręca się w koło.

Drażniący śmiech.

– Jak myślisz, gdzie są chłopcy?

– Cicho!

Oddech Erika staje się coraz krótszy.

Jedna z dziewcząt coś mówi szeptem, ale w powietrzu panuje taka cisza, że słyhać jej słowa:

– Czy to taki straszny grzech?

– Oho! Wiesz przecież!

– Chyba słyszałaś!

– Ach! – wzdycha inna.

To Ragna. Przegina się do tyłu, zrobiła mostek, ręce oparła tuż przy stopach. Ragna jest niezwykle giętka.

– Chodźcie!

Pluskanie wody, okrzyki. Wzajemnie opryskują się wodą.

– Rozbieramy się! – szepcze Erik.

Wszyscy w milczeniu zaczynają się rozbierać. Palce sztywnieją – Gunder nie może odpiąć kurtki, więc zdziera ją z siebie, aż guziki pryskają.

„Do domu, do matki...”

Erik już rozebrany i Gunder, i Per, i Emil – Anders zrzuca resztę odzienia i biegnie przez zarośla razem ze wszystkimi.

Rozlegają się piskliwe okrzyki:

– Na pomoc, na pomooc... chłopaki tu są!

Piszczą, zanurzają się w wodzie, ale za głośno nie krzyczą.

– Zmykajcie stąd, świntuchy! – woła Olina oblewając ich wodą.

Skoczyli w wodę. Dziewczęta piszczą, oglądają się, gdzie by tu szukać ratunku, lecz naokoło jest tylko głębokie jezioro.

Anders rusza prosto do Marty – bał się okropnie, że któryś z chłopców może go wyprzedzić. Nie, tamci kierują się do innych. Marta stoi w wodzie po piersi, pochyla się i krzyżuje ręce na piersiach, ale nie próbuje umknąć. Zamknęła oczy, lecz znów je otwiera.

– Fuj, wstydziliśmy się! – mówi szeptem.

– Jesteś wstrętny! – szepcze.

Stanął naprzeciwko niej jak wryty.

Ona ma złote włosy i orzechowe oczy, co się rzadko zdarza. Ale nic dziwnego – jest siostrą Emmy.

Dokoła cisza, jakby byli sami na świecie.

Stoją i patrzą na siebie.

Opuściła ręce, oczy jej przybrały dziwny wyraz, jakby w nich był płynny metal. Kontury ust nabierają miękkości.

– Chodź do lasu! – mówi szeptem, a potem od razu szybko dodaje: – Nie! Nie, nie! – krzyżuje ręce na piersiach i znowu: – Nie, nie, daj mi spokój, daj mi spokój...

Anders ani drgnął.

Chociaż nie było zimno, szcząkał zębami.

Wtem i ona zaczęła szcząkać zębami.

– Och... mmmmy musimy... wyyyjść na brzeeeeg... wyyyjść...

W lasku trzaskają gałęzie. Ochrypli głos kobiecy... dwa kobiece głosy...

Skoczyli rozpryskując wodę, wyszli na brzeg i wpadli między drzewa, reszta biegła za nimi, aż gałęzie łamały się z trzaskiem.



Wszystkie dziewczęta trafiły do swoich rzeczy, tylko Marta zbłądziła, ale już było za późno, ukazała się bowiem Maria Teppen i jej córka Gunda; niosły kosz z bielizną do prania. Marta jęknęła, odwróciła się plecami do chłopców i skurczona we dwoje przekradała się w kierunku żywopłotu.

– Olina! – nawoływała szeptem. – Olina!

Olina dostrzegła ją i parsknęła śmiechem. Przysłoniła usta ręką i śmiała się – ale jednocześnie usiadła w ten sposób, że zasłoniła ubranie Marty. Marta nic nie mogła zobaczyć. Gromadka dziewcząt chichotała zerkając w stronę Marty. Marta zaś leżała skulona, z przysłoniętą włosami twarzą i cicho płakała, tylko plecy jej drżały i wydawała się strasznie mała. Chłopcy bez słowa zabrali ubrania i odeszli trochę dalej.

Z dala usłyszeli, że Maria i Gunda gawędzą z dziewczętami. Te ostatnie jednak odpowiadały z trudnością, bo dusiły się od śmiechu.

Teraz pewno usiadły w pobliżu kotła, ustawionego w dole na kamieniach. Zapach dymu z ogniska rozpalonego pod nim zalatywał aż tutaj. Zjawiała się Olina, niosąc pod pachą ubranie Marty zwinięte w węzełek. Po chwili wszystkie dziewczęta zasłoniły ubierając się Martę, aby Maria nie mogła jej dostrzec. Zaśmiewały się i wpół zgięte zataczały się z radości. Tylko Marta pociągała nosem i chlipała. Zapach dymu z ogniska czuć było coraz wyraźniej. Cała gromadka zebrała się razem, Marta skończyła się ubierać, na jej twarzy widniały jeszcze ślady łez, lecz już zaczynała się uśmiechać. Pozostałe dziewczęta nadal nie mogły pohamować śmiechu, szeptały w podnieceniu, zgięte wpół, przysłaniając usta rękami co chwila zaśmiewały się po cichu.

Szły gęsiego przez liściasty las. Od czasu do czasu zatrzymywały się i dawały upust wesołości. Dławiły się ze śmiechu choć same nie wiedziały co je śmieszy.

– Cha cha cha! Cha cha cha!

Znowu musiały stanąć.

Marta znalazła się obok Andersa. Szli teraz parami.

– Wstrętny jesteś, jak mogłeś tak zrobić... – jeszcze łkała ale już usta jej drżały w uśmiechu.

Anders milczał.

– Na świętego Jana pojedziemy na Kozią Wyspę, rozpalimy ognisko... wybierzesz się z nami? – spytała po cichu.

– Tak – odpowiedział szeptem, jakby w tym było coś złego.

Zbliżali się do drogi, należało zachować czujność.

– Ciiicho!

Erik obejrzał się i dał znak idącym z tyłu.

Na drodze nikogo nie widać.

Poszli dalej, Anders natomiast pobiegł skrótem, ścieżką przez las.

W połowie drogi przypomniał sobie, że nad wodą zostawił książkę z psalmami, biblię i komentarze.

Trudno, niech tam leżą. Pobiegł prędzej.

W pobliżu domu zwolnił kroku. Zaraz będzie widać miejsce, gdzie uwiązują konie. Już zaraz. Jeszcze bardziej zwolnił.

O, tam stoi koń lekarza!

Doktor wychodzi z sieni z torbą w reku. Patrzy w ziemię. Ojciec mu towarzyszy i nie spuszcza z niego oczu.

Lekarz wsiada do bryczki. Ojciec patrzy na niego i coś mówi. Doktor odpowiada, lecz unika wzroku ojca.

Nie słyhać, co mówią.

– Cicho! – ostrzega w kuchni Gina z zaczerwienionymi oczami.

Anders chciał wejść do sypialni, lecz zagroziła mu drogę.

– Nie wolno nikomu tam wchodzić!

Gina płacze.

– Co jej jest?

– Cicho!

– Co jej jest?

– Nie wiem!

Gina płacze.

Ojciec wchodzi i bez słowa kieruje się do sypialni.

Nie ma niebezpieczeństwa. Telegrafowano po Torę i Kari tylko na wszelki wypadek. I tak miały wkrótce wrócić do domu na wakacje. Tora w każdym razie, a Kari krótki pobyt w domu też dobrze zrobi. Torvald Norset i Randi Hoff byli starzy... w danym wypadku nie ma niebezpieczeństwa, po dziewięciu dniach, przychodzi kryzys i następuje poprawa. To śmieszne mówić o niebezpieczeństwie, mój Boże, jakże będą cieszyli się później, nie groźnego, później przez długie, długie lata będą śmiali się razem z tego niebezpieczeństwa; Anders będzie opowiadał matce mnóstwo rzeczy, o których nigdy jej nie mówił... przez tyle lat... od owego dnia...

Zabierze matkę na halę, pokaże jej szalę i lisią jamę, będą razem wiosłowali po

jeziorze, łapali ryby, gawędzili i śmiali się z urojonego niebezpieczeństwa.

To jest po prostu śmieszne. Po prostu słów brak, by określić jakie to śmieszne, gdy wszyscy kręcą się w kółko i powtarzają: Cicho i cicho, i cicho! Śmieszne, jedynie śmieszne! Ojciec zachowuje się komicznie. Gina, Embret, Aasa i on sam... tylko komicznie!

To tylko skutek gorączki, nic więcej, każdy kto ma gorączkę, tak wygląda; każdy kto ma gorączkę zawsze tak wygląda, matka wcale nie poźółkła bardziej od innych ludzi, którzy mają wysoką gorączkę, to tylko z tego.

Każdy chory ma takie oczy, to także jest objaw gorączki, to tylko tak się wydaje, tylko pozornie jej wzrok daleki i jakby wszystkowiedzący – a on ze zwykłej głupoty nie śmie spojrzeć w te oczy, tylko... tylko...

Dlaczego Tora i Kari płaczą? Wróciły do domu niby dwie zmokłe kury i nic tylko ciągle wycierają nosy! Mogły zostać tam gdzie były, a nie przyjeżdżać tutaj, beczeć i głupstwa wyprawiać; czemu nie zostały tam, gdzie były! Przyjechały tutaj i zachowują się, jakby...

Gdyby przynajmniej wszyscy trzymali się z dala od matki.

– Anders!

– Słucham, mamó?

Kilka razy głęboko odetchnęła. Coś chciała mu powiedzieć, widział jednak, że przychodzi jej to z trudnością, wodziła palcami po kołdrze, wargi chciały wymówić jakieś słowa, jeszcze raz wciągnęła powietrze z przykrym świstem – i wtedy Kari wybuchnęła głośnym płaczem. Siedziała skulona, z twarzą opartą na stole i drżała na całym ciele od stóp do głowy. Cały stół się trząsł, a stojąca na środku stołu na czerwonej tacy szklanka z włożoną do niej łyżeczką dzwoniła... dzwoniła...

Anders zaparł się nogami z całej siły, by nie skoczyć i nie porwać tej szklanki. Tora i Aasa siedzące po drugiej stronie stołu też się rozpląkały; próbowały, czy nie potrafią szlochać trochę głośniejsze od Kari, udając przy tym, że są bardziej opanowane.

Miał ochotę krzyknąć: „Cicho!”

Zupełnie wyraźnie miał chęć mordować na zimno.

Matka odwróciła wzrok od niego i spojrzała na trzy córki. Kilka razy ciężko i świszczaco odetchnęła, a potem na oczy jej padł cień, znowu odeszła daleko. Ten jedyny moment przeminął.

Lekarz powiedział: „Trzy dni.”

Czy przetrzyma trzy dni...

To zależy wyłącznie od serca.

Ale trzeba zaznaczyć, że zależy także od płuc. Od rozszerzania się ognisk.

Trzy dni!

Sześćdziesiąt razy sześćdziesiąt to trzy tysiące sześćset – mnożone przez dwadzieścia cztery, to osiemdziesiąt sześć tysięcy czterysta – razy trzy, to dwieście pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście! Dwieście pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście sekund w ciągu trzech dni. Dwieście pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście! Liczę powoli... raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć sekund. Gdyby chociaż zostawili ją w spokoju. Ale nie – siedzą, zatykają usta chustką i trzęsą stołem... zrywają się i wychodzą, bo dłużej nie mogą usiedzieć, i znowu wracają, bo nie mogą wytrzymać, żeby nie wrócić. Ani sekundy spokoju!

Ojciec siedzi zupełnie cicho. To najgorsze! Siedzi cichutko i patrzy. Patrzy, patrzy, nie mówi ani słowa. Miałyby się ochotę krzyknąć: „Powiedz coś! Płacz! Zrób cokolwiek!”

Gdyby można było krzyknąć: „Wynoście się stąd! Wynoście się!”

Złapać porządnego bata i wypędzić wszystkich! Zostać sam na sam z nią!

Istnieje coś, co nazywamy mocą. Moc można przekazywać. Wystarczy chcieć strasznie mocno... bo wiara przenosi góry.

Głupstwa! Przesąd!

Dwieście pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście.

Embret zagląda do kuchni.

– Jak się miewa gospodyni?

– Bez zmiany.

Wychodzi, idzie przez podwórze do drwalni. Ale w połowie drogi potrafi się zatrzymać. Stoi bez ruchu i patrzy w ziemię. A potem znowu wraca do kuchni.

To samo pytanie. Ta sama odpowiedź.

Znowu wychodzi. Stoi bez ruchu raz tu, raz tam. Czasem widać, jak zatrzymuje się na środku pola, zamyślony, jakby chciał przypomnieć sobie coś, o czym zupełnie zapomniał.

Ojciec nachyla się nad wezłowiem.

One stoją w nogach łóżka.

Wszyscy milczą, ledwo oddychają. Tylko co chwila ocierają nosy. Nos Kari jest czerwony, opuchnięty.

Czekają w pogotowiu na sygnał, aby wybiec co prędzej i wybuchnąć płaczem,

szlochać głośniej od innych. Stoją z zapartym oddechem i czekają.

Ciiiiicho!

Ojciec podnosi głowę. Twarz ma bladą, aż szarą, zaczerwienione zapadnięte oczy ledwo widać między obrzękłymi, sinymi powiekami. Od ilu dni wcale nie spał?

Pochyliła się znowu.

„...nie, nie rób tego...”

„...nie rób tego...”

Przyłożył lusterko do jej ust. Wyprostował się.

– Nie żyje.

Na ten sygnał czekały. Od razu zaczęły głośno lamentować, rzuciły się na łóżko, drżały i krzyczały: „Mamo! Mamo!”, padały na koldrę, jęczały, płakały. Tora najbardziej się rzucała, natomiast Kari głośniej zawodziła...

U wezłowia stał ojciec bez ruchu.

Wypędzić je! Zmusić do milczenia!

One nawet tego nie pojmują, że trzeba być cicho!

Wygnąć je batem!

Czemu krzyczą i lamentują, przeszkadzają, te wstrętne... Wrzeszczą, zanoszą się od płaczu, zmuszają do tego, że ma złe myśli właśnie teraz...

Gdyby można je wypędzić, wychłostać.

Gdyby można pozostać z nią sam na sam.

Cicho, do diabła...

Sza!

Ojciec stoi zupełnie cicho.

Krzyk przyniósłby ulgę, gdyby mógł krzyczeć tak głośno, żeby nie słyszeć ich zawodzenia. Zacisnąć pięści, wciągnąć powietrze i krzyczeć, krzyczeć tak, by świat się zatrzęsł, by oczy wyszły z orbit; krzyczeć tak, żeby je przerazić, żeby zamilkły, wytrzeszczyły oczy i pochowały się po kątach jak wypłoszone myszy... krzyczeć... krzyczeć...

Ojciec i Anders stali w milczeniu. Trzy dziewczynki płakały, zawodziły, rzucały się na wszystkie strony, łapały co było pod ręką.

Pogrzeb odbędzie się za trzy dni.

Należało tylu rzeczy dojrzeć, ojciec o wszystkim zapomniał.

Kiedyś na łące Ole uderzył Andersa prosto w nos. Krwawił, ale nie o tym myślał w tej

chwili. Myślał o tym, że wtedy cała twarz mu zdrewniała, cała twarz poczynając od nosa. Nawet nie czuł bólu tylko zimną drewnotę. Krwawił i myślał: Teraz możesz uderzać, gdzie chcesz, to już obojętne...

Bez przerwy tłum ludzi; przychodzą i patrzą. Ani chwili samotności. Ani jednej sekundy samotności. Kari i Tora, i Aasa.

Anders myśli: Musisz się opanować. Coś się z tobą dzieje. Nie ma najmniejszej pewności, że przywykną do tego. Są zrozpaczone, pamiętaj o tym. Przeszkadzają ci porozmawiać z matką, ale są zrozpaczone, pamiętaj. Pamiętaj o tym. Nie mają czasu myśleć... Są zrozpaczone, nie zapominaj o tym...

Kari dostała nowego ataku płaczu, trzęsła się od płaczu. Pochylona i oparta o stół łkała tak, aż ława i stół drgały. Tora płakała głośniej, rozpaczliwiej, podskakiwała na ławie. Wtem wszyscy się obejrzeli, podnieśli głowy:

– Zaśpiewamy pierwszy werset psalmu: *Zasypiam w Panu...*

Kari ma czerwony nos.

„Złapać je, bić póki nie zamilkną. Całkowicie zamilkną.” „Musisz się opanować. Coś się z tobą dzieje...”

Wiatr hula na cmentarzu i wstrząsa młodymi liśćmi. Ciepły, letni wiatr, oczywiście. A wydaje się taki zimny, ostry, przenikliwy.

Stał nad grobem, nie uroniwszy ani jednej łzy.

Czuł się opuszczony przez Boga, skazany na wieczyste potępienie. Miał wrażenie wewnętrznej bolesnej oschłości i chłodu. Patrzył na chlapiące siostry, czuł, że poryw dumy chwytą go niby kurcz.

Bóg i szatan – nie wierzył ani w jednego, ani w drugiego. Nie uznawał ich od wielu lat. A właściwie od owego dnia, gdy miał sześć lat i kiedy to ojciec... i matka...

Zdawało mu się, że znalazł się na z dawna dobrze znanej drodze. Prowadziła wstecz, dokąd – nie wiedział. Widział ją tylko przed sobą jak linię, po której szedł... przez na wpół mroczną sień... „nie oglądać się ani w prawo, ani w lewo...”

„Anders” – zawołała.

Nagle rozplakał się.

Przedziwny dźwięk. Słyszał go, dziwił się, a tymczasem płacz nim wstrząsnął.

Przedziwny dźwięk, płynący z dawnych, bardzo dawnych lat.

Ciżba ludzi obsiadła stoły.

Jedli, łykali kęsy, rozmawiali i śmiali się.

„Opanuj się, opanuj się!”

Wyszedł na dwór. Minał ogrodzenie, znalazł się na łąkach. Znał jedno miejsce w brzeźniaku, niemal tuż nad wodą...

Cisza dokoła. Wiatr ustał, liście brzozy świeże, błyszczące, ani drgnęły. Ptaki były ogromnie zajęte. Słysząc kukulkę: Ku-ku! Ku-ku!

Podobny dźwięk wydawała fujarka, którą Embret zrobił mu niegdyś. Jakże dokładnie pamiętał jej szorstką szarozieloną powierzchnię i dwa ochryple tony znajdujące w nim cudowny oddźwięk: Hu-u! hu-u!

Pamiętał, że kiedyś, kiedy grał sobie na niej, spotkał matkę. Przechodząc obok pogłaskała go po głowie i spytała: – No jak tam, Anders? – Nic, dobrze. – Taki cichy się zrobiłeś – zauważyła. – Ja? Nie. – Może coś ci dolega? Powiedz, co ci jest?

Omylił się, czy też w jej głosie naprawdę brzmiał niepokój?

– Co mi jest? Nie, nic.

Zrozumiał, że musi być ostrożny i udawać, że jest mu wesoło...

Jak często to się zdarzało? Wiele razy, oczywiście.

Pamiętał, ile razy próbowała zbliżyć się do niego ostrożnie, niemal jakby się bała. Pamiętał, że odpychał ją oziębło i obojętnie – nigdy jej nie rozumiał.

Pamiętał dobrze jej spojrzenie, trochę zdziwione, trochę bezradne. I za każdym razem sprawiało mu to przyjemność.

Ile razy zapominając o wszystkim bawił się i cieszył z całego serca, matka mówiła: „To dobrze, że jesteś wesoły, Anders”, a on wtedy uciekał i krył się.

Ostatni raz... to było chyba wtedy, kiedy chciała z nim rozmawiać w sieni?

A czy w ogóle o tym pamiętała?

Czy w ogóle uczyniła cokolwiek, o czym powinna pamiętać i czego musiałaby żałować?

Nigdy już nie dowie się tego.

Od jeziora słysząc plusk wioseł, śpiewy, ktoś gra na akordeonie... Płyną na Kozią Wyspę, rozpalą ognisko.

Dziś jest wieczór świętojański.

Kukulka przyfrunęła bliżej. Jak głośno kuka: Ku-ku! Ku-ku! Kuka głośno i blisko. Nigdy dotychczas nie słyszał jej z tak bliska.

Ucichła.

Szary ptak przyfrunął i usiadł na brzozie, wprost nad głową Andersa.

– Ku-ku!

To kukułka kuka raz po raz, bardzo głośno, wyraźnie, aż echo rozchodzi się wśród wzgórz.

Anders siedzi pod drzewem, na którym kuka kukułka, a zatem każde życzenie wyrażone w tej chwili, powinno się spełnić.

Ale czy kiedykolwiek będzie wiedział, czego pragnie? Ukrył głowę w trawie u stóp brzozy – wtulił w nią głowę, jakby chciał zagrzebać się w ziemi.

## Embret

EMBRET idzie przez podwórze, niesie siekierę pod pachą.

– Embret się zestarzał – powiedział ktoś z obecnych.

Zupełnie, jakby niespodziewanie uchyliła się zasłona. Anders stoi w kuchni przy oknie i nagle sam to stwierdza. Embret idzie przez podwórze z siekierą pod pachą – to jego ostatnia kochanka, mówią ludzie. – Wygląda jak zawsze od lat, a jednak Anders widzi, że Embret się zestarzał. Postać ma przygarbioną, wianuszek włosów wyglądających spod kapelusza przerzedził się, Embret zmalał, skurczył się.

Ile razy stojąc tu w oknie patrzył na Embreta, idącego przez podwórze z siekierą pod pachą? Przedziwna rzecz: w mgnieniu oka czas znika, Anders ma wrażenie, jakby przefrunął ponad latami, dniami oraz wydarzeniami i jakby nagle znowu wylądował przy kuchennym oknie, przy którym stał bez przerwy – przeszłość zamienia się w teraźniejszość, choć wiele lat minęło.

Tak, Embret się postarzał.

Lato nadeszło, już pierwsze dni lipca, zaraz zaczynają się sianokosy. Ojciec kręci się dokoła niespokojnie.

– Muszę powiedzieć Embretowi, żeby się w tym roku nie męczył przy sianokosach – oświadczył.

Ale nic mu nie powiedział. W ogóle ostatnio ojciec nie umiał zebrać się na odwagę.

– On już teraz nie może nadażyć za kosiarzami! – powiedział innego dnia.

– No, a Nils? – zapytał ktoś.



O to właśnie chodziło. Nie można było pozwolić Nilsowi kosić ze wszystkimi, a Embretowi powiedzieć, że jest na to za stary. Bądź co bądź Embret, chociaż był w równym wieku z Nilsem, nie rzucał ciągle roboty, żeby biegać do ustępu. Wszyscy to rozumieli, a więc i ojciec to rozumiał, toteż chociaż kręcił się niespokojnie, nic nie mówił.

Nagle Nils dostał zapalenia płuc i umarł. Zawinał się szybko, jak to zwykle z Nilsem bywało. – Prędzej niż pies się iska – mówili ludzie.

Mówili także, że nie wyglądał jak pączek w maśle, biedula. Ostatnio zrobił się taki szczupły, lekki i szybszy w ruchach niż dawniej. Kiedy mknął drogą, zdawał się ziemi nie dotykać, niby uschnięty zeszłoroczny liść gnany wiatrem. A teraz odszedł. Ludzie kręcili głowami mówiąc: – Nie można powiedzieć, miło było patrzeć, jak sunął drogą...

Pewnego dnia uderzono w dzwony kościelne, niewielka gromadka szła za karą kobyłą Martina Teppena przez most w stronę cmentarza. Nils nieraz powoził tą kobyłą, wywijał brzozowym biczyskiem, konie zawsze ostro poganiał, bo uważał, że powinny ruszać się równie szybko jak on. – A teraz uspokoił się raz na zawsze – stwierdził zadzierzyście Embret, po czym wyszedł z kuchni na zeszywniałych nogach.

– Postarzał się Embret – mruknął ktoś z obecnych. Kto – nie wiadomo, lecz słowa te jakby zawisły w powietrzu.

Następnego dnia, w południowej przerwie, zjawił się z siekierą pod pachą. Chciał mówić „z nim samym”.

Tak. Stwierdził, że jest za stary, nie nadaży za młodymi kosiarzami. Nie, nic mu nie jest, ale staremu najlepiej kosić w pojedynkę.

Jednakże z tego koszenia w pojedynkę nic nie wyszło. Zanim nadeszły sianokosy, Embret jak dzień długi siedział na kamieniu przed izbą czeladną.

W cichych wioskach, tak samo jak w miastach, zdarzają się wypadki śmierci, nie poprzedzone ciężką chorobą – wyjątkowe – jak mówią ludzie. Po długich okresach, podczas których nikt nie umiera, nadchodzą tygodnie, gdy dzwony codziennie obwieszczają, że kogoś składa się do grobu.

Tak było właśnie owego lata. Toteż z tego, a może i z innego powodu, nikt się nie dziwił, gdy przyszła wieść, że Gorina leży na śmiertelnym łożu w starym domostwie. Po śmierci Maren obie z matką wyniosły się na dawne śmiecie.

Teraz przyszła jej ostatnia godzina. Chciała widzieć się z Embretem. I w tym celu przysłała posłańca z wiadomością.

– Co o tym myślicie? – spytał Embret ojca. – Jakoś sił mi trochę brak.

Ojciec był zdania, że Embret powinien pojechać, może wziąć bryczkę.

Embret wystroił się, przystrzygł brodę. Włożył czarny kapelusz, który nazywał „pogrzebowym”. Gdy wsiadał do kariolki umyty, ostrzyżony, z wyczesaną brodą – wydawał się jeszcze starszy. Wyglądał jak grzeczne, cierpliwa dziecko. Ale ogromnie staro.

Po godzinie przyjechali z powrotem.

Gorina umarła i została pochowana. Embret ledwo trzymał się na nogach, toteż nie mógł brać udziału w pogrzebie, siedział tylko na swoim kamieniu i patrzył ku wschodowi, w stronę widocznego stąd cmentarza. Słyszał, jak śpiewali psalmy, bo słuch zachował dobry.

Kiedy wrócili z pogrzebu, Embret nadal siedział zapatrzony w tę samą stronę; po chwili odezwał się:

– To był porządny pogrzeb, nie można powiedzieć. Widziałem też jakiegoś chłopca, który coś dźwigał pod pachą – pewno torbę z jej matką.

Matka Goriny jeszcze żyła, choć miała przeszło pięćdziesiąt lat. Embret utrzymywał – i nikt od tego twierdzenia nie mógł go odwieść – że wisi w torbie na ścianie dawnego domu.

– Tak, udało się starej przeszkodzić Gorinie, nie zawarła tego nieszczęsnego małżeństwa – mówili ludzie. – Podczas choroby matka Goriny prędko o niej zapomniała. To znaczy, że kobietę zarządzającą dawnym ich dworem brała za Gorinę i kazała jej przysięgać, że nigdy nie wyjdzie za mąż poniżej swego stanu. Gospodyni śmiało mogła przysięgać, bo podobnego sześćdziesięcioletniego kulfona nie znajdzie, choćbyście siedem gmin przeszukali.

– Jeszcze nie idziesz spać, Embret? – pytają go.

– A nie. Zawsze jeszcze starczy czasu, żeby poleżeć – odpowiada Embret.

Jeśli ludzie się zejdą, Embret wsuwa się za nimi do czeladnej. Przesiaduje tam wieczorami, czasem dorzuci słowo do rozmowy, gdy się rozejdą, wraca na swój kamień. Słońce zachodzi, noc zapada, on zaś siedzi i patrzy na pola. Ludzie przechodzący w pobliżu twierdzą, że siedzi tam również o świcie. Kiedy sypia?

– Ty chyba nigdy nie śpisz, Embret?

– O, starzy ludzie nie potrzebują dużo snu.

Starzał się z tygodnia na tydzień, tak, niemal z dnia na dzień.

Kamień, na którym siadywał, leżał na pagórku. W ogóle izba czeladna była położona wyżej, na skałce. Z tego miejsca widok był rozległy. Mógł obserwować drogę w punkcie, gdzie schodzi do mostu i dalej, aż pod kościół, i jeszcze dalej. Widział stąd jezioro oraz przeciwległy brzeg, i jeszcze dalej. Widział wszystkie pola od zachodniej i południowej

strony, a także łąki i kawałek wschodniego pola, i jeszcze dalej.

Na wschód od jeziora leżało Rud, gdzie służył jako parobek przed blisko trzydziestu laty. Z daleka można było dostrzec czerwone zabudowania gospodarcze i żółty dom mieszkalny. Ci, którzy mieszkali tam za jego czasów, obecnie już wymarli.

Skurczony staruszek siedzi na kamieniu. Z pewnej odległości trudno go odróżnić od ziemi. A nawet i z bliska.

Czarne niegdyś, samodzielowe spodnie zzieleniały ze starości, oblepione ziemią wyglądały jak ugór. Granatowa bluza wyblakła, nabrała koloru nieba. Twarz i dłonie miał pomarszczone, spękane niby kora osiki. Broda i skromne resztki włosów zupełnie straciły barwę, wyglądały jak kępki zeschłej trawy rosnącej na wrzosowiskach i targanej wiatrem. Niebieskie oczy ogromnie zbladły ostatnio, zrobiły się mętne, nieprzejrzyste jak to bywa u starych ludzi.

Postać siedząca na kamieniu zdawała się stanowić część krajobrazu.

Nie, o ile dobrze wiedział, nic mu nie dolegało. Tylko ciało osłabło. Jesienią trochę się poprawi – twierdził nie patrząc w oczy.

Nie mógł siedzieć beczynn timer. Przyniósł sobie siekierę, piłkę i trochę brzozowych kołków. Pewnego dnia znalazł się obok niego cały stos starych grabi. Dotychczas w całym dworze nie widziano aż tylu grabi naraz. Przypomniał sobie, gdzie je wyrzucano od niepamiętnych czasów i posłał po nie Andersa. Przez wiele dni je naprawiał i przy tej pracy niemal odmłodził.

W końcu jednak wszystkie grabie zostały naprawione. Anders raz jeszcze musiał obejść wszystkie kąty, lecz i to nie pomogło, nie było więcej.

Sianokosy szły zwykłym trybem. Embret co wieczór pytał, czy kto nie połamał zębów u grabi. Nie dawał im spokoju, toteż każdy niby niechcący tak się urządzał, żeby je popsuć.

Dzięki temu miał trochę roboty, ale za mało. Pewnego dnia wziął dwa kije, poszedł do drwalni, wyszukał sosnowy klocek, kazał go sobie przepiłować na odpowiednią długość i przerać. Kiedy miał już wszystko złożone w czeladnej, spędził cały dzień na zastrzaniu długich sosnowych palików, przygotował ich sporą wiązkę. Tego rodzaju paliki niegdyś były często używane. Siedział i strugał, strugał zrogowaciałymi rękami... tylko wyblakłe oczy błyskały w słońcu.

W końcu jednak zabrakło palików do strugania. Siedział bezradny, ze zwieszonymi rękami.

Nazajutrz strugał trzonki do siekier. Robota ciężka, drzewo brzozowe twarde, toteż ręce coraz częściej opadały bezwładnie.

Na łąkach kosiarze posuwali się szeregiem, klepali kosy aż dzwoniło dokoła, żartowali, śmiali się i szli naprzód rzędem. Kosy świstały w rzadkiej trawie, a gęstą cięły z miękkim szelestem.

Późnym wieczorem, po odejściu kosiarzy, gdy słońce skryło się od dawna i około północy lekki półmrok spowijał świat, każdy kto jeszcze nie spał, mógł dostrzec cień snujący się z wolna wzdłuż pokosów na łące. To Embret szedł obejrzyć siano. Drobna, szara postać była ledwo widoczna w szarej, mglistej poświacie.

Skończono sianokosy. Cisza zapanowała we dworze. Nie ma już obcych, zostali sami swoi, z których każdy chodzi własnymi drogami.

Embret siedzi na kamieniu. Ostatnio kilku ludziom udało się złamać zęby u grabi, więc na razie miał zajęcie. Po pewnym czasie znowu siedział beczynnym.

Jeżeli któryś z mieszkańców dworu wychodził nocą do stajni, do spichrza lub do szopy z narzędziami, bo musiał to lub tamto załatwić, mógł się niespodziewanie natknąć na Embreta, który bezszelestnie krążył wsparty na dwóch kijach. Czasem stał w stodole i wdychał zapach siana, czasem przed stajnią, gdzie Brona żuła siano lub spała ze zwieszonym łbem; tylko ciepłe powietrze drgające w otwartym okienku stajni świadczyło, że w środku znajduje się duże, domowe zwierzę. W te dni nikt nie odzywał się do Embreta, ani on nie zaczynał z nikim rozmowy – ot po prostu był obecny, drobny, podobny do cienia. Wiedział dobrze, czy wrota pozamykane, zaglądał do bydła, krążył dokoła – niby domowy skrzat. Dobrze było wiedzieć, że się tutaj znajduje, chociaż oczywiście nie zdołałby w porę zapobiec nieszczęściu.

W końcu pewnego dnia nie wyszedł, nie usiadł na kamieniu. Leżał w czeladnej izbie na niskim, czerwono malowanym łóżku, bezsilne, zbielełe ręce złożył na kołdrze. Izba miała tylko jedno okno z małymi szybami, z których trzy czy cztery były z dawniej używanego zielonkawego szkła. Nieład tu panował, Embret nigdy nie pozwalał wycierać kurzu, zaledwie zgadzał się na wyszorowanie podłogi. Świat widziany stąd przez okno wydawał się wyjątkowo szary i zamazany, jakby w powietrzu zawisły tumany kurzu pozostawionego przez tysiące szurających butów, a także mgliste wspomnienie przechwałek, dowcipów i wybuchów śmiechu, które tu rozbrzmiewały od niezliczonych lat.

Leżał w wąskim, czerwono malowanym kawalerskim łóżku i patrzył na świat starczymi, wyblakłymi oczami, przez zielone szybki pokryte grubą warstwą szarego kurzu. Drzwi najczęściej stały otworem, chętnie przez nie wyglądał, bo przed progiem skoszona trawa odrastała świeża i jędrna jak sałata. Dalej w ogrodzie rosły jabłonie obficie owocujące, między matowymi zielonymi liśćmi błyskały złociste jabłka. Niebo nabrało czystej, głębokiej

niebieskawej barwy, jak zwykle jesienią. Przez otwarte drzwi wiatr wpadał do izby niosąc świeży, wonny powiew.

Leżał cichutko i patrzył na to wszystko. Widział dobrze, starość nie osłabiła mu wzroku, tylko siły odebrała. – Podratuję się jeszcze na jesieni – mówił Embret odwracając wzrok.

Ludzie zaglądali do niego, pytali o zdrowie.

„Wszystko dobrze” – więc wstawali i wychodzili.

Pewnego dnia Andrea wstąpiła do niego. Zrobiła się z niej prawdziwa gospodyni: miała teraz sterczący brzuch, duże, obwisłe piersi i czworo dzieci. Anton, jej mąż, niewiele się liczył, ale jednak...

– Co słychać?

– Wszystko dobrze.

Andrea usiadła. A kiedy siadała, stół trzeszczał.

– Może byś czego chciał, Embret? Co mogłabym zrobić dla ciebie?

– Nic.

Zastanawiał się chwilę w milczeniu.

– Nie, nic – powtórzył. – Chciałbym trochę wody, ale niedługo on sam przyjdzie. Poczekam na niego.

– Jak się czujesz, Embret? – spytał ojciec.

– Dobrze, wicie przecież, że dobrze – odpowiedział z uśmiechem, odwracając wzrok.

Czy ci dwaj wyjaśnili sprawę między sobą?

Każdy mógł stwierdzić, że tak nie było. A zresztą po cóż mieliby cokolwiek wyjaśniać, skoro mogli porozumieć się bez słów.

Mimo wszystko pewnego dnia Embret powiedział:

– Ładne siano mamy ze wschodniej łąki.

– Tak – odparł ojciec. – Miałaś rację pod tym względem.

Poprzedniego roku istniała między nimi na ten temat milcząca walka i ojciec uległ.

Tego roku lato we dworze płynęło spokojnie, jak być powinno, gdy jedna osoba umarła i wszyscy wiedzą, że druga już się z łóżka nie podniesie. Mniej trzaskania drzwiami, mniej szczekania filizankami i naczyniami. Dudzie mówili cichszymi głosami, spokojniej przechodzili obok siebie.

Wieczory też były cichsze. Każdy odchodził do siebie, cały dom ogarniało milczenie i

spokój, jakby nawet wiatr zbaczał z drogi i omijał go.

Wszyscy wiedzieli, że Embret umrze. Cóż, czas jego się skończył. I – jakby to była rzecz wszystkim wiadoma od lat, jakby nawet nie warto było szeptać na ten temat – ludzie w kuchni i na drodze stwierdzali:

– Tak, Embret postarzał się dopiero po śmierci gospodyni.

Gorina od dawna leżała w grobie, zapomniana.

A gdy pewnego dnia w sierpniu Embret skonał, niemal nic się nie zmieniło. Jakby nawet dla Embreta nie zaszła żadna wielka zmiana.

Pogoda była piękna, niebo błękitne. Leżał i patrzył przez otwarte drzwi. Byli przy nim jedynie ojciec i Anders, który stale u Embreta przesiadywał. Milczeli. Wtem zauważyli, że wzrok jego jakby przygasł.

Zgodnie z obyczajem położono go w spichrzu. Po śmierci prawie się nie zmienił. Twarde, spracowane, zrogowaciałe dłonie miał pobożnie splecione; teraz przybrały nawet szarozółtą barwę rogu.

Nie wywoływał przykrego wrażenia – ani kiedy leżał złożony niemocą, ani po zgonie. Nikt nie bał się iść do spichrza, choćby późnym wieczorem. Świadomość, że tam leżał, budziła raczej poczucie bezpieczeństwa, jeśli na przykład trzeba było pójść po trochę siana dla koni, choćby w najciemniejszy wieczór.

## Pogrzeb

POGRZEB odbył się według zwyczaju. Embreta nie uważano za sługę; tyle był lat we dworze, że traktowano go raczej jako zastępcę gospodarza. Toteż na pogrzeb przybyli mieszkańcy najbliższych dworów: z Berg, z Haugom, z Nordby i Miliom. Gospodarz z Berg przyjechał do nich powtórnie tego samego lata. – Po raz drugi od dwudziestu lat – mówili ludzie. Pierwszy raz był na pogrzebie matki.

Z Miliom przyjechał tylko Martin, bo sam pozostał we dworze; najmłodsza córka i jej syn jednak zmarli ostatniej wiosny. – Rozpacz bierze patrzeć na Martina – szeptano. Wychudł, wydawał się wyższy niż dawniej. Włosy i brodę miał potarganą, a twarz i ręce tak blade, że przywodził na myśl suchą jodłę, która od dawna została odarta z igliwia i młodych pędów; nagą jodłę z nagimi gałęziami sterczącymi na wszystkie strony, z której kora odpadała

płatami, tak, że w końcu tylko białe, uschnięte drewno z niej zostało.

Nie odzywał się ani słowem. – On sam jest jak trup – mówiono.

Oprócz nich przybyli ludzie z całej gminy, mężczyźni, którzy całymi wieczorami przesiadywali w czeladnej u Embreta. Hans i Erik Fallet, drwale o sprężystości uginających się kolanach. Martin Teppen z płomienistą brodą, jego syn Hans, obecnie wyższy od ojca, Ole Hagaen ze sztywną, wykręconą nogą, zwany Węgielnicą, Edward Saga, Törjer Lykkjen, Mons Bru i Kerstaffer Nust. A także dobrze znany we dworze Anton, którego najczęściej nazywano Antonem Andrei. I Per Myra i Tösten Vedlia, Amund Inngjerdingen, Hans Grina i Even Oppi, szewc, przezywany Even Dratwa. Prócz nich Sjönne Høibraaten, Hagebart Oppom, Halvor Bakken, mąż Greta, Krystian Kvennstuen i jego syn Fredrik, który pojechał do miasta i jak głupi wrócił w spodniach na kant zaprasowanych, opowiadał, że jest socjalistą i nazwał się Möller. A poza tym szereg chłopaków i dziewcząt, a także kobiet w chustkach na głowach. Przyjechał też siostrzeniec Embreta, Andreas Elstad, mężczyzna o wyrazistych rysach i przebiegłym wyrazie twarzy. Wyglądał staro, choć w rzeczywistości – zdaniem Martina Teppena – miał około czterdziestki. Zaczął od wypytywania, gdzie Embret trzymał swoje rzeczy.

– Wszyscy tylko o tym myślimy, złożymy go do ziemi i zaraz do tej sprawy wrócimy – odpowiedział Martin Teppen, który od razu powziął niechęć do tego chytrusa.

Mężczyźni nosili czarne samodziiałowe garnitury, jakby wyciosane siekierą. Niektórzy oskrobali się brzytwą, inni wyczesali brody, a wszyscy wyszorowali się dokładnie – po prostu trudno ich było poznać – Ole Hagaen błyszczał niby złoto, był tak czysty, że nie wierzyli własnym oczom, obchodzili go dokoła i patrzyli, czy to naprawdę on, wydawał się nawet jakiś mniejszy.

Niektórzy byli milczący i wzruszeni, ściskali sobie dłonie, jakby nie widzieli się od lat. Kobiety popłakiwały, jak wypada na początku pogrzebu. Andrea oderwała się od zajęć przy dzieciach i bardzo płakała. Była tu też Emma. Greta nie zjawiała się, siedziała w domu w Bakken i doglądała bliźniąt. Troje dzieci w ciągu dwóch lat – jak na Gretę nie tak dużo – mówiono.

Nowy nauczyciel przemawiał nad trumną. Nie znał Embreta, więc mówił na inny temat.

Tłumnie wyszli przed bramę. Blask słonecznego dnia zdawał się przygasać w zestawieniu z długim żałobnym konduktem.

Wracali nieco szybszym krokiem. W rozmowach ich zdawała się powracać dawna nuta, zwykły ton. Choć nadal byli przygnębieni, przekomarzali się przed drzwiami,

ustępowali sobie wzajemnie pierwszeństwa, cofali się, potracali. W izbie stanęli zwartą gromadą, każdy chciał dostać się do środka, gdzie śmiało można ważyć się na żartobliwe słowo. Kto dostał się do środka, wybuchał śmiechem, stojący na skraju udawali powagę. Ale wszystko zmieniło się od razu, kiedy Amund Inngjerdingen usiłując przepchnąć się, wydał niedwuznaczny dźwięk, a ktoś z tłumu odpowiedział dobrym i znanym dowcipem. Wszyscy wybuchnęli śmiechem i nagle poczuli się jak w domu. Zasiedli do stołu, wkrótce rozległ się rozgwar głośnych śmiechów, jak być powinno na porządnej stypie. Kiedy po godzinie czy dwóch wstali, wszystko szło normalnym trybem, śmiali się i przekrzykiwali wzajemnie: – Oho, akurat, tak by Embret powiedział! – Ole Fallet uderzał się po udach i śmiał się, śmiał się z jakiegoś dowcipu Martina Teppena, ale kiedy inni prosili, żeby im opowiedział o co chodzi, Okazało się, że zapomniał, co go rozbawiło. Ole Hagaen wypił kilka kieliszków za dużo, usiadł znowu do stołu i śmiał się do siebie: Cha cha cha! Cha cha cha!

Wszystkie kobiety były uśmiechnięte. Stały na schedach lub w progu, czuły się dobrze. Przycichły trochę, gdy nowy nauczyciel i stary gospodarz z Berg wyszli przed dom i głaszcząc brody omawiali tegoroczne plony. Potem znowu się ożywiły, kiedy obaj w towarzystwie ojca poszli do chlewu obejrzyć świnię.

Wszyscy ciągnęli na łąkę za lamusem i tam siadali. Erik Fallet niemal zaraz znalazł przeciwnika do mocowania się, był nim syn Krystiana Kvennstuen, którego w mgnieniu Oka przerzucił przez siebie. – Za mało ważysz na lekkim chlebie chowany – zawołał ktoś. Potem Sjönnne Höibraaten położył się obok Erika, który zaczął się przechwalać: – Zaraz cię przerzucę i wyleję z ciebie piwo i wódkę, coś ich tyle wypił.

Sjönnne został pokonany, a Erik leżał nadal i wołał: – Kogo jeszcze pohuścić? Chodźcie, chodźcie, jak machnę następnego, to mu kolana będą drżały, a kuper zakuka jak kukułka!

Per Myra, wysoki, barczysty, położył się i tym razem Erik Fallet przeleciał na drugą stronę.

– Fallet jest mocny w gębie, ale nie w sobie – powiedział ktoś w tłumie, na pewno Krystian Kvennstuen.

Mocowali się jeszcze chwilę; jeśli gra nie była czysta, ciężkie buciska tupwały co sił. Część kobiet i dziewcząt przebiła się przez tłum, usiadły na przodzie; postacie w białych szalach przypominały stadko białych gołębi na tle chmury czarnych kruków. Kilku starszych mężczyzn stało na uboczu, śmiali się i rozmawiali: – Pamiętasz jak kiedyś spotkał na drodze gospodarza z Opstad? „Czy mogę wiedzieć, skąd pochodzicie?” – zapytał stary z Opstad, bo przecież zawsze był taki ważny, że ludzi nie poznawał. A na to Embret: „Jakby cię kto o to



zapytał, to powiesz, że nie wiesz!” – O tak, Embret miał zawsze gotową odpowiedź.

W izbie podano grog, każdy wstępował na szklaneczkę. Później sami nie wiedzieli, jak to się stało, że coraz liczniejsze gromadki ciągnęły do czeladnej. Młodzież dała przykład. Siadali w progu i gawędzili. Amund i rudy, piegowaty Martin, Hans Teppen, a także uśmiechnięty jak zawsze Lars Tuven, który w ubraniu wyglądał bardzo szczupło, natomiast gdy siedział, wydawał się cięższy. Lars bowiem miał niewiarygodnie krótkie nogi. Anders, który również tam się znalazł, przypomniał sobie, że kiedyś mniemał, iż tak jest, ponieważ Lars niezwykle długo ssał matkę, bo nawet wtedy, kiedy już chodził do szkoły. Anders uważał, że w Larsie jest coś niezwykłego, co przychodzi mu na myśl słowa wypowiedziane niegdyś przez Embreta: – Wierzyłem w to, kiedy byłem dzieckiem, a i teraz wierzę w to nadal, gdy jest bardzo ciemno.

Coraz więcej ludzi ciągnęło do czeladnej; wkrótce znalazła się tam większość tych, którzy od wielu, wielu lat zwykli przychodzić do Embreta. Wchodzili do środka, rozglądali się... Łóżko Embreta puste, siennik nieboszczyka spalono. Nikt na tym łóżku nie siadał, siadali na drugim, przynieśli deskę i dwa pniaki, wkrótce roili się w izbie niby muchy na kawałku cukru. Drzwi pozostawili otwarte. Gawędzili wesoło.

– Pamiętacie? Embret...

Marius Moen zaprosił kiedyś Embreta na wódkę. Embret lubił wypić jednego, ale wyżej cenił pogawędkę. Toteż kiedy Marius po nalaniu wódki zaczął szpetnie obgadywać wszystkich znajomych, a także i wielu nieznajomych, a potem chciał mu dolać jeszcze raz, Embret powiedział: „Wódka to najlepsza rzecz jaką znam, cóż, nie znam nie równie dobrego jak wódka, ale cóż, jeżeli mam słuchać twojego wstrętnego pyskowania i patrzeć na twoją paskudną mordę tylko dlatego, że mi stawiasz wódkę, to cóż, wolę sobie pójść” – potem wstał i wyszedł.

Andreas Elstad przyszedł na przespīgi, bo tu przecież mieszkał Embret. Ledwie Martin Teppen zoczył go przed drzwiami, powiedział donośnym głosem:

– Jeżeli tu jest ktoś, komu po Emforecie nic się nie dostało, niech się odezwie!

Andreas Elstad rozejrzył się po kątach i odszedł.

Rozmawiali nadal. To wspominali nieboszczyka, to omawiali inny temat, lecz ciągle powracali do Embreta. Przyłączyli się do nich stary gospodarz z Berg i właściciel Hugom. Na dworze szarzało, ale tu w gromadzie czuli się dobrze, kurzyli fajki, śmiali się głośno, donośnie. Przypominali sobie i powtarzali dawne, dobre historie. Wybuchy śmiechu wstrząsały zardzewiałym ze starości piecem z pękniętymi drzwiczkami, przez które w zimowe wieczory przyjemnie błyskał dogasający żar. Kulawy stół o trzech nogach od czasu

do czasu stukał czwartą, przykrótką. Dym tytoniowy kłębił się gęsto w powietrzu niby puch bawełny i ulatywał przez drzwi. Ole Hagaen kilka razy zaglądał do izby, gdzie podawano grog, toteż teraz zaśmiewał się: cha cha cha! Lecz nikt nie wiedział z czego.

– ...ta Kari i Mari...

– ...a pamiętacie wtedy, kiedy...

Zupełnie jakby nic się nie zmieniło, jakby Embret tylko chwilowo był nieobecny, dopóki Gina nie przyszła prosić na wieczerzę.

Następnego dnia czeladna opustoszała. Pozostał tylko popiół i stopy zapalek na podłodze, zapomniana fajeczka na stole, wysiedziane łóżko, dwa puste pudełka od tytoniu porzucone na desce. Dokoła na ścianach, w półotwartej szufladzie stołu i w narożnej szafie leżało i wisiało na kołkach i gwoździach wszystko to, co mężczyzna zwykle gromadzi w swojej izbie przez długie lata: wysokie buty, półbuty i trepy, prawidła do obuwia, siekiery, nóż wetknięty w szparę w ścianie, uprząż i skrawki skóry, zniszczona baranica, dwa chomąta, poduszka fokowa, skrzynka z gwoździami, ćwiekami, przyborami szewskimi, młotkami, cęgami, a także młot, małe kowadelko, bluzy robocze i spodnie, islandzki kaftan w czerwonej kratę na wieszaku, mosiężne pudełko do tytoniu na parapecie, kawałek lustra na półce. Pod łóżkiem stała malowana w róże skrzynia Embreta, a w niej trochę cenniejszych przedmiotów: jedwabna chustka, para rękawiczek w kwiaty, czarny, lśniący kapelusz, kupiony przed blisko czterdziestu laty, kiedy to Embret odbył daleką podróż, jeździł po świecie, mieszkał jedno lato w Lilleström i jedną zimę pracował przy budowie drogi w Smaalen. Gospodarz z Elstad miał przyjść dzisiaj i zabrać to wszystko.

Przez zakurzone szyby wpadł skośny promień słońca i oświetlił pył tańczący w opustoszałej izbie.

## Szczęśliwej drogi

STOJĄC nad grobem Embreta, nad ciemnym czworokątnym dołem w brunatnej ziemi, wokół którego zebrali się czarno ubrani mężczyźni, kobiety, pastor oraz kościelny – Anders odniósł wrażenie, że stał nad podobnymi grobami niezliczoną ilość razy. Zupełnie, jakby nic innego nie robił przez całe życie tylko ciągle stał nad mogiłami.

Czarne ubranie do konfirmacji, które właściwie powinien był włożyć dopiero za kilka tygodni, uwierało go bez przerwy, bo było za nowe. Po obu stronach stali mężczyźni w sztywnych, czarnych samodziałach, trochę od niego wyżsi i znacznie tężsi. Stali spokojnie, cierpliwie. Ile razy stali tak dawniej? On sam właściwie był dopiero na trzecim pogrzebie, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Świadomość ta jednak nie miała większego znaczenia, chociaż tkwiła w nim gdzieś głęboko.

„Stajemy nad grobem i odchodzimy... stajemy nad grobem i odchodzimy.”

„...ale z ziemi zmartwychwstanie!” – mówi głęboki, śpiewny głos.

Zanim Embret zaniemógł, spytał kiedyś Andersa:

– Chyba teraz wyjdiesz z domu?

Tak. Nie. Anders nie wiedział.

Embret mrucał pod nosem:

– Dużo niezwykłych rzeczy jest... w świecie. Spotka cię niejedno, czemu będziesz się dziwował. Tak... – a po chwili dodał: – i wtedy spostrzeżesz, że wszystko to spotkało cię, zanim skończyłeś dziesięć lat. Tak...

Odetchnął głęboko.

– Zobaczysz, wszystko powtarza się od początku.

A co powiedział potem?

Powiedział: – Wszystkie drogi prowadzą do jednego miejsca...

Mówił nie tyle do Andersa, ile do siebie.

Powtarzał te słowa kilkakrotnie.

Anders przyglądał się Embretowi. Stwierdził, że ludzie mieli rację – Embret się zestarzał. Jest stary, więc ciągle myśli to samo w kółko. Stary widzi tylko własne sprawy. Stary śni w biały dzień.

Wszystko wydarzyło się, zanim skończył dziesięć lat?

Wszystkie drogi...

Wszystkie drogi prowadzą w świat.

Zapamiętał jedno wydarzenie z bardzo dawnych czasów. Jechał daleko, wioził kogoś na stację. Ojca odwoził. W powrotnej drodze, gdy minął ostatni zakręt i ujrzał wioskę, musiał zatrzymać konia. Musiał chwilę popatrzeć. Miał wrażenie, że domy cicho przycupnęły i patrzą na niego. A jednocześnie jakby coś pojał. Pojał, że wszystko nabiera znaczenia. Tak,

pojął, że sam fakt, iż te domy i wioska są tutaj i patrzą na niego, nadaje wszystkiemu jakieś specjalne znaczenie.

To było dawno temu. Kiedyś, jakiejś wiosny.

Od tej pory wszystko się zmieniło. Wszystko przeobraziło się niejako. Obecnie miał wrażenie, że to daleki świat musi nadać wszystkiemu sens. Tutaj wszystko wydawało się zagmatwane, tu nic się nie zazębiało. Dopiero tam, w świecie, można odnaleźć ogólne powiązania.

Na pewno.

Wszystkie drogi prowadzą w świat.

– Chcesz pójść ze mną na halę? – zapytał ojciec. – Muszę tam zajrzeć, nim nadejdą mrozy – dodał w formie jakby wyjaśnienia.

W lesie panowała już jesień. Tu i ówdzie na tle ciemnych drzew iglastych złociła się brzoza. Tereny bagniste nabrały brunatnej barwy końskiej skóry.

Ptak wróżący słotę towarzyszył im chwilę. Dalej w lesie panowała zupełna cisza, najmniejszego dźwięku, ani jednego ptaka.

W domu na hali było zimno, wilgotno, mroczno jak zwykle, gdy stał pusty. Na kominie popiół i do połowy wypalone gałęzie. Dwa łóżka umocowane w ścianie z rozrzuconym sianem i wystrzępionymi siennikami, wyglądały nieporządnie. Futrzane kołdry powieszona na belce uderzały ich po twarzach podczas sprzątania. Anders zdjął je i rozpostarł na łóżkach. Później, po rozpaleniu ognia, w chacie zrobiło się przyjemniej. Płomień lizał suchą szczapę, ożywił mrok, rozbłysnął w ostrzu siekiery, w wiadrze z wodą, w łyżce na półce pod ścianą. Oświetlił krzyżyki i litery wyrzeżane na ścianach.

Anders w czasie posiłku zauważył, że ojciec zerka na niego z ukosa.

Milczenie mu ciążyło.

Ojciec usiadł na niskiej kamiennej ławie i patrzył w ogień, potem obrócił się do niego plecami, znalazł sobie patyk, który zaczął strugać. Przez chwilę był całkowicie pochłonięty tym zajęciem.

Anders usiadł na stołku i patrzył w otwarte drzwi.

– Anders, chciałem z tobą porozmawiać o różnych sprawach.

Teraz zaczyna się to, czego oczekiwał.

Ojciec wahał się chwilę.

– O różnych rzeczach. O twojej matce... o twojej matce i o mnie, i...

Powiew wiatru wpadł kominem, dym zakłębił się pod okapem i po całej izbie. Anders

zerwał się z miejsca.

– Zabezpieczę komin od wiatru – powiedział.

Porządkując dom znaleźli duży płaski kamień, który zwykle leżał na dachu; jeśli go umieścić na kominie od strony wiatru, ciągnie lepiej.

Nie było go dłuższy czas, badał kierunek wiatru, starannie układał kamień.

Kiedy wrócił do izby, ojciec nadal siedział na przymurku i strugał patyk, który zrobił się ośmiokątny.

– Oczywiście muszę zacząć od początku – rzekł ojciec i znowu zamilkł.

Anders w myśli szukał wyjścia, ale nie znalazł.

– Spójrz, spójrz na ptaka – zawołał nagle, podrywając się ze stołka i wskazując w kierunku wysokopiennej jodły.

Ojciec wstał i podszedł do drzwi.

– Gdzie?

– O tam... na tej dużej jodle... zdaje mi się, że to był cietrzew.

– Możliwe – odparł ojciec. Wrócił na swoje miejsce i znowu chwilę milczał.

Jeżeli teraz zaczniesz opowiadać o sobie i matce...

Zagarnął ją... odciągnął od wszystkich... owinał sobie dokoła palca... nie widziała nikogo, poza nim... nieustannie wodziła za nim oczami, gdziekolwiek był... jeżeli teraz zaczniesz o niej opowiadać...

Nie chce tego słuchać... ucieknie, wyskoczy za drzwi, pobiegnie prosto do wsi, poza wieś... nie chciał słyszeć ani słowem... o tym.

– Jak wiesz, gospodarz z Berg przyjechał na pogrzeb twojej matki – powiedział ojciec.

– Ale może nie wiesz, że wtedy po raz pierwszy przestąpił próg naszego domu po przeszło dwudziestu latach...

Aha, a więc o tym chce opowiedzieć...

Już ojciec się rozgadał. Opowiadał o pierwszych latach, które spędził w tej gminie jako agronom w Hoff. Następnie o tym, jak został rządcą we dworze u dziadka. Właściciel Berg liczył, że po śmierci dziadka zagarnie ten dwór... Opowiadał, jak plotkowali, że ojciec ożenił się tylko dla pieniędzy, tylko dla majątku.

– A tymczasem w rzeczywistości... – tu urwał.

– A tymczasem w rzeczywistości... – przerwał powtórnie.

Mówił dalej o właścicielu Berg, o jego wybrykach i dziwactwach. Długo opowiadał o kłótniach i sporach: gospodarz z Berg drażnił sąsiadów, aż jednej nocy zakradli się do stajni i próbowali zarżnąć mu oba konie, wówczas straszliwie pobito człowieka...

Przerwał i spytał:

– Słyszałeś już o tym?

– Tak... trochę – odpowiedział Anders.

O tym wszystkim wiedział od dawna. Słyszał o tym wiele razy.

Człowiekiem, który wówczas został straszliwie pobity, był Ole Hagaen, przezwany Węgielnicą; oberwał podkówną w kolano, natomiast zwinny jak zawsze Nils z Kleiva umknął okienkiem w dachu – ojciec może nawet nie wiedział, że to był Nils z Kleiva.

Później przeżyli wiele dobrych dni we dworze. Tacy już byli ci ludzie w tej gminie, a zapewne i we wszystkich gminach.

Stare historie. Że też mogą jeszcze kogoś dręczyć!

W końcu polubili ojca w sobie właściwy sposób. Obgadywali go, lecz... Taki jest świat. Nils przysłał po ojca przed śmiercią – więcej miał zaufania do niego niż do pastora, choć tyle lat gniewał się i źle o nim mówił.

– Kto ci o tym opowiadał?

– Słyszałem w kuchni... w czeladnej...

– Tak, tak, tak było – powiedział ojciec.

Chwilę siedział w milczeniu.

– Za mało rozmawiałem z moimi dziećmi, to prawda. Ale tyle innych rzeczy miałem do roboty.

Roześmiał się zakłopotany.

– Musiałem przecież żywić was także i odziewać.

Zaczerwienił się. Dorośli ludzie nie powinni okazywać zakłopotania.

Ojciec opowiadał dalej. Chciał wyjaśnić wiele rzeczy. Wiele ważnych spraw.

Wszystko razem przestarzałe sprawy.

Stare historie – Andersowi przyszło na myśl morderstwo, popełnione przed stu laty – Kristiana zatłuczono na miejscu popełnionej zbrodni, wówczas dwór także był w to wmieszany. Zabił córkę wyrobnika, prawda? Zaszła z nim w ciążę, ale przecież on był synem właściciela dworu, zatem mógł ożenić się z dworską panną.

Zawsze bili się o dwory, o dwory i dziewczyny, to znaczy o dziewczyny, które dziedziczyły dwory.

Anders wzdrygnął się. Ojciec zamilkł, spojrzał na niego. Na pewno zauważył, że nie słuchał opowiadania. Może go zaskoczy jakimś pytaniem?

Ojciec siedział na przymurku i milczał.

Drobny deszcz mżył na hali. Ptak dobrze przepowiedział niepogodę.

Deszcz był przelotny, szybko się skończył.

Ojciec wstał.

– No, muszę obejrzyć jeszcze ogrodzenie – powiedział.

Anders krążył po łące dokoła zagrody.

Wiedział, że jest nieczuły i nie żałował tego.

Był nieczuły i silny, jak gdyby w zbroi. O nie, nic z tego nie dotrze do niego poprzez zbroję.

Dziwna rzecz, jacy ci dorośli są niezręczni. Jacy w pewien sposób bezradni.

Ojciec chciał okazać mu zaufanie, ale robił to w sposób niezręczny, z zakłopotaniem.

To dlatego, że chciał zyskać sobie zaufanie.

Ale na to już za późno. Teraz to już obojętne.

Anders zdołał zachować się, jakby niczego nie pojmował. Poza tym ojciec nie umiał go przejrzeć.

Anders czuł oziębłe zadowolenie.

Ojciec zebrał o zaufanie.

Na to już za późno. Teraz to już obojętne.

„Będziesz tego żałował?” – mówi jakiś głos.

„Będziesz tego żałował. Po prostu boisz się. Jesteś tchórz, tchórz, tchórz. Boisz się, jesteś zły, robisz uniki – i tego pożałujesz. Wszystko powtarza się od nowa. Wszystko powtarza się od nowa. Pożałujesz, kiedy będzie za późno.”

Nigdy nie milnący głos wewnętrzny! Dobrze, będę żałował!

Rozejrzał się dokoła. Stał na stoku porośniętym długimi, wąskimi listkami szczawiu.

Tutaj ubiegłego lata...

Tutaj leżał zdyszany, kiedy uciekł od Gunvor.

Rozglądał się wkoło.

Ten stok coś przypomina. Chyba ten szczaw. A może kogoś? Tam na samej górze? Kogoś, kto się śmieje? Stał tutaj malutki i patrzył w dół?

Przypomniał sobie: – Amunda.

Gunvor była siostrą Amunda. Niedawno wyjechała do Ameryki. W lecie przyszła się pożegnać.

Przez cały ostatni rok prawie jej nie widywał. Nie zamienił z nią ani słowa. Podał jej rękę i życzył szczęśliwej podróży, ale unikał jej wzroku. Zauważył natomiast, że ona patrzyła na niego jakby pytająco.

Czy coś spostrzegła? Czy wiedziała?

Nie dowie się tego już nigdy.

Ojciec czekał w chacie. Spakował worek, zawiesił znowu skóry na belce pod pułapem, teraz usiłował wygasić ogień na kominie. Nie podnosząc wzroku na Andersa, powiedział:

– Myślałem już o tym i sądzę, że najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz do szkół.

We dworze było niezwykle cicho. Po wykopkach życie zdawało się zamierać. Ludzie odchodzili, ptaki odlatywały.

Tora i Kari wyjechały z domu. Ile czasu minie, zanim je znowu zobaczy? Do tej pory może wszyscy się zmieniają. Co do Kari, nie miał wątpliwości. Co innego gdy chodzi o Torę. Tora i Anders byli do siebie zupełnie podobni – nie wiedział, co o niej myśleć.

Aasa pozostała w domu. Chodziła do szkoły. Nie wiedział jakim sposobem, ale jakby od dawna jej nie widział.

Odkąd wiedział, że sam wyjedzie, ogarnęło go dziwne uczucie. Widział wszystko dokładnie, brał we wszystkim udział, ale jakby z pewnej odległości. Właściwie jakby nawet nie dotykał ziemi. Unosił się nad nią. Chwiejnie szybował w powietrzu, jak wtedy, gdy fruwał we śnie.

Teraz, kiedy miał wyjechać, wiele rzeczy widział inaczej.

Piła i ten przekłety kozioł do piłowania drzewa! Nienawidził ich jak żywej istoty, z którą był skuty; ile razy piłował drzewo, ogarniała go fala nienawiści, każde pociągnięcie piłą przywodziło na myśl zegar, zegar tykający i odmierzający czas stracony na piłowaniu – ciągle usiłował uprzytomnić sobie zupełnie wyraźnie ile przyjemności tracił, podczas gdy wykonywał jedno, dwa, dziesięć, dwadzieścia pociągnięć piłą. Teraz natomiast myśl o rozstaniu z piłą i kozłem sprawiała mu niemal ból.

Pewnego dnia spotkał Aasę na łące i zdumiał się. Ilekroć dłużej jej nie widział, zawsze się dziwił. Za każdym razem wydawała się wyższa – w pamięci widział ją zawsze małą i niezgrabną.

– Sama tak chodzisz? – zapytał, a słowa te zabrzmiały dziwnie, jakby odezwał się do obcej osoby.

– Tak – odpowiedziała.

– Czy często przebywasz sama?

– Och – Aasa roześmiała się – mam swoje zwierzęta. Mam także brata, który zadziera nosa i dostrzega mnie najwyżej raz w miesiącu. Ostatnio spędziłam dwa tygodnie u ciotki. Czy zauważyłeś to?



– Wiesz, ogromnie wyrosłaś!

Aasa kiwnęła głową.

– Ja myślę. Od czasu jak raczyłeś spojrzeć w moją stronę!

– Nie bądź złośliwa, Aasa. Pomyśl, niedługo będziesz już dorosła.

Aasa ogarnęła go spokojnym, macierzyńskim wejrzeniem, które miała od najmłodszych lat. Po czym powiedziała z uśmiechem:

– Niedługo będę dorosła? Ja jestem dużo, dużo starsza od ciebie.

Wszyscy powtarzali, że konfirmacja jest wielką uroczystością. Powtarzali to bez końca, aż brała chęćka wątpić, czy tak jest rzeczywiście.

Jednakże to była prawda. Nawet Tora tego dnia płakała. Wobec czego Anders stwierdził, że musi zachowywać się uroczyście. A najdziwniejsze wydało mu się, że gdy wyruszali z domu, rzeczywiście czuł się w podniosłym nastroju. Wszyscy byli w takim nastroju. Nawet pogoda: późny jesienny dzień, ciężki, szary i surowy jak Stary Testament.

Jechali do kościoła uroczyście, drogą ciągnęły szeregi pojazdów, w każdym poważni, odświętnie ubrani ludzie.

W kościele też było uroczyście: tłum ludzi, światła na ołtarzu, organy, śpiewy.

W pewnej chwili stwierdził, że istnieje jeszcze jedna, najuroczystsza rzecz, o której myśli bez przerwy: srebrny zegarek ukryty w kieszeni kamizelki. Otrzymał go tegoż dnia. Co chwila brał go do ręki, ważył na dłoni śliczny zegarek z błyszczącymi, złotymi wskazówkami, które przesuwają się dokoła po czarnych cyfrach i z malutką, pospiesznie wskazującą sekundy. Od razu nasunęło mu się porównanie: wskazówka sekundnika to on sam, ta która wskazuje minuty to matka, natomiast wskazująca godziny i niemal stojąca w miejscu – to ojciec. Powinna być dłuższa. Wspomniał matkę i schował zegarek do kieszeni. Ale myśli nie mógł od niego oderwać, więc wyjął go znowu.

Wskazówka sekundnika była trochę śmieszna, biegała wkoło, ciągle wkoło, robiła tik-tak-tik-tak-tik-tak, ale ożywiała cały zegarek.

Otworzył kopertę i zajrzał do środka:

*1/2 Chronomètre*

*15 Rubis*

Tak było napisane. Otwierał go i zamykał wiele razy, żeby usłyszeć lekkie trzaśnięcie.

Obecnie siedział w głównej nawie, naprzeciwko szeregu biało ubranych dziewcząt. Wyglądały uroczyście – ale nie o nich myślał.

Ktoś powiedział, że to jest grzech przeciwko Duchowi Świętemu jeżeli w kościele, w dzień konfirmacji, przychodzą do głowy brzydkie myśli na temat dziewcząt. Znał kilku mężczyzn, którzy przechwalali się, że tak z nimi było. I Martin tym się przechwalał. Wielu innych również.

Jednakże Anders myślał o czymś innym. Bez przerwy, niby od niechcienia, trzymał dwa palce w kieszeni kamizelki i dotykał zegarka. Słyszał jego tykanie cały czas, z wyjątkiem chwili, kiedy organy grały najgłośniej. Jak on ślicznie nucił w kieszonce: Tik-tak-tik-tak-tik-tak. Postanowił zrobić próbę i wyjąć palce z kieszeni – czy będzie go słyszał?

Tak, słycać go także. Od czasu do czasu milknie, a potem znowu mówi: Tik-tak-tik-tak-tik-tak – jestem!

Organy zagrzmiały, zebrani wstali, wszystko utonęło w powodzi dźwięków. Chwila była uroczysta, wszystkie dziewczęta ronily łzy, naprzeciwko stała Marta i płakała, jakby ją kto chłostał. Anders poczuł dławienie w gardle...

Kiedy muzyka ucichła, zegarek odezwał się w kieszeni: Tik-tak-tik-tak-tik-tak – jestem!

A może to właśnie jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu?

Nie, nie sposób w to uwierzyć. Zresztą w podręczniku ten grzech jest opisany – Anders nie pamiętał już dokładnie, ale na pewno chodzi o inny.

Pewnego październikowego dnia wyjeżdżał z domu. Powoził Martin Teppen. Ojciec odprowadzał Andersa – ale tylko kawałek drogi. Nie mógł jechać dalej, z powodu spotkania w banku. Mógł prosić kogoś o zastępstwo – wyjaśnił Andersowi. W ogóle mógł tak się urządzić, żeby mieć wolny czas i pojechać z Andersem, ale...

– Wolę, żebyś pierwszy raz jechał sam – oświadczył. – Pamiętam jak było ze mną. Tak, to cudowne wrażenie, przekonasz się.

Mało rozmawiali.

U szczytu wzniesienia na skraju lasu ojciec kazał zatrzymać konia i wysiadł.

Stał chwilę obok bryczki i patrzył.

Jarzębina rosła obok drogi, w miejscu gdzie się zatrzymali. Była cała obsypana czerwonymi koralami. Liście jej też zaczynały czerwienieć. Bogato ustrojona odcinała się wyraźnie od szarego tła nieba. Obfitość koralów wroży mokrą jesień – zwykł mawiać Embret. A może suchą jesień? W każdym razie zapowiadała jakiś rodzaj jesieni.

Tego roku jesień była deszczowa.

Embret.

„...i wtedy wyjechałem z domu” – opowiadał Embret.

„Zrozumiałem, że uciekłem, po to, aby wrócić do domu.

Czemu teraz wspominał te słowa?

On od niczego nie uciekał.

A w każdym razie nie od rodzinnej wioski.

Znał tę wioskę na wylot. Jak własną kieszeń.

Kiedyś, gdy będzie naprawdę stary, to może wróci znowu do domu...

Ojciec stał obok bryczki i patrzył w ziemię. Ostatnio często tak bywało. Często chodził pochylony, przygarbiony, jakby czegoś szukał na ziemi.

Anders od czasu śmierci matki chyba nie przyglądał się ojcu, bo dopiero teraz zauważył, że jego broda już nie była ruda. Posiwiiała w ciągu lata.

Ojciec wyprostował się.

– No... szczęśliwej drogi! – powiedział.

– Wszystkiego dobrego!

Ojciec odwrócił się i odszedł. Martin zaciął konia, ale Brona nie spieszyła się wcale.

Anders czuł się ociężały, a jednocześnie lekki. Jak strzała w locie. Pędził naprzód – sam.

Obejrzał się za ojcem.

Wydawało się, że przestał się spieszyć. Wysoki, przygarbiony, chudy, szedł powoli drogą szarą od kurzu, po obu stronach porośniętą trawą żółknącą na jesieni.

Zdawał się bardzo osamotniony.